

Marek Kubala

# FANTASTYKA '50





# Antologia

FANTASTYKA' 50

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA  
WARSZAWA 1990

Redaktor: Aleksandra Szarłat-Kierlańczyk Redaktor techniczny: Teresa Kowalicka Projekt okładki: Ryszard  
Wojtyński Korekta: Hanna Kosińska

Katarzyna Szelańska

Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1990

## SPIS TREŚCI

Wstęp 5

### ANDRZEJ TREPKA

Dziewczyna nie z tej ziemi 11

Ostatni lot 24

### JERZY ORLEWSKI

Zagłada 32

### ANDRZEJ TREPKA

Nowa Polska 38

### TADEUSZ TWAROGOWSKI

Don Pablo nie wróci 50

### STANISŁAW HOSZOWSKI

Trzy doby na latającym talerzu ..... 63

### KRZYSZTOF BORUŃ

Spadkobiercy . . . . 77

Antyświat 88

### BOGDAN LEKSZYCKI

Szkarłatna iglica 136

### KONRAD DOBERSCHUTZ

Esperanta 145

Tajemnica Kwiatu Księżycowego 154

### JAN JERZY GROŃSKI

Atomowa śmierć Atlantydy

### BOGDAN LEKSZYCKI

Figurka z Rapa-Nui ..... 176

### LEONARD ŻYCKI

Skradzione oczy 182

Bibliografia ..... 189

## WSTĘP

Oddając w ręce czytelnika niniejszy zbiór opowiadań z lat pięćdziesiątych, postanowiłem ominąć całkowicie twórczość Stanisława Lema, jako najbardziej znaną większości czytelników będących miłośnikami tego typu literatury. Zakładając, że wiele opowiadań z lat pięćdziesiątych było publikowanych wcześniej w zbiorach poświęconych literaturze fantastyczno-naukowej, ograniczyłem się do przedstawienia --- jak myślę --- opowiadań mniej znanych autorów, których nazwiska, prócz

Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki, nie pojawiały się zbyt często w związku z interesującym nas gatunkiem literackim zarówno wcześniej, jak i później.

Lata pięćdziesiąte w Polsce nie były zbyt łaskawe dla rozwoju literatury fantastyczno-naukowej. Było to związane z niewielkim udziałem techniki w życiu codziennym oraz przeżyciami wojennymi. Chociaż nie tylko. Lata 1948--1955 to okres gwałtownie zachodzących w kraju zmian społeczno-politycznych związanych z ostatecznym formowaniem się nowej władzy, które wymagały od polityki kulturalnej jednoznacznego określenia się w nowej rzeczywistości. Niewątpliwie był to okres nie sprzyjający rozwojowi kultury, sztuki, a co za tym idzie --- literatury. W styczniu 1949 r. w Szczecinie, podczas Zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich, został ustalony program realizmu socjalistycznego nie dopuszczający jakichkolwiek innych

propozycji programowych. Tego rodzaju decyzje, pomimo głosów negujących w procesie twórczym narzucanie schematów i ograniczeń,

musiały prowadzić do stosowania znacznych uproszczeń i wynaturzeń.

Aby uświadomić sobie realia tych lat, można przypomnieć losy znakomitego malarza i teoretyka Władysława Strzemińskiego, w latach

1945--50 wykładowcy Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi,

odsuniętego od pracy ze studentami na podstawie oskarżeń o formalizm. W kręgach literackich działo się nie lepiej. Wszelkie odstępstwa

od wyznaczonej oficjalnie linii były traktowane jako wynaturzenia

i odchylenia prokapitalistyczne. W tej sytuacji dla fantastyki naukowej

nie pozostało wiele miejsca. Liczne dyskusje nad treścią literatury i jej

zadaniami stawiały fantastykę w kategorii gatunków podejrzanych

ideologicznie. Skromne debiuty w tym okresie cechował "słodki optymizm" i demagogia. Zimnowojenne nastroje w polityce

międzynarodowej nadawały twórczości fantastyczno-naukowej wyjątkową tendencyjność i znacznie spłycały wartości

intelektualne. Uwarunkowania socrealistyczne wykazywała wydana w 1951 roku powieść Stanisława Lema "Astronauta", a

także pierwsza część znanej trylogii Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki --- "Zagubiona przyszłość". Wydanie "Astronautów"

spotkało się z wyjątkowo żywą reakcją krytyki. Otóż pomimo jednoznacznego określenia sylwetek bohaterów na łamach

Nowej

Kultury z 1952 r. Z. Woźnicka zarzucała Lemowi "skrzywienie sylwetek bohaterów komunizmu". Natomiast L. Grzeniewski w

artykule krytycznym pt. "Niedotrzymana obietnica", zwraca uwagę na brak głębi psychologicznej bohaterów powieści. Sam

Stanisław Lem w "Życiu Literackim" z 1953 r. w artykule "Imperializm na Marsie" (współczesna science-fiction w USA)

opowiada się za nurtem socrealistycznym w literaturze fantastyczno-naukowej.

Podczas kiedy w USA i innych krajach zachodnich fantastyka święciła swoje sukcesy, jako, w pełni dojrzały gatunek

literacki, w Polsce mamy dopiero do czynienia z odradzającym się, a pod koniec lat pięćdziesiątych stojącym u progu

pełnego sukcesu nie chcianym dzieckiem literatury. W 1954 r. na łamach wspomnianego już wcześniej "Życia Literackiego"

odbyła się znamienita polemika. W numerze siódmym wspomnianego periodyku Andrzej Kijowski zarzucił Stanisławowi

Lemowi, iż w niektórych fragmentach "Dzienników gwiazdowych" Ijona Tichego odszedł zbyt daleko od realizmu. Jak

poważne musiały być zarzuty, świadczy zamieszczona w następnym numerze "Życia Literackiego" odpowiedź Stanisława

Lema, w której pisał, iż nikomu nie

polecał ani też sam nie będzie kontynuował tego typu gatunku literackiego --- "dlatego że to są historyjki raczej blahe, a jakże

można budować literaturę z blahostek?"

Zbigniew Przyrowski w przedmowie do wydanej przez "Naszą Księgarnię" antologii "Drugi próg życia" tak opisuje początek wydawania na łamach "Młodego Technika" opowiadań młodych autorów: "Z początku realizacja tego typu postanowienia nie była łatwa, tym bardziej, że redakcja miała ambicję drukowania przede wszystkim opowiadań polskich autorów, a fantastyka naukowa nie cieszyła się wówczas w naszym kraju --- ani wśród piszących, ani wśród czytających --- taką popularnością, jak obecnie. Gatunek był kłopotliwy i dla redaktorów, i dla autorów." W tejże antologii, w opowiadaniu Wacława Gołembowicza "Kłopoty z fantazją", autor przedstawia nam taką oto receptę na fantastyczną powieść naukową: "(...) w fantastycznej powieści naukowej nie wolno operować niczym, czego by nie usprawiedliwiał stan obecnej nauki".

Po okresie bezkrytycznego opowiadania się za realizmem socjalistycznym wraz z falami niepokoїв lat 1955---1956 zmienia się też sposób podejścia do literatury. Jednakże, zanim to się uwidoczni, upłyną jeszcze mniej więcej dwa lata. W 1956 r. ukazuje się drugi tom trylogii Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki --- "Proxima", wznowienie "Na srebrnym globie" Jerzego Żuławskiego<sup>1</sup>, przekład "Opowieści fantastycznych" Herberta George'a Wellsa. W 1957 r. ukazują się "Dzienniki gwiazdowe" Stanisława Lema będące odejściem od dotychczasowej twórczości. W przedmowie profesora Tarantogi, poprzedzającej relacje z podróży Ijona Tichego, autor tłumaczy swoją decyzję powodami niezbyt istotnymi, błahymi, dając do zrozumienia czytelnikowi, że należy zwrócić uwagę na podteksty i wielowarstwowość utworów zebranych w "Dziennikach". Następne lata to fala sukcesów Stanisława Lema w postaci kolejnych publikacji książkowych: "Dialogi" --- 1957, "Śledztwo" --- 1959, "Eden" --- 1959, "Inwazja z Aldebarana" --- 1959. Ta ostatnia pozycja zawiera pierwsze trzy opowiadania o kadecie Pirxie, do którego postaci autor będzie niejednokrotnie wracał w swojej późniejszej twórczości.

Jednak ostatnie lata omawianego dziesięciolecia związane są nie tylko ze Stanisławem Lemem. Coraz częściej pojawiają się nazwiska młodych debiutujących autorów. Ukazujące się w "Młodym Techniku" w miarę regularnie od 1955 roku publikacje młodych przedstawicieli nowego pokolenia oraz coraz częściej prezentowane artykuły krytyczne są synonimem wzrastającej lawinowo fali zainteresowania fantastyką naukową. Pojawiają się kolejne wznowienia Jerzego Żuławskiego, liczne przekłady m.in. H. G. Wellsa --- "Opowieści fantastyczne" (1956), "Wojna światów" (1958), "Pierwsi ludzie na księżycu", A. C. Clarke'a --- "Piaski Marsa" (1957), zbiory opowiadań zachodnich autorów pod redakcją Juliana Stawińskiego "W stronę czwartego wymiaru" i "Rakietowe szlaki". Wśród rodzimych autorów --- Roman Gajda "Ludzie ery atomowej" (1957), Bohdan Korewicki "Przez ocean czasu" (1957), Eugeniusz Morski "W pogoni za czarnym karłem" (1957), Andrzej Ostojka "Aspazja" (1958), Adam Hollanek "Katastrofa na słońcu Antarktydy" (1958). W roku 1959 ukazuje się trzecia i ostatnia część trylogii Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki --- "Kosmiczni bracia".

Coraz częściej spotykamy sylwetki bohaterów wyraźnie odbiegające od stereotypu zaprezentowanego w "Astronautach". Następuje proces powolnej humanizacji literatury fantastyczno-naukowej. Zmienia się wyraźnie sposób podejścia do człowieka i otaczającego go świata. Tego typu ujęcie tematu ukazuje nam "Proxima" i "Kosmiczni bracia" Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki.

W eseju poświęconym twórczości Krzysztofa Borunia "Na imię mi --- człowiek" Andrzej Wójcik pisze: "Tematem przewodnim utworu («Kosmiczni bracia») jest dramat człowieka, twórcy potężnej cywilizacji, której nie jest w stanie uratować wobec ubocznych skutków opanowywania przyrody i biologicznych efektów automatyzacji życia. Projekcja technologii przejmuje tu funkcję zwierciadła naszej słabości, przewiduje niebezpieczeństwo zaufania mocy instrumentalnej, demonstrując (...) etyczne konsekwencje zastosowania wynalazków przyszłości. «Proxima» i «Kosmiczni bracia» to również pełne zadumy rozważania nad możliwością lub niemożliwością właściwego zrozumienia kosmicznego kontaktu".

Mamy więc do czynienia z jakże odmienną wizją przyszłości. Już nie bezkrytyczna akceptacja idealnego świata

stworzonego przez ludzi wychowanych w znakomitych warunkach, podsuwających gotowe rozwiązania. Teraz pojawia się świat pełen sprzeczności i niewiadomych. Problemem do rozwiązania, przed którym stają bohaterowie

„Proximy” i „Kosmicznych braci”, jest kwestia norm etycznych i intencji kontaktujących się stron. Kontynuacją problemów odpowiedzialności, ludzkiej egzystencji jest wydany w roku 1960 zbiór opowiadań Krzysztofa Borunia „Antyświat”. Jednak w zalewającej polski rynek wydawniczy fali technicznej science-fiction Krzysztof Boruń długo nie znajdzie naśladowców.

Koniec lat pięćdziesiątych, pomimo fenomenu Stanisława Lema oraz prób autorów „Kosmicznych braci”, nie przynosi zbyt wielu rewelacji wydawniczych. Odejście od socrealistycznych ideałów pozwala autorom na większą swobodę twórczą, jednak rynek wydawniczy sycony jest nadal niezbyt oryginalnymi dziełami. Wydawane pozycje wykazują wyraźne ślady inspiracji klasyków literatury fantastyczno-naukowej jak: A. Conan Doyle czy też Herbert George Wells. Niemniej zaczyna się nowa oblicze polskiej fantastyki, której prawdziwy rozkwit nastąpi dopiero w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Przedstawione w niniejszej antologii opowiadania zdają się być potwierdzeniem tendencji literackich lat pięćdziesiątych. Jest to widoczne zarówno w opowiadaniach Andrzeja Trepki, jak i Tadeusza Twarogowskiego czy też Konrada Doberschiitza. Uważając ten rodzaj fantastyki za typowy dla charakteru prezentacji s-f tego okresu, zebrałem w niniejszym tomie utwory autorów mniej znanych, takich jak Stanisław Hoszowski, Bogdan Lekszycki, Leonard Życki, miałem bowiem nadzieję, że przedstawienie ich twórczości rozszerzy granice poznania tak trudnego dla polskiej fantastyki naukowej okresu.

## BIBLIOGRAFIA

1. „Życie Literackie”, 1952/1953/1954 nr 12/3/6,7
2. Antoni Smuszkiewicz --- Zaczarowana gra. Zarys dziejów polskiej fantastyki naukowej. Poznań 1982
3. Andrzej Wójcik --- Okno Kosmosu. Warszawa 1979
4. Andrzej Wójcik --- W stronę człowieka. Warszawa 1980
5. „Nowa Kultura” --- nr 14/1952

**Andrzej Trepka**

## DZIEWCZYNA NIE Z TEJ ZIEMI

Wisienka miała złote włosy, obficie spadające na ramiona. W kącikach jej kształtnych, pełnych ust czaił się jakiś tęskny uśmiech. Ale któż by odgadł, że czaił się tam właściwie cały świat --- ten, którego nie знаła.

Dziwna była historia tej dziewczyny. Wiosna za wiosną mijiała, odkąd przyszła na świat, nie będący zwykłym światem ludzi. Dwudziesty piąty jej maj rozkwitał właśnie na Ziemi milionem kwiatów, z których żadnego nigdy nie dotknęła miękka dłoń, dzwonił muzyką ptaków znanych jej tylko z opowiadań, rozwiewał pędzone wiatrem obłoki, które puszystym całunem układały się zaledwie w jej wyobraźni...

\*

Ziemia od paru tygodni przestała być gwiazdą. Świeciła nadal w aksamitnej, czarnej czaszy nieba, ale z dnia na dzień jej

szeroki sierp pulchniał jak obwarzanek w piecu. Był już ogromny, wypełniony do połowy tarczy, pocięty zamglonymi zarysami czegoś, co przypominało oryginalną mapę. Rogi tego sierpowatego półkola wydłużały się niewielkimi rdzawoczerwonymi ramionami, które zamykały okrąg, jakby tuląc do siebie czarną wnękę.

Lśniącobiały pojazd międzyplanetarny tym razem musiał pomieścić niemal dwukrotnie zwiększoną załogę. W drodze z Marsa na Ziemię zabrano bowiem przypadkowo odkrytych rozbitków kosmicznych.

--- Przekroczyliśmy już strefę aktywności --- odezwał się nagle Beningsen, drugi nawigator rakiety, i swobodnie opuścił wyciągnięte ramię wraz z trzymanym przyrządem.

Kilka par oczu podniosło się pytająco na rosnącego Norwega. Gdy stojący obok młody Serb jako tako przetłumaczył to na język polski, Wisienka zapytała naiwnie:

--- O czym mówisz?

--- O Ziemi. Z pomiaru kątowej wielkości jej tarczy wynika, że przybliżyliśmy się do Ojczyzny na niecały milion kilometrów. W tej odległości jej przyciąganie jest silniejsze od Słońca.

Usłyszawszy te słowa, powtórzone w jedynym zrozumiałym dla niej języku, Wisienka uczuła, jak serce mocniej bije jej w piersiach.

--- Jutro wylądujemy pod modrym niebem --- zauważył siedzący naprzeciw dziewczyny szpakowaty astronom.

Wisienka machinalnie wyjęła lusterko, stłuczone przez pół od czasu, gdy bawiła się nim w dzieciństwie. Uważnie analizowała swoje oczy. Matka mówiła jej nieraz, że są koloru ziemskiego nieba, choć w rzeczywistości miały odcień bardziej stalowy.

\*

Czerń nieba przeszła w głęboki granat, a ten z kolei przetapiał się w szafir, błękitniejący z każdą sekundą. Wysokie białe obłoczki jakby oderwały się od oceanu i wznosiły ku górze. Jednocześnie przybliża się szeroki, zieleniejący pas lądu z kolorowymi plamami miast i osiedli.

Ostatnie chwile w przestworzu ogarnął bez reszty ryk motoru. Pojazd gwałtownie wytracał prędkość, pasażerowie przywarli do elastycznych foteli, czując nieprzyjemny ciężar, przygniatający ich na całym ciele. Potem wszystko ustało i ściana kabiny rozsunęła się bezszelestnie. Od betonowej płyty lotniska raketowego dzieliło kosmonautów już tylko dziewięć szerokich stopni.

Po ustaleniu, iż uratowani rozbitkowie są Polakami, połączono się drogą radiową z Warszawą. Komunikacyjny pojazd na tej trasie miał bowiem odejść dopiero za cztery godziny.

Prawie natychmiast Warszawa doniosła depeszą radiową, że żądana rakietą właśnie startuje i za dwadzieścia siedem minut należy jej oczekiwać w Kalkucie.

\*

Dziennikarz z "Nowin Astronautycznych" i dziewczyna stali naprzeciw siebie. Ona wstrząśnięta burzą wrażeń, doznań i krajobrazów, onieśmiewiona poznaniem tyłu "normalnych" ludzi, a on wpatrzony przez chwilę w te oczy chciwe światła, naiwnie zdziwione każdym widokiem, które jeszcze przed godziną nie znały błękitu nieba, lazuru morza, zieleni drzew.

Podczas gdy tłumacze i kilkunastu miejscowych dziennikarzy otoczyło pozostałych troje rozbitków, Andrzej zdobywał skąpe wyjaśnienia dziewczyny.

Skonstatował z zadowoleniem, że choć chwilami brakuje jej słów, mówi zupełnie płynnie.

--- Cóż dziwnego? --- zaśmiała się Wisienka. --- Gdybym nie rozmawiała w tym nudnym życiu tam --- wskazała ręką w niebo --- tobym chyba oszalała. Mówiło się o wszystkim, czego nie znałam. O Ziemi...

--- O Warszawie też? --- wtrącił Andrzej.

Oczy dziewczyny zamigotały.

--- O Warszawie? Moja Ojczyzna...

Dziennikarz nie wyjaśnił, że "ojczyzna" oznacza Ziemię jako planetę albo kraj rodzinny. A Warszawa --- to miasto.

--- Może wobec tego polecimy --- zaproponował. --- Oprowadzę cię po Warszawie. Dużo się w niej zmieniło. Ach, prawda, przecież ty jej nigdy nie widziałaś.

Wisienka roześmiała się.

--- Widziałam Ziemię gwiazdą, a znałam ją z obrazków. Poza tym wszystko odkrywam dopiero teraz.

--- No więc? Polecimy?

To także było dla dziewczyny wielką nowością. Propozycja młodego człowieka, aby polecieć daleko, o tysiące kilometrów stąd. Polecieć do Warszawy...

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że śni. Świat wydawał jej się przesycony barwami i upojony radością. Z naiwnym uśmiechem podawała twarz pod ciepłe blaski Słońca i miała uczucie, że z tą promienną jasnością tropikalnego południa wstępuje w nią nowe życie; że wszystkie jej lata były przygotowaniem tego dnia, w którym narodziła się drugi raz. Z ciekawością dziecka zadarła głowę i trzymała ją tak przez dłuższą chwilę. Potem wzrok Wisienki ześliznął się z soczystego szafiru nieba poprzez zielony widnokrąg na opaloną i uśmiechniętą twarz dziennikarza. Duże, jasne oczy Andrzeja wydały jej się wypełnione tajemniczą wiedzą o życiu, którego nie znała, wnikliwym pojmowaniem spraw, które pozostawały dla niej w kręgu niepewnych marzeń i nieskrystalizowanych domysłów.

Andrzej wystarał się o dwuosobową raketę sportową. Stanęło na tym, że Wisienka spotka się ze swą matką za trzy godziny w kawiarni Starego Pałacu Nauki i Kultury w Warszawie.

\*

--- Jak długo będziemy lecieli? --- spytała dziewczyna.

--- Dwadzieścia trzy minuty... Czy masz zdrowe serce? --- podjął Andrzej po krótkiej chwili.

Nie wiedziała. Od dwudziestu lat nikt nie badał stanu jej zdrowia.

--- Gdyby ci było niedobrze, to powiedz --- rzucił dziennikarz z troską w głosie. --- Wtedy zmniejszę przyspieszenie.

--- Czuję się wybornie --- oświadczyła cicho.

Niebo poczerwieniało, zapalając iskry gwiazd świecących obok Słońca. Lecieli gdzieś na pograniczu atmosfery, wznosząc się jeszcze łagodnym łukiem. Skurczony horyzont Ziemi wygiął się w lekki pałąk.

--- Nasza rakietka towarowa --- ciągnęła Wisienka zaczętą na lotnisku opowieść --- wiozła pełne wyposażenie w żywność dla niedawno założonej bazy kosmicznej na jednym z księżyców Jowisza.

Andrzej lekko zmarszczył brwi, jak gdyby chciał rozniecić płomyk pamięci z popieliska rzeczy zasłyszanych dawno temu.

--- Zaraz, zaraz... Tu chodziło o załogę "Ganimeda"? A twoja rakietka nazywała się?... Zapomniałem.

--- "Błyskotka" --- odpowiedziała Wisienka.

--- Tak, teraz pamiętam. Zaginęła bez wieści. Uważaliśmy was za poległych na posterunku. Kłębami dymnych kwiatów na niebie Warszawa składała ostatni hołd waszej pamięci. Byłem dzieckiem, ale gdy patrzę na ciebie, zdaje mi się, że jeszcze



słyszę huk armatnich salw.

Wisienka zmieszała się trochę. Szybkim ruchem odgarnęła spadające lekko na skroń kędziory i rzuciła z przejęciem:

--- Czy tamci... przeżyli?

--- Kto? --- zapytał ze zdziwieniem dziennikarz.

--- No... załoga na "Ganimedzie". Myśmy im wieźli żywność.

--- Ach, naturalnie --- odparł Andrzej z ożywieniem, aby nadać swoim słowom ton kompletnej pewności. --- Po waszej katastrofie wysłano podobną raketę, która dotarła szczęśliwie. A w tamtej bazie mieli żelazny zapas na całe lata, aczkolwiek w syntetycznych koncentratkach.

Dziewczyna odetchnęła z ogromną ulgą.

--- Ale co do tej katastrofy --- podjął po chwili Andrzej --- teraz ty opowiadaj. Czy w ogóle ulegliście katastrofie? Konkretnie wiemy tylko, że wasza stacja radiowa umilkła.

Wisienka, z ciekawością oczu dopiero otwartych na zmieniające się ziemskie widoki, pochyliła głowę ku masywnej szybie. Poza nią w dole usuwała się w tył Ziemia niby płaskie cielsko olbrzyma z kolorowymi plamami, upstrzona gdzieś tam dodatkowo białymi plackami obłoków. Wisienka przerzuciła wzrok na Andrzeja.

--- Ten wypadek jest najdawniejszym moim wspomnieniem. Miałam cztery lata i bawiłam się z nawigatorem, który bardzo mnie lubił. Nazywał mnie papużką... pewnie dlatego, że powtarzałam każde słowo. Rodzice jeszcze nie wstali. Pamiętam tylko okropny wstrząs. Nasz nawigator wziął mnie na barana i tańczył, przyspiewując jakąś najnowszą piosenkę przekazaną z Ziemi. Zwalił się jak długi na podłogę. Ja nabiłam sobie porządnego guza i zraniłam rękę, ale poza tym nic mi nie było. Dokładniej opowiedziałaby ci o katastrofie mama albo dwaj pozostali członkowie załogi, którzy przylecieli ze mną...

--- Ale wiesz, co spowodowało katastrofę? --- przerwał dziennikarz.

Wisienka odpowiedziała. --- Meteor uderzył w tył rakiety, rozbijając betonowe osłony stosu i zbiorniki wodoru. Ponadto kompletnemu zniszczeniu uległo urządzenie radiotelewizyjne. Nie mogliśmy już ani kierować pojazdem, ani nadawać wezwania o ratunek. Niestety, nie zabraliśmy w drogę żadnych zapasowych nadajników, nawet o krótkim zasięgu. W jednej chwili byliśmy bezbronni, ślepi i głusi w stosunku do Ziemi, świecącej tuż przy Słońcu z którymś z gwiazdozbiorów niebieskiego Zwierzyńca.

--- Czy meteor zupełnie przepiłował raketę?

--- Nie. Niektóre konstrukcje, zbudowane z materiałów szczególnie twardych i żaroodpornych, oparły się działaniu eksplozji. Stos atomowy, zupełnie zresztą potrzaskany, wisiał niby na żerdziach, a my straciliśmy zabezpieczenie przed jego śmiertcionym promieniowaniem. Usunięcie prętów kadmowych również nie rozwiązywało sytuacji, bo pokręcone i częściowo nadtopione sztaby z plutonu promieniowały na wszystkie strony. Trzeba było przepiłować pogięte strzepy metalu, na których trzymała się nieużyteczna już reszta pojazdu, grożąca zakażeniem radioaktywnym.

Wisienka otarła natarczywą łzę kącikiem chusteczki. Po chwili podjęła przerwane opowiadanie.

--- Mój ojciec wziął tę robotę na siebie. Był lekarzem, więc dobrze wiedział, jak bardzo się naraża. Zapewne dlatego nie dopuścił niczyjej pomocy, co by znacznie skróciło wykonanie roboty. Niedługo potem zapadł na chorobę promieniową, z której się nie wyleczył. Nie pamiętam go zupełnie... Te salwy, którymi uczciliście poległych na posterunku --- dodała ciszej --- to były dla niego... --- Nasz nawigator mówił potem, że ten fatalny meteor, który leciał z prędkością nieprzewidzianą dużą i dlatego nie zdążyliśmy go wyminąć, był wielkości grochu. Nigdy nie chciałam w to uwierzyć.

Znad sterowniczych przyrządów Andrzej znów przeniósł wzrok na Wisienkę. Obserwował ją przez chwilę z ciekawością

paleontologa, który odnalazł relikty zabłąkany z innych, zamierzchłych epok. "Dziewczyna nie z tej Ziemi..." --- pomyślał.

Zbliżali się do granic Europy. Wisienka kontynuowała swoją dziwną opowieść.

--- Kiedy już dorosłam, mówiło się wprawdzie o ratunku, o odszukaniu nas, mówiło się codziennie, bo bez tego życie byłoby nieznośne. Ale nikt nie uważał, że musi nastąpić.

Wisienka głęboko odetchnęła.

--- W największej nadziei i tym boleśniejszym rozczarowaniu właściwie nie brałam udziału, miałam wtedy niecałe sześć lat. Było to w czasie pierwszego wejścia w układ Jowisza. Zaczęło się od obawy zderzenia z tym olbrzymem planetarnym lub którymś z jego satelitów. Gdy to minęło, mogliśmy spodziewać się radarowego wykrycia nas przez jedną z baz bądź przez jakąś raketę. Trudno było stawiać na teleskopy optyczne, wobec pozbawienia wszelkiej możliwości świetlnej sygnalizacji.

--- A czy do Ziemi nie zbliżyliście się na odległość mogącą wróżyć rozpoznanie? --- zapytał dziennikarz.

--- Nie. Obydwa razy osiągnęliśmy orbitę naszej Ojczyzny w nieodpowiednim czasie tak, że nie mogliśmy bez lornetki nawet odróżnić jej

tarczy. Świeciła nam tylko jak bardzo jasna gwiazda.

Wisienka zamyśliła się przez chwilę.

--- W czasie przenikania pierścienia planetoid także liczyliśmy się z możliwością zauważenia nas przez jakąś ekipę, badającą szczątki życia kwitnącego ongiś na jednej z dwóch planet, które uległy zderzeniu. Prawdopodobieństwo ocalenia na tej drodze było zresztą nikłe. No i zawiodło.

--- Uwaga, włączam silnik! --- zabrzmiał spokojny głos Andrzeja.

Zniknęło uczucie nieważkości, ciężar ciała zaczął gwałtownie wzrastać.

--- Gdzie jesteśmy? --- spytała Wisienka z wysiłkiem.

--- Lecimy nad Ukrainą. Trzy minuty do Warszawy.

\*

Czarny, a potem granatowy przestwór dość szybko pobłękitniał. W modrej otchłani topniały gwiazdy jedna za drugą, aż świecące tło nieba wchłonęło białą błyszczącą Wenus. Pozostało Słońce odarte z korony, sierp młodego Księżyca i kilka sztucznych satelitów.

--- Czy silnik się popsuł? --- zapytała dziewczyna z przestrawieniem w oczach.

--- Bynajmniej --- odparł Andrzej uspokajająco. --- Stoimy osiemset metrów nad lądowiskiem raket. Musimy poczekać chwileczkę na sygnał wolnego wjazdu. Stąd masz okazję jednym spojrzeniem ogarnąć Warszawę. To, co zwiedzimy później, stanowić będzie tylko pewne wycinki działalności ludzkiej w naszym pięknym mieście.

--- Czemu niektóre gwiazdy nie zgasły? --- dziwiła się dziewczyna. --- O, na przykład ta, taka szybka. To pewnie planeta...

--- Nie, Wisienko --- odparł dziennikarz. --- To wszystko sztuczne księżyce.

--- Aha, wiem --- odparła. --- Jest ich zdaje się bardzo dużo?

--- O, tak --- potwierdził Andrzej. --- Gołym okiem widzimy tylko niektóre, duże i bliskie.

Z kolei zainteresowanie Wisienki wzbudziła Ziemia. W dole tuż, tuż rozciągało się niby na olbrzymiej makiecie wielkie, przepyszne miasto --- Warszawa, o której słyszała od matki, a przecież dotąd nie potrafiła jej sobie wyobrazić. Dla mieszkanki rozległych kosmicznych przestworzy pojęcie miasta było tylko urokiem niedotykalnej legendy.

--- To są domy --- spytała nagle --- w których mieszkają ludzie?

Otrzymawszy potwierdzenie dodała:

--- A co jest tam? Taka niebieska wstęga, trochę kręta, obramowana zielenią... Też jakieś domki na niej, zdaje się, że i ludzie.

--- To Wisła --- brzmiała odpowiedź. --- Rzeka Wisła. W jej rzeźwiących wodach, latem nie ogrzewanych, kąpią się tłumy warszawiaków. Głównym nurtem płyną statki wycieczkowe. Wokoło zieleni parków, tereny sportowe... A, patrz, za tym wielkim stadionem, ogrody botaniczne, zoologiczne, w których lokalna regulacja pozwala roślinom i zwierzętom, pochodzącym zarówno z krajów tropikalnych, jak i polarnych, przez cały rok czuć się na świeżym powietrzu jak u siebie w domu.

Dziewczyna patrzyła w dół. Ta połać ziemi pod nią przypominała jej wielką mapę, tym bardziej że mapy znała z atlasu geograficznego, znajdującego się w jej rakiecie, i studiowała je wielokrotnie --- w tym dziwnym świecie, który charakteryzował beznadziejny nadmiar czasu. Stereotypowe kolory z atlasu, pomalowane pędzlem przyrody na pejzaż żywych odcieni, igrały w blaskach słońca świetnym, wzorzystym kobiercem. Ludzie, mniejsi od mrówek, upstrzyli ten widmowy krajobraz maleńkimi, ciemnymi punkcikami, z których każdy przedstawiał własny, odrębny świat myśli i poczynań, jakąś własną ufność, wiarę i prawdę.

W myślach Wisienki właśnie ta świadomość urastała do rangi wielkiego symbolu, który ogarniał sedno jej własnego istnienia. Rozumiała intuicją wyostrzoną w czasie tylu lat nie kończących się rozmyślań, że przecież jej życie w gwiazdzystym niebie upłynęło poza burtą areny wydarzeń charakteryzującej każde normalne życie. Że nawet marginesowo nie uczestniczyła w nurcie najprostszyc, codziennych spraw, rzeźbiących kształt człowieczeństwa.

--- Jednak powietrze ziemskie jest bardziej przezroczyste, niż sobie wyobrażałam. A miasto przedstawia stąd wrażenie aż lśniącej czystości --- zauważyła po dłuższej chwili.

--- Nie tylko stąd --- uśmiechnął się dziennikarz. --- Chociaż we wszystkich dziedzinach postęp doprowadza do udoskonaleń, trudno sobie wyobrazić zwiększenie stopnia czystości Warszawy. I nie tylko Warszawy --- w ogóle miast. Co trzecią noc rzęsiisty prysznic deszczu zmywa wszelki brud, choć mówiąc prawdę --- nie ma czego zmywać. Szeroka sieć elektrycznych filtrów powietrznych niemal całkowicie wchłania kurz i pył.

--- Co trzecią noc? --- zastanowiła się Wisienka. --- Więc to jest sztuczny deszcz?

Andrzej zawahał się przez chwilę.

--- I tak, i nie. Naturalny o tyle, że pada w wyniku skroplenia się pary wodnej w atmosferze. A sztuczny, no tak, bo kierowany wolą człowieka. Jak większość procesów przebiegających w przyrodzie naszej planety. A zwłaszcza procesów meteorologicznych.

\*

I znowu Ziemia --- kotłowało się w głowie dziewczyny, gdy mijali teren portu lotniczego, kierując się ku miastu. Ziemia, którą w myślach widziała zawsze jak okrągłą, futbolową piłkę, okrążającą w zawrotnym pędzie tak samo okrągłe, tylko większe Słońce.

Pierwszy dzień zetknięcia się z twardą powierzchnią globu nakłaniał ją przywyknąć do tego, co każde dziecko wychowane na Ziemi musiało w wieku szkolnym przełamywać w sobie: że Ziemia sprawia wrażenie płaszczyzny. W przeciwieństwie do wszystkich ludzkich pokoleń --- dla Wisienki, od kiedy zaczęła myśleć, kulistość ojczyestej planety była oczywistym faktem, popartym wrażeniem zmysłów. Jakże mogło być inaczej, skoro przeszło dwadzieścia lat oglądała ją z zewnątrz, z dalekiej łupiny obserwacyjnej, zagubionej w pustce Kosmosu. Ogarniała Ziemię jednym spojrzeniem --- jasny ognik w kurzawie gwiazd na sklepieniu czarnej otchłani. Wyobrażenie kuli, odpowiadającej pełnej czaszy nieba otaczającego ją z wszystkich



stron, było dla Wisienki najbardziej namacalnym pojęciem geometrycznym. Natomiast płaszczyzna ograniczała się w jej realnym polu widzenia do okrągłego blatu stołu. Bo nawet ściany pomieszczeń "Błyskotki" stanowiły powierzchnię boczną walca, aby dzięki sztuczemu przyciąganiu, wywołanemu obrotem rakiety wokół jej osi podłużnej, można było swobodnie po nich chodzić, nie znając pojęcia podłogi i sufitu.

Wisienkę najbardziej dziwiły "świecące bariery", które oddzielały i jezdnię od chodnika.

--- Czy ktoś zapomniał je zgasić? Przy świetle Słońca są przecież, zbyteczne?

--- Nie, nikt nie zapomniał... --- uśmiechnął się Andrzej.

--- Szkoda energii elektrycznej --- przerwała Wisienka impulsywnie.

--- Bynajmniej --- odparł spokojnie dziennikarz. --- Pozostawiliśmy już za sobą czasy, kiedy miasta oświetlane były lampami jarzeniowymi, czerpiącymi prąd z elektrowni atomowych. W tych urządzeniach, które widzisz, energia rozszczepienia jądra atomowego działa "na miejscu", pobudzając do świecenia substancję, spełniającą rolę tzw. luminoforu. Lampa świeci i w dzień, ale to nie kosztuje. Może świecić nieprzerwanie miliony lat.

Z obu stron szerokiej alei strzelały smukłe pnie eukaliptusów, których korony górowały nad dachami domów. Małe samochodziki atomowe lekko i bez wstrząsów zdawały się płynąć wzdłuż fosforyzującej białym światłem grubej linii, nieprzerwanym węzłem ciągnącej się po jezdni. Elektryczne oko mechanicznego kierowcy tak niezawodnie reagowało na świetlne sygnały, że Andrzej po ustawieniu trasy mógł swobodnie opowiadać Wisience historię mijanych dzielnic i przeznaczenia ciekawszych obiektów. Raz po raz ulice nurzały się w soczystej i zieleni parków i skwerów tu i ówdzie przyozdobionych pięknymi pomnikami synów różnych krajów, którzy zaskarbili sobie kącik czci i miłości w sercach ludzi.

--- A to co? --- spytała Wisienka, wskazując ręką coś w rodzaju ogromnego dysku, osadzonego wysoko na masywnym postumencie.

--- Siłownia słoneczna --- odparł dziennikarz. --- Jedno z wielu urządzeń warszawskiego zespołu izoklimatycznego. Pędzona energią promieni słonecznych, może służyć za piec bądź lodówkę.

--- Nie rozumiem.

--- Czy wiesz --- spytał Andrzej --- że istnieją maszynki elektryczne do gotowania wody, natomiast inne ją zamrażają?

A gdy Wisienka potwierdziła, ciągnął;

--- Podobnie jest z tymi siłowniami, przy czym są one wyregulowane na punkty krytyczne 22° i 30°. Przy temperaturze powietrza, zawartej w tych granicach, działają jak małe elektrownie zasilając w prąd przydzielone sobie obiekty, które na ten czas wyłączają z sieci głównej. Natomiast gdy jest zimniej, ogrzewają, a gdy cieplej --- chłodzą. Sto kilkadziesiąt takich siłowni na terenie Warszawy może zmienić temperaturę w mieście o 4°. Oczywiście są one tylko pomocniczym czynnikiem regulowania klimatu... Ale oto jesteśmy na miejscu.

Weszli do dużego gmachu siedziby redakcji "Nowin Astronautycznych".

Wisience dziwna wydała się pustka panująca w lokalu tego poważnego czasopisma. Andrzej sam? A zanim przyjechał, w ogóle nikogo

nie było. Jak i kiedy przygotowują materiał do numeru?

Andrzejowi te wątpliwości wydały się śmieszne.

--- Jest nas czterech, ale oczywiście nigdy nie rozsiadamy się tutaj ani nie nazywamy siebie szumnie redaktorami, jak to kiedyś było w zwyczaju. Piszemy artykuły, a prócz tego mamy mnóstwo czasu na inne prace i rozrywki. Korzystamy z współdziałania rozległej sieci czytelników...

--- Aha... I oni za was pracują? --- wtrąciła dziewczyna niepewnie.

Andrzej wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

--- Ale skądże, Wisienko. Nadsyłają nam materiały, ot, i wszystko. Całą pracę techniczną wykonują automaty. Segregują pocztę, tłumaczą obcojęzyczne teksty, wybierają rysunki i winiety. Natomiast do nas należy rola kierownicza. Człowiek stworzył maszyny, które mu służą za tłumaczy, rachmistrzów bądź obserwatorów. Ale żadna maszyna nie odbierze nam, twórcom cywilizacji, naszej człowieczej roli. Żaden choćby najprecyzyjniejszy automat nigdy nie uczyni człowieka niepotrzebnym.

Po chwili Andrzej dodał:

--- Nasze pismo pamięta zgoła inną sytuację. Kiedy powstało w 1957 r., zatrudniało cały aparat ludzi, którzy mieli pełne ręce roboty. Maszynistki przepisywały brudnopisy, redaktorzy wybierali teksty i zdjęcia, następnie łamali kolumny... Nawet listy płac --- bo wtedy jeszcze istniały pieniądze --- sporządzane były ludzką ręką.

\*

Trzydziestometrowy węgorz głębinowy świecił na całym ciele i ciskał przed siebie snopy blasków. Wznosząc się, to znów opadając, chwilami jakby stawał dęba, oparłszy ogon o muliste dno, i wtedy przypominał kobrę w pozycji zaczepnej.

--- To najdłuższe cielsko na Ziemi zostało odkryte dopiero w drugiej połowie XX wieku. Przedtem niektórzy uczeni przewidywali jego istnienie na podstawie wyławianych od czasu do czasu larw tej gigantycznej, drapieżnej ryby --- wyjaśniał Andrzej.

Mimo wspaniałości bujnej przyrody głębin morskich Wisienkę uderzyło co innego.

--- Jak odbywa się transmitowanie tej audycji?

--- Audycję telewizyjną, nadawaną z bazy podmorskiej, wybudowanej na czterokilometrowej głębi Morza Sargassowego, transmituje nam sztuczny księżyc, stojący nieruchomo nad Afryką równikową.

Wisienka entuzjazmowała się coraz bardziej. Miała ochotę klaskać w dłonie.

--- Ależ to wspaniałe: siedzieć na miejscu, a jednakże zwiedzać wszystko, co się chce. Czy muzeum ma jeszcze dużo sal?

--- Oo... --- Andrzej poruszył głową, jakby chciał powiedzieć, że nie pamięta ile.

--- Pokazałem ci może najciekawsze --- ciągnął. --- Zwiedzenie wszystkich, nawet wygodnym systemem, jest niemożliwe jednorazowo. Teraz przerzucmy się do Warszawskiej Siłowni Atomowej.

Za nakręceniem dwóch cyfr na przyrządzie nieco przypominającym dwudziestowieczną tarczę aparatu telefonicznego ekran zmienił swoje oblicze.

Olbrzymi reaktor atomowy, z góry przypominający kształtny garnek nakryty lśniącem srebrzyście wiekiem, długimi rzędami zwisające sztaby ze stopu plutonu, zapasowe pręty kadmowe, zbiorniki z ciężką wodą --- wszystko to wywierało na Wisience wstrząsające wrażenie. Nie zastanawiało jej nawet, dlaczego mijając w telewizyjnym spacerze jedną za drugą przestronne, błyszczące czystością hale nie spotykają żadnego człowieka. Mało tego --- gdyby zwracała więcej uwagi na szczegóły, mogłaby zauważyć, że wejście do Warszawskiej Siłowni Jądrowej jest zaryglowane i nic nie wskazuje, aby ingerencja ludzi należała tam do zjawisk codziennych.

Umysł dziewczyny zaprzątnęło co innego. Pierwszy raz zetknęła się twarzą w twarz z tą przejmującą siłą drzemiącą w samym sercu materii, której wyzwolenie i ujarznienie zadecydowało o obliczu nowoczesnej cywilizacji. Nie było to dla niej niespodzianką. Wiedziała przecież, że energia jądrowa stanowi główne, niemal wyłączne źródło mocy energetycznej produkowanej przez ludzkość, że od dziesiątków lat człowiek zrezygnował z marnotrawienia paliw chemicznych, miliony razy mniej wydajnych. Ale dla Wisienki ta sprawa kojarzyła się z najbardziej osobistymi wspomnieniami. Gdy patrzyła na wielkie automatycznie pracujące agregaty siłowni jądrowej,

wspomnienia przenosiły ją w dal czasu, w bez troskie lata dzieciństwa. Katastrofa, której wagi nie potrafiła wtedy pojąć... Choroba ojca... Wreszcie jego śmierć...

Potrzeba było lat, aby należycie oceniła tamte wydarzenia. Wtedy potęga rozszczepienia jąder atomowych stała się w kręgu jej subiektywnych odczuć siłą brutalną i złowrogą. Kojarzyła ją zawsze ze spokojną, dobrotliwą twarzą ojca, jaką zapamiętała z łoża śmierci. Teraz z tym samym pogodnym uśmiechem, skamieniały kosmicznym mrozem, krąży gdzieś po bezdrożach śródniebnej pustki...

\*

Andrzej spojrział na zegarek.

--- Mamy już niewiele czasu. Umówiłaś się z matką na godzinę osiemnastą w kawiarni Starego Pałacu Nauki i Kultury, zaraz cię tam odwiozę. Ale przedtem sięgnij wzrokiem w przyszłość. Wszyscy żyjemy dla niej. Bez troski o nią, bez serdecznego odczuwania jej --- człowiek byłby podobny do ślepca.

W szybkim tempie zjawiały się i mijały obrazy tego, co myśl ludzka zrodziła dziś, a jutro czyn ucieleśni błyskotliwą fantazję. Czego tam nie było. W oparciu o współczesne osiągnięcia techniczno-badawcze obrazy, rzeźby, rysunki, plansze i wykresy ilustrowały nadciągający nurt niepowstrzymanej rzeki cywilizacyjnego postępu. Raz po raz Wisienka, której nasuwały się różne wątpliwości, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wtedy zapytywała, czy coś takiego kiedyś będzie spełnione.

A obrazy przelatywały jak rój stubarwnych motyli, coraz śmielsze, coraz bardziej zaskakujące.

--- Ta maszyna do czytania myśli --- objaśniał Andrzej --- prawdopodobnie zostanie zbudowana już w naszym stuleciu. Na to potrzeba poznać finezję pracy mózgu w stopniu jeszcze większym niż obecnie. Bo przecież myśl jest funkcją mózgu, wywołaną przez procesy elektryczne w nim zachodzące. Od połowy XX wieku potrafimy mierzyć zmienne natężenie tych słabutkich prądów elektrycznych, obecnie zaś nadszedł czas, aby pokusić się o ich odczytywanie. Rzecz jasna, że wynalazek ten będzie służył rozwojowi naszej wiedzy o procesach psychicznych ludzkiego organizmu, a nie wykorzystamy go na przykład do podchwytywania cudzych myśli z ciekawości. Podobnie jak obrazy, które teraz widzisz, są nieme, aby nie zdradzić tajemnicy osobistych rozmów ludzi zwiedzających muzeum. Widzisz ich twarze, nawet poruszenia ust --- ale nic więcej.

Po wspaniałych wizjach dalszego przobrażenia oblicza ojczystej planety, jeszcze głębszego wdzierania się w jej gorące wnętrza i uzależniania klimatu od woli człowieka, rozszerzenia sztucznie konstruowanego życia na formy wielokomórkowe o bardziej zróżnicowanej budowie organizmu --- przyszły obrazy ilustrujące ujarzmienie przyrody innych globów. Widoki kosmicznego nieba rozniecały w sercu Wisienki burzę wspomnień. Tam, w pustce nieograniczonej, bez kontaktu z Ziemią, upłynęły wszystkie te lata, które miała poza sobą.

--- Co nastąpi wcześniej: przystosowanie Wenus do zamieszkania czy też podróże międzygwiazdne? --- rzuciła pytanie dziewczyna, wpatrzona w obraz wielkiego statku kosmicznego, lecącego w kierunku podwójnej gwiazdy Tolimaka z prędkością sześćdziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę.

--- Wyprawy międzygwiazdne --- odparł Andrzej bez namysłu.

--- Jeśli chodzi o dostosowanie przyrody innych planet do zamieszkania tam człowieka pod gołym niebem, przedsięwzięcie jest niezwykle skomplikowane. Ponadto wymaga ono długiego czasu, przy dzisiejszych warunkach technicznych --- całych wieków. Natomiast ku układom planetarnym innych gwiazd polecimy przypuszczalnie najdalej za sto lat. Dziś na przeszkodzie stoi jeszcze problem energetycznego spożytkowania wystarczająco dużej części masy spoczynkowej materii,



aby osiągnąć kolosalną prędkość pojazdu. Cała podróż tam i z powrotem nie powinna bowiem trwać dłużej niż kilkadziesiąt lat.

--- Za sto lat... --- powtórzyła dziewczyna na wpół do siebie. --- A więc ja na pewno nie polecę --- dodała po chwili z nutką żalu.

--- Gdybyś pracowała naukowo i bardzo chciała wziąć udział w pierwszej wyprawie międzygwiazdnej, to czemu nie --- rzucił wolno Andrzej. --- W każdym razie możesz mieć szanse.

--- Za sto lat? --- zdziwiła się. --- Jeśli nawet dożyję, czyżbym miała dość sił fizycznych i umysłowych na owocną pracę, czy starczyłoby mi życia, aby powrócić na Ziemię?

Dziennikarz przekreślił kolejny numer na tarczy i odparł z triumfem:

--- Spójrz. Nasza medycyna ma przecież także coś do powiedzenia.

Wisienka patrzyła przez dłuższą chwilę na obrazy, krzepiące serce śmiałością skutecznych zmagania z najbardziej zaborczym wrogiem człowieka --- ze śmiercią. Oczy jej rozszerzyły się w zachwyconym zdziwieniu.

Tego było za wiele, jak na pierwsze zetknięcie ze światem, który wymarzyła całym swym życiem, ale przecież nie rozumiała go jeszcze. Dziewczyna przygryzła wargi, żeby się upewnić, że nie śni. Wydawało jej się jeszcze przed chwilą, iż lepiej rozumie śmierć aniżeli życie. Śmierć jako coś nieuchronnego, bardzo oczywistego i nierozłącznie splecionego z życiem. Była świadkiem tylko jednej śmierci, i to przedwcześnie. Ojciec jej nie miał nawet osiemdziesięciu lat, przed wypadkiem był w pełni sił i zdrowia. Ale wiedziała, że w wieku stu kilkadziesiąt lat każdy musi umrzeć. Nie przychodziło jej do głowy, iż tę

barierę da się odsunąć w czasie albo w ogóle zwać. Po prostu nie myślała o tym. Zadowalała się świadomością, że ma przed sobą najwyżej stulecie nadziei na szczęśliwy traf, który pozwoli jej wylądować na Ziemi. A teraz, kiedy to przemożne marzenie dziewczyny nagle się spełniło, kiedy pałała radosną perspektywą spędzenia całego życia pod błękitnym niebem --- dowiadywała się, że to życie nie musi zawrzeć się sumą stu albo dwustu lat. Ogarnął ją podziw dla osiągnięć ludzkiej myśli, a zarazem poczucie potęgi.

--- A więc nawet do tysiąca lat? --- zapytała.

--- I grubo więcej --- odparł Andrzej. --- Obecnie człowiek żyje przeciętnie półtora stulecia. Ale badania nad możliwościami daleko posuniętej regeneracji tkanek właśnie teraz, w ostatnich kilku latach, zdają się wychodzić z impasu.

Wisienka zamyśliła się:

--- Więc taka jest Ziemia, takie jest na niej życie...

Andrzej spojrział na zegarek.

--- Jedziemy. Najwyższy czas.

**Andrzej Trepka**

**OSTATNI LOT**

... "Ciołkowski" --- T5-68-92...78 awaria BX-65...

--- Halo! Powtórzcie! Rejestruję na taśmie --- zawołał w podnieceniu Paweł Błady, radiotelegrafista "Zorzy".

Znowu popłynął w przestrzeń umowny sygnał dla okrętów kosmicznych znajdujących się w niebezpieczeństwie. Błady z przejęciem pilnował dokładności zapisu, wiedząc, że tylko on mógłby być jedynym adresatem radiowego telegramu nadawanego z "Ciołkowskiego".

Niemal natychmiast po odebraniu meldunku cała załoga zgromadziła się w sali imprezowej. Larsen, biolog, a zarazem kronikarz wyprawy, który przewodniczył naradzie, z błyskiem w oczach powitał brzęczyk telefonu. Ale zacięty wyraz ust telegrafisty na ekranie zgasił jego nadzieje.

--- Niestety, sytuacja bez zmian --- odezwał się głos z telewizora. --- Ziemia milczy. Cała odpowiedzialność spoczywa w dalszym ciągu na nas.

--- Nie rozumiem--- wtrącił ktoś z zebranych. --- Przecież nie starczy nam zasobów energetycznych na rejs do nich, a cóż dopiero mówić o powrotnym osiągnięciu Ziemi. Wzajemne położenie reprezentowanych przez nas trzech punktów w przestrzeni jest wyjątkowo niekorzystne. Mózg elektronowy może przeliczyć, ale ręczę, że mam rację.

--- Nasza rola sprowadza się do pośrednictwa w przekazaniu Ziemi meldunku "Ciołkowskiego". Ale sprawa wcale nie jest prosta --- odparł Larsen poważnie.

Minęła godzina, która upewniła astronautów z "Zorzy", że kontaktu z Ziemią nie uda się nawiązać przed upływem paru tygodni. Nadawane fale radiowe przechodziły bowiem tuż obok Słońca; jego bliskość i wywoływała zbyt silne zakłócenia w odbiorze. Lecząca na Marsa rakieta "Ciołkowski", która uległa awarii wymagającej jak najszybszego zabrania załogi przez inny okręt kosmiczny, już od tygodnia utraciła łączność z Ziemią z tego samego powodu.

--- Widzę tylko jedno wyjście --- odezwał się Larsen. --- Trzeba wyrzucić w przestrzeń naszą stację przekaźnikową, nadając jej taką prędkość, aby w ciągu kilku dni osiągnęła położenie, z którego Ziemia odbierze meldunek. Co o tym sądzicie? --- Powiódł bystrym wzrokiem po zebranych.

Sądzieli, że tak trzeba. A była to decyzja bardzo trudna. Wyprawa nie dysponowała bowiem żadną dodatkową aparaturą dającą gwarancję radiowej łączności z Ziemią. Zresztą nie wskutek niedbalstwa ze strony organizatorów międzyplanetarnej ekspedycji. Zaopatrzone ją w sześć takich stacji, licząc się z podziałem ekspedycji na grupy przy badaniu Wenus. Ponadto Międzynarodowa Unia Astronautyczna wyposażyła "Zorzę" w wielką stację przekaźnikową, na wypadek jakichś niespodziewanych zakłóceń odbioru. To potężne urządzenie radiowe miało według oceny fachowców obejmować zasięgiem cały układ słoneczny.

Teoretyczne rachuby zawiodły jednak. Warunki, z jakimi stykano się w pierwszych podróżach na Księżyc, nie były identyczne z daleką przestrzenią kosmiczną poza strefą aktywności Ziemi. Silne pola magnetyczne o niezupełnie wyjaśnionym pochodzeniu w dużym stopniu utrudniały odbiór. W tej sytuacji tylko główna radiostacja zapewniała stałą łączność z Ziemią.

--- Po jakiej orbicie wyślemy stację przekaźnikową? --- zapytał Edward Grabowski, młody geolog z Warszawy.

--- Po hiperbolicznej --- odparł krótko Larsen.

Odpowiedź nie mogła być inna --- wszyscy o tym wiedzieli. Chcąc w ciągu najbliższych dni zawiadomić Ziemię o awarii "Ciołkowskiego", należało wyrzec się na zawsze wielkiej radiostacji, jedynej pewnego łącznika z macierzą Ziemią. Polecie w rozległe przestworza kosmiczne, ku układom innych gwiazd, mogąc liczyć czas w milionach wieków, a przestrzeń w krociach lat świetlnych. Ale na samym początku tej bezkresnej drogi ma wypełnić swoje nagłe przeznaczenie --- ratować życie ludzi.

\*

"...Już ósmy dzień takiego kołowania. Od kiedy przeistoczyliśmy nasz dom z okrętu kosmicznego w sztuczny księżyc, co półtorej godziny kilkanaście sekund pracy silnika przypomina nam, że nie jesteśmy przytwierdzeni do żadnego podglebia. Czynność ta pozwala uzupełnić stratę prędkości wywołaną tarciem o wysokie warstwy jonosfery Wenus. Do niedawna każdorazowo nad północnym biegunem planety skręcaliśmy o kąt wynoszący dwa stopnie, aby kolejnego okrążenia dokonać

nad innym południkiem. Dzięki temu otrzymaliśmy pełną mapę fotograficzną globu. Czekanie bowiem kilka tygodni, aż planeta

sama dokona obrotu wokół swej osi, byłoby zbyt wielką próbą naszej cierpliwości.

Powierzchnia Wenus okazała się oceanem, urozmaiconym archipelagami wysp, z których największa przypomina wielkością Grenlandię. Tam też założono kilkunastoosobową bazę badawczą. Według wstępnych danych są to wyspy pływające. Dotychczas nie udało się wpaść na trop cywilizacji Wenusjan. Oprócz tajemniczych sygnałów radiowych, odbieranych na Ziemi w ciągu ostatnich lat, nie ma dotąd żadnych dowodów, że Wenus jest zamieszkała przez istoty inteligentne.

Miałem pojechać w pierwszym zwiadzie, kiedy alarmowy meldunek z "Ciołkowskiego" skomplikował naszą sytuację. Wysłanie głównej stacji przesyłowej w przestrzeń zmusiło nas do przystosowania przynajmniej jednego z istniejących urządzeń nadawczych do jakiejś takiej łączności z Ziemią oraz z załogą uszkodzonej rakiety, której sytuacja jest bardzo ciężka. Nawet przy najsprawniejszej akcji ratunkowej z Ziemi --- pomoc dotrze dopiero za parę tygodni..."

Te słowa zapisał Larsen w dzienniku okrętowym pod datą 10 maja 1970 roku. Usłyszawszy kroki, odwrócił głowę. Przy nim stał Paweł. Z jego czarnych oczu bił smutek i rezygnacja.

--- Nic nie poradzimy --- powiedział wolno. --- Ziemia dowie się dopiero za miesiąc.

Larsen spojrzał badawczo w twarz kolegi.

Stacja przekąźnictwa --- ciągnął tamten --- przedwczoraj wyrzucona w przestrzeń, umilkła kilkanaście minut temu. Mózg elektronowy oświadczył stanowczo, że rytmicznie powtarzany przez nią meldunek o uszkodzeniu "Ciołkowskiego" nie został odebrany z Ziemi.

--- Katastrofa rakiety? Mało prawdopodobne rzucił Arsen jakby do siebie.

--- Może awaria radiostacji odparł Paweł w zamyśleniu. --- Też mało prawdopodobne, bo działała bez zarzutu. Prawdziwego powodu jej zamilknięcia nie dowiemy się nigdy. Zresztą to nieważne...

W tym momencie z laboratorium geologicznego włączył się telewizyjnie Edward Grabowski. Twarz miał nieco przybladłą, kąćki ust drgały mu nerwowo.

--- Czy przystosowałeś już choćby jedną radiostację do łączności z Ziemią? --- zapytał pośpiesznie Pawła.

--- O tyle, o ile było to możliwe --- odparł radiotelegrafista. --- Czy chciałbyś wysłać ją w zastępstwie tamtej?

--- Żałujesz jej może? --- wyrzucił z siebie Edward zapamiętałe.

--- Rozumiem twoje zdenerwowanie, mój drogi --- powiedział Paweł spokojnie, jakby dla zaakcentowania, że to wystąpienie zupełnie go nie uraziło. --- Ale wysłuchaj mnie. Jak wiesz, w praktyce łączność z Ojczyzną okazała się znacznie trudniejsza, niż to przypuszczaliśmy na Ziemi. Radiostacje, które w rejonie Księżyca doskonale nam służyły, w dalszej drodze nie zdały egzaminu. I dlatego największe możliwe ich wzmocnienie nie daje gwarancji normalnego połączenia się z macierzą Ziemią. Używając tej, którą przerobiłem, doświadczony radiotechnik może coś wskórać. Natomiast wysłanie jej w przestrzeń ze zwyczajnym urządzeniem automatyzującym nadawanie jest zgoła bezcelowe. Byłoby to mydlenie sobie oczu.

--- Więc sprzęgnijcie ją z głównym mózgiem elektronowym.

Paweł posmutniał.

--- Nie dręcz nas. Przecież chyba rozumiesz, że równałoby się to niemal samobójstwu.

--- Znowu żałujesz. Jakby chodziło o twój mózg! --- rzucił porywczo Edward.

--- Opanuj się... --- uspokajał go Paweł.

--- To wstrętne --- przerwał geolog. --- Wstrętny, ohydny targ, gdy chodzi o życie ludzi.



--- Przerwałeś mi --- odparł radiotelegrafista. --- Pozwól mi dokończyć. Nie wysłamy mózgu elektronowego z tej najprostszej przyczyny, że nie zmieściłby się w żadnej z raket, jakimi dysponujemy.

Chwila ciszy, w którą gruchnęły słowa Edwarda:

--- Mózg nie przyleciał tu na skrzydłach, tylko przywiozła go "Zorza". Opróżniłbym ją ze wszystkiego innego i wysłał bez szerokiego rozdziawiania ust nad pytaniem, co będzie z nami. Jakoś by było.

Paweł posmutniał.

--- Bądź rozsądny. Przecież "Zorzy" pozbyć się nie możemy.

Twarz Edwarda raptownie znikła z ekranu.

\*

Paweł stał przed telewizorem z głową nieco wysuniętą do przodu. W jego oczach migotały złe błyski. Larsen, który jako kierownik założonej dwa dni wcześniej bazy na największej z wysp Wenus, dopominał się uzgodnionego poprzednio przylotu Grabowskiego, zdradzał wyraźnie zakłopotanie.

--- Twoim obowiązkiem było nie wypuszczać rakiety z radarowego pola widzenia, aby w razie potrzeby wziąć na siebie kierowanie jej z odległości --- sucho stwierdził Paweł. --- I cóż teraz zrobić? Przecież nie mamy zielonego pojęcia o locie Edzia. Poradź przynajmniej, gdzie go szukać...

--- Chyba nie podejrzewasz jeszcze jednej katastrofy --- rzucił biolog. --- Najpierw "Ciołkowski", potem rakieta ze stacją przekaźnikową teraz... Nie, to wyglądałoby na jakieś sprzysiężenie.

--- Sił nadprzyrodzonych, nieprawdaż? --- wybuchnął Paweł. Skojarzenie wydało mu się tak zabawne, że nagle parsknął śmiechem.

--- Czy Grabowski zabrał z sobą Edgara? --- spytał Larsen.

--- Nie. Poleciał sam --- odparł krótko Paweł.

--- Dlaczego? Tak prosiłem ich obu. Mówiłem, że są mi gwałtownie potrzebni do ustalenia na miejscu wieku pewnych formacji skalnych, które mogą stanowić klucz do zagadki cywilizacji. Moim zdaniem, ona niewątpliwie istnieje. Ale nie czas na te rozważania. Dlaczego Edgar Smith nie poleciał?

--- Zaraz go zapytam rzucił Paweł, naciskając jeden z guzików na pulpicie.

Edgar Smith był najmłodszym uczestnikiem ekspedycji --- liczył sobie niecałe dwadzieścia lat.

Został wysunięty przez Międzynarodowe Zrzeszenie Studentów, organizację, której astronauta „Zorzy” na długo przed wyruszeniem ofiarowali dar godny zdobywców nieba: jedno miejsce w rakiecie. Był aż śmiesznie przejęty swoją rolą asystenta znanego i cenionego geologa.

Współpraca z Grabowskim układała mu się bardzo przyjemnie. Dopiero tego dnia spotkała go wielka przykrość, której genezy nie był w stanie zrozumieć. Mimo poprzednich zapewnień, że badania geologiczne na Wenus rozpoczną wspólnie, Grabowski w ostatniej chwili oświadczył stanowczo, że leci sam. Nawet nie pozwolił odprowadzić się do rakiety. Obiecał wprawdzie przylecieć nazajutrz po Edgara, ale wypowiedział to z jakimś zmieszaniem. Przynajmniej student odniósł wrażenie, że geologowi zależało na tym, by jak najszybciej z nim się pożegnać.

\*

Edward rozprężył ramiona i swobodnie opuścił ręce. Bolały go palce od stukania w klawisze radiostacji. Bębnił tak bez przestanku przez sześć godzin --- od chwili, gdy doszedł do wniosku, że Ziemia powinna móc już odebrać sygnały.

Nie wymagało to zresztą żadnych poważnych obliczeń.

Patrząc na rodzinną planetę, świecącą w czarnej otchłani nieba, mógł zwykłym sekstanssem ustalić jej kątową odległość od Słońca. Ponadto stwierdził, że błyszczący w niebie obraz Ojczyzny zdążył się już przesunąć poza najsubtelniejsze włókna zewnętrznej korony słonecznej, obserwowanej przez dobrą lunetę. A właśnie o to chodziło. Niezależnie od tego skorzystał z najbardziej miarodajnego sposobu: z odbiorczej aparatury radiostacji. Trzaski wywołane bliskością Słońca na drodze przelotu fal nie zniekształcały audycji z Ziemi na tyle, aby nadal odwlekać próbę porozumienia się.

A czas naglił. Edward czuł się źle. Krótkotrwałe działanie bardzo silnego przyspieszenia, nie stosowanego w rakietach z załogą, jeszcze teraz odbijało się na jego kondycji. Zawroty głowy nie ustawały. To go niepokoiło najbardziej. Myślał z przerażeniem, co by było, gdyby stracił przytomność i nie mógł spełnić swego postanowienia. Starał się dobrze odżywiać. Oprócz najprostszych środków wzmacniających --- nie zabrał w drogę żadnych lekarstw. Dlatego radiowa konsultacja z "Zorzą" wiele by mu nie dała. Odwlekał kontakt z kolegami. Musiał tylko koniecznie upewnić Pawła, że ostatnia ich rozmowa nie miała wpływu na jego decyzję. Ale z tym zdąży. Najważniejsza Ziemia. Ziemia musi się dowiedzieć...

Cała doba minęła bez rezultatu. Edward nawet nie zdrzemnął się. Środki pobudzające pozwalały mu na to, ale czuł się gorzej. Miał gorączkę, której nawet nie mógł zmierzyć. Oddychanie atmosferą coraz bardziej obfitującą w dwutlenek węgla, sprowadzało uczucie duszności. Pojazd bowiem, dostosowany do krótkodystansowych lotów, nie był zaopatrzony w urządzenia regenerujące powietrze. Edward dysponował wprawdzie jeszcze niewielkimi zapasami czystego tlenu, ale użycie ich odkładał na czarną godzinę.

Edward żałował teraz, że jego amatorskie wiadomości radiowe były zbyt skąpe. Manipulował aparaturą na wszelkie sposoby, a jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że doświadczony radiotechnik już dawno uzyskałby łączność.

W przerwach między bezowocnymi próbami nawiązania porozumienia słuchał audycji z Ziemi. Zakłócenia wywołane przez Słońce ustały niemal zupełnie. To utwierdziło go w przekonaniu, że przesłanie meldunku za pomocą radiostacji, którą dysponował, jest całkowicie realne. Dźwięki muzyki, głosy ludzi, nieraz osobiście mu znanych, miasta, z których te audycje nadawano --- wszystko to razem przenosiło go na skrzydłach marzeń w rodzinny świat, który opuścił i do którego dobrowolnie odciął sobie na zawsze drogę powrotu. Stawały mu przed oczami obrazy sprzed lat, nawet sprzed kilku miesięcy i chwilami podświadomie żałował, że znalazł się tu. A jeśli nie uzyska połączenia? Jeśli to wszystko nie było potrzebne?...

--- Halo! Halo! Tu mówi rakieta "Ciołkowski"! --- zabrzmiało nagle z aparatu.

Edwardowi wydało się, że śni. Wyteżył słuch. A więc porozumieli się z Ziemią. Bez niego...

Okazało się jednak wkrótce, że była to transmisja audycji nadanej z "Ciołkowskiego" parę dni przed katastrofą. Spiker wyjaśniał, że obecnie łączność radiowa z tą rakieta, jak również z "Zorzą" jest przerwana z powodu niekorzystnego ich położenia w przestrzeni i że na świeże wiadomości od astronautów trzeba będzie poczekać ponad miesiąc.

--- Nieprawda! --- krzyknął Edward z całych sił. --- Bracia moi! Ludzie ze wszystkich kontynentów Ziemi, słuchajcie mnie. Odpowiedzcie, że słyszycie.

Ochrypl na chwilę. Przełknął ślinę. Przysunął ucho jak najbliżej do aparatu.

Posłyszał tylko jakąś skoczną melodię i z pasją przekreślił gałkę.

Powietrze w rakiecie absolutnie nie nadawało się już do oddychania. Edward zdążył zużyć zapas tlenu. Pozostałe dwie butle mogły przy najoszczędniejszym używaniu starczyć na pięć godzin. W tej sytuacji przeprowadził błyskawiczną konsultację z radiotelegrafistą "Zorzy". Urwawszy krótko indagację na temat swojej decyzji i sytuacji, w jakiej znajdował się obecnie, Edward tylko prosił Pawła, żeby nie robił sobie wyrzutów z powodu ich ostatniej rozmowy. Wyprawa istotnie nie mogła się pozbyć "Zorzy", pomysł ten był istotnie nierealny i mógł doprowadzić do fatalnych skutków. Potem rozmawiali już wyłącznie na temat techniki użycia radiostacji. Od czasu do czasu Edward skwapliwie notował. Wyłączając się, obiecał zawiadomić o rezultacie.

Automatyczne urządzenie bez przerwy nadawało meldunek dotyczący awarii "Ciołkowskiego" i położenia statku w przestrzeni. Edward tymczasem manipulował przy radiostacji. Przerażonym wzrokiem ogarnął wyczerpującą się butlę z tlenem. Czy wystarczy jeszcze na godzinę? Chyba nie. Czy zdąży? Szanse malały z każdą minutą. Przez chwilę zapatrzył się w niebo. Było aksamitnoczarne, ozdobione złotymi punkcikami gwiazd. Osłonięty od palącego żaru Słońca, miał i w polu widzenia śnieżystobiałą poświatę korony słonecznej, rzucającą warkocze, które rozpląwały się w czerni. Na prawo od niej świeciła

jasna, biała gwiazda. Ziemia... Taka maleńka iskierka w bezkresach Kosmosu. Wpatrywał się w nią łapczywie z tragiczną wiedzą, że nigdy, nigdy nie ujrzy jej inaczej, że wszystko, co tam zostawił, będzie trwało poza kręgiem jego odczuć. Splecioną z tysiącem wspomnień drogich i najdroższych, witał ją teraz każdym spojrzeniem, a bał się pożegnać. Przecież musi usłyszeć głos stamtąd. Że odebrali meldunek.

Patrząc w kosmiczną twarz Ojczyzny począł mówić do niej słowa bez związku, wzywać ludzi, których skrzywdził swoją samobójczą wyprawą, słowa gorące i prośby o przebaczenie splatały się z odtwarzaniem wspomnień, z urywkami dialogów stamtąd, z Ziemi. Przeląkł się, że bredzi, że to początek agonii. Spojrzał na butlę z tlenem. Jeszcze nie było oznak ostatecznego wyczerpywania się tego życiodajnego gazu. Ma trochę czasu, bardzo mało --- musi go wykorzystać.

Ostrożnie manipulował gałkami aparatu, tracąc nadzieję powodzenia. Nagle zapaliła się czerwona ostrzegawcza lampka. Tlen czerpał już tylko z rezerwy. Przy unikaniu gwałtownych ruchów miał przed sobą piętnaście minut życia.

--- Potwierdzamy odbiór meldunku --- zabrzmiał nagle z aparatu wyraźny głos.

W dalszym ciągu spiker domagał się szczegółów dotyczących sytuacji rakiety przekazującej wiadomości.

Edward uśmiechnął się blade. --- Jakie szczegóły ma podać? Że lampka ostrzegawcza pali się coraz intensywniej? Jednocześnie zdał sobie sprawę, że zwyciężył.

--- Czy słyszycie mnie? --- zawołał do aparatu. --- Tu mówi Edward Grabowski z ekspedycji "Zorzy". Czy słyszycie mnie?

Nikt nie odpowiadał. Widocznie przekręcił gałki od czasu, gdy radiostacja była nastawiona na dobry odbiór z Ziemi. Wiedział, że nie zdąży utrafić tamtego położenia. Chciał powiedzieć coś od siebie, przekazać myśli, z którymi odchodzi. Łza zakręciła mu się w oku. Choć wiedział, że ludziom, którzy się rozumieją, nie potrzeba słów, że ostatnie jego godziny i minuty będą odtworzone w jakiś sposób w wyobraźni najbliższych --- było mu żal, że nie może nic powiedzieć.

--- Ziemia zawiadomiona --- oświadczył kolegom z "Zorzy".

Zgasił aparaturę. W tym momencie uczył, że się dusi. Ogarnął ciepłym spojrzeniem Ojczyznę, która świeciła spokojnym, białym blaskiem, i zwałił się na podłogę.

Charles Markland, główny astronawigator Towarzystwa Linii Kosmicznych, wypadł ze swojej pracowni. Szybko przebiegł rozległą salę o ścianach z przezroczystego plastigonu, gdzie precyzyjne aparaty pomiarowe i zespoły mózgow elektronowych dokonywały skomplikowanych obliczeń i nacisnął klamkę drzwi prowadzących do pokoju kierownika raketniska.

--- Co panu, Markland? --- zaniepokoił się David Crabb.

--- To niebywale. Chyba postradałem zmysły.

--- Co się stało?

--- "Z-218" nie wylądował.

--- Uszkodzenie sterów na pokładzie?

--- Działają normalnie.

--- A automaty telesterujące?

--- Pracują bez zarzutu.

--- Tor uległ zakłóceniu?

--- Rakieta szła ściśle według namiarów.

Zapadło pełne napięcia milczenie.

Umysły obu mężczyzn owładnęła ta sama myśl. "Z-218", automatyczny pojazd kosmiczny bez załogi, utrzymujący łączność z "ASTERISK I" sterowany precyzyjnymi aparatami po dokładnie wyliczonym torze --- nie wylądował na raketnisku w Newpolis.

Czyżby błąd w rachunku? --- pomyślał Crabb i spojrzął z niepokojem na Marklanda.

W spojrzeniu głównego astronawigatora czaiła się ta sama myśl.

Obaj mężczyźni czuli jej niedorzeczność. Odkąd precyzyjne mózgi elektronowe zostały wprzęgnięte w służbę człowieka, błąd stał się pojęciem niemal historycznym, wyeliminowanym z naukowego rachunku. A jednak tylko takie przypuszczenie mogło tłumaczyć tajemnicę rakiety "Z-218", która nie powróciła na Ziemię.

--- "Z-218" osiągnął planowo perigeum --- zaczął cicho Charles Markland --- i wszedł w atmosferę na tor eliptyczny kontrolowany przez alternatory. Potem wykonał pierwszą elipsę Keplera według poleceń automatów prowadzących. Od tego momentu rozpoczęło się to dziwne zjawisko. "Z-218" nie wszedł już po raz drugi w głębszą warstwę atmosfery, ale tor jego uległ gwałtownej zmianie...

Zamilkł.

--- Dlaczego? --- spytał Crabb natarczywie.

Główny astronawigator wzruszył bezradnie ramionami.

David Crabb poderwał się z krzesła i wybiegł z pokoju do hali. Markland podążył jego śladem. Wokół instrumentów poruszali się w nerwowym pośpiechu pracownicy. W twarzach ich malowała się bezsilność. Krążyli wokół przyrządów i maszyn, których doskonałości zawierzyli. Te czułe aparaty, które wielokrotnie prześcignęły precyzję ludzkiego umysłu i dokonywały błyskawicznie i bezbłędnie obliczeń, miały po raz pierwszy zawieść? Przypuszczenie wydawało się wyraźnym

absurdem. Mózg elektronowy nie podlegał zakłóceniom. Prędzej chyba można by przypuszczać, że główny astronawigator oszalał...

--- Tu nie ma czego szukać! --- pomyślał Crabb.

Pobiegł korytarzem do hali aparatury sterującej. Kiedy przekraczał próg, uderzyły w niego te same bezradne spojrzenia.

Dick Langhurst trwał pochylony nad cyframi wyliczenia.

--- Co z rakieta "Z-218" --- wykrzyknął David Crabb, nie panując nad sobą.

--- "Z-218" nie jest już rakieta... --- odpowiedział Langhurst głucho.

Wtedy Crabb ostatecznie pojął, że raketnisko w Newpolis straciło łączność z pojazdem kosmicznym bezpowrotnie. "Z-218" podzieliło los meteorów zagubionych w Kosmosie.

## 2

Harold Finlay przekroczył próg redakcji "The World" jak zwykle pięć minut przed godziną jedenastą.

--- Good morning! --- odpowiedziała na ukłon sekretarka.

--- Uff! Co za fatalna pogoda.

Zatarł pulchne dłonie, które skostniały z zimna, strzepnął topniejący śnieg z kołnierza palta.

--- Śnieg w czerwcu to naprawdę coś niebywałego --- przytaknął Dick Wardrop.

--- Goddam! Mamy wielkich uczonych, a nie potrafią ochronić nas przed byle zwariowanym kaprysem atmosfery --- mruknął Finlay pchnął drzwi do swego gabinetu.

Kiedy zagłębił się w miękki fotel, niezadowolenie roztopiło się z resztką zimna, które przyniósł z ulicy. Zapalił cygaro i spojrzał na rozłożone na biurku korektowe odbitki gazety. Pogrążył się w lekturze.

Ale cisza, której przestrzegano w redakcji podczas jego obecności, uległa nagłemu zakłóceniu. W sąsiednim pokoju odezwały się podniesione głosy, potem drzwi otworzyły się gwałtownie i do wnętrza wpadł John Mills, łapiąc z trudem oddech.

--- Co to znaczy, John? --- uniósł brwi Finlay.

W dłoni dziennikarza tkwiła wstęga papieru, którą Mills zerwał z wałka dalekopisu.

--- Straszliwy sztorm na Atlantyku! --- sapnął.

Harold Finlay zaczął połykać litery telegramu.

„Potworna burza morska o nie notowanej dotąd sile rozszalała się ubiegłej nocy na Oceanie Atlantyckim. Potężna fala, która natarła na wybrzeże kontynentu amerykańskiego, spowodowała olbrzymie zniszczenie. Rozmiary szkód przewyższają skutki najcięższych tajfunów i trzęsień ziemi, które kiedykolwiek nawiedziły Amerykę. Wiele miejscowości uległo zatopieniu przez wysoką falę. Urządzenia portowe doznały poważnych uszkodzeń. Dziesiątki wraków rozbitych okrętów zostały wyrzucone przez fale morskie na ląd. Na razie nie da się ustalić liczby ofiar gwałtownego kataklizmu”.

--- Do diabła! --- zaklął Finlay.

Sprawa była poważna i nie należało budzić paniki wśród czytelników.

Ciszę, która zawisła nad biurkiem Finlaya, sploszyło wtargnięcie do gabinetu Susan Cheeseman.

--- Co znowu? --- zachnął się Finlay.

Susan bez słowa wręczyła mu fotogram.

Finlay spojrzał na papier.

"Gwałtowny spadek temperatury, który zarejestrowano ubiegłej nocy na terenie Stanów, był dużym zaskoczeniem dla



farmerów i plantatorów. Ponieważ fala zimna nie była sygnalizowana przez obsługę meteorologiczną, przymrozek na olbrzymich przestrzeniach dotknął nasze rolnictwo. Wydaje się, że straty w tegorocznych zbiorach..."

--- Goddam! --- zaklął Harold Finlay, przerywając lekturę.

### 3

Profesor Geoffrey Abrahams przetarł dłonią czoło i uniósł znad map posępny wzrok.

To wszystko było niepojęte.

Daremnie od kilku godzin przebiegał uważnym spojrzeniem mapy

powierzchniowe kreślone co trzy godziny przez głównego synoptyka, komplet map wiatrów i izoterm wyższych warstw atmosfery oraz szereg wykresów adiabatycznych z wynikami obserwacji tych rejonów. Zjawiska, które zaszły w ciągu ostatnich kilkunastu godzin w atmosferze, nie mieściły się w kryteriach, jakimi posługiwała się nauka przy określeniu ruchu układów barometrycznych.

Nakręcił niecierpliwie numer na białej tarczy aparatu.

Ekran ukazał twarz Dicka Turnera.

--- Halo, Dick, masz już meldunki z godziny dwunastej?

--- Yes!

--- Podaj.

Matowy głos zaczął wyliczać złowrózne cyfry.

--- Tak... --- mruknął meteorolog. --- Spodziewałem się tego...

Stwierdzenie było właściwie zbyteczne. Dalszy spadek temperatury rósł z jakąś absurdalną konsekwencją, której świadomość tkwiła w całym sztabie Centralnego Biura Meteorologicznego.

--- Dziękuję!

Obraz znikł.

Geoffrey Abrahams nerwowym ruchem sięgnął po papierosa.

W bezkresnych przestrzeniach atmosfery nad kontynentem Północnej Ameryki czaiło się zagadkowe i groźne niebezpieczeństwo. Widmo niezrozumiałej dla meteorologii metamorfozy, którą w pełni lata w postaci kataklizmu burz na Atlantyku, opadów śnieżnych w Kalifornii i przymrozków na Florydzie rejestrowały instrumenty sieci stacji CBM, rosło w monstrualne zjawisko.

Dłoń profesora spoczęła na czerwonym tastrze dzwonka.

W bezszelestnie otwartych drzwiach stanęła Betty Parrington.

--- Proszę wezwać doktora Cartera.

Młoda brunetka opuściła bez słowa pokój.

Geoffrey Abrahams spojrział w okno. Białe płatki ciężkiego śniegu wirowały za szybą, pędzone przez porywisty wiatr.

--- Słucham, mr Abrahams.

Profesor nie zauważył, że do pokoju wszedł wysoki i szczupły mężczyzna.

--- George!

Nerwowym gestem poprosił ku sobie głównego synoptyka. Kiedy Carter znalazł się przy biurku, uczony uniósł z fotela swoją postać, wsparł się jedną ręką o krawędź biurka, a drugą gestem wyrażającym bezsilność wskazał na rozłożone mapy.

--- George, co powiesz na to?

Carter nie spojrzał nawet w kierunku map, których relacje były mu wiadome równie dokładnie, jak profesorowi. Znał na pamięć wykresy izobar, charakterystykę mas powietrza i układ frontu na przestrzeni ostatniej tragicznej doby.

Wzruszył ramionami bez słowa.

--- George, pytam ciebie raz jeszcze: co sądzisz o tym wszystkim?

Główny synoptyk milczał.

--- Goddam! Powiedz coś, bo oszaleję! --- sapnął Geoffrey Abrahams z oznakami głębokiego poruszenia.

--- Mr Abrahams, uczono mnie, że atmosferą rządzą ściśle i konsekwentne prawa...

--- Co chcesz przez to powiedzieć? --- przerwał mu gwałtownie profesor.

--- Że elementy meteorologiczne zagubiły swój przyczynowy związek, a nasza znajomość procesów dynamicznych i termodynamicznych, które zachodziły dotąd w atmosferze, straciła aktualność...

--- George! Sądzisz, że prawa rządzące atmosferą przestały obowiązywać? To gruby błąd, rozumiesz? To niedorzeczność! Pleciesz głupstwa, jak uczeń...

Geoffrey Abrahams był blady i drżał jak w febrze.

--- Ależ, profesorze... Panie profesorze, co panu?...

Głos Cartera zabrzmiał nutą niepokoju.

Uczony opadł ciężko na fotel.

#### 4

Astrofizyk dr Cyril Hogan oznaczył oś Ziemi na rysunku, który nakreślił na tablicy, i przeniósł spojrzenie na zebranych.

Pośród słuchaczy zapanowało pełne napięcia milczenie. Oczekiwano w skupieniu słów znakomitego uczonego.

--- Kiedy w połowie ubiegłego stulecia --- zaczął wolno dr Hogan ---

geologowie odkryli niezbite dowody na fakt istnienia w zamierzchłych tysiącach rozległych pól lodowych w okolicach wysp Hawaj, nauka zaczęła z wielką uwagą analizować owo wydarzenie, które przed kilkunastu tysiącami lat zmieniło słoneczne wyspy w pustynię lodową. Uczni europejscy, pasjonujący się tym tematem przed pięćdziesięciu laty, doszli do wniosku, że w epoce dyluwialnej otaczały Ziemię obłoki gęstej mgły, złożone z gazów i pyłu. Znaczna ich grubość utrudniała naświetlenie powierzchni Ziemi przez Słońce, w wyniku czego ze znaczną obniżką temperatury przyszło silne zlodowacenie przestrzeni arktycznych i wzrost ich ciężaru.

Dr Cyril Hogan spojrzał po twarzach zebranych. Były posępne i skupione.

--- Uczni XX wieku wysunęli hipotezę o możliwości powstawania dużych odchyłeń w ruchu Ziemi wokół Słońca i skłonności osi Ziemi do znacznej zmiany położenia. Zjawisko, o którym mowa, zachodziło w dziejach Ziemi na przestrzeni długich dziesiątków tysięcy lat i warunkowało olbrzymie zmiany klimatyczne kontynentów, szczególnie na północy i południu...

Uczony zbliżył się do rysunku, który widniał na tablicy.

--- Drodzy koledzy! Po trosze zagubiliśmy, po trosze zlekceważyliśmy teorię Szweda dra Axela Hallenborga, który równo pół wieku temu, w 1956 r., wykazał dziwne podobieństwo objawów towarzyszących eksperymentom wybuchów atomowych do zjawiska z epoki dyluwialnej. Obłoki radioaktywnego pyłu, wyrzucone w przestrzeń przez wybuchy, ulegały przemieszczeniu ku biegunowi północnemu na skutek prądów powietrznych znanych meteorologom, gdzie, skondensowane w atmosferze,

wywoływały gwałtowne burze śnieżne. Według obliczeń Hallenborga ciężar lodów arktycznych z powodów ówczesnych naszych eksperymentów wzrósł niezmiernie szybko o około 20 procent.

Mówca urwał i spojrzał znowu po słuchaczach. W twarzach czaiło się napięcie.

--- Chyba nie trzeba przypominać w tej chwili ilości prób, które przeprowadziliśmy na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat w celu dalszego udoskonalenia termojądrowej broni... Zwiczniliśmy tym równowagę ciężaru Arktyki i Antarktyki. Wbrew logice faktów beztrąsko zwiększyliśmy naszymi eksperymentami na północnej półkuli zapylenie atmosfery radioaktywnym pyłem i wywołaliśmy opisane zakłócenia, które prowadziły do obniżenia temperatury bieguna północnego i wzrostu zlodowacenia Arktyki. Potęgująca się przez lata dysproporcja ciężarów Arktyki i Antarktyki musiała spowodować ostatecznie kataklizm.

Dr Cyril Hogan urwał. Przez moment wahał się, czy zaczęta myśl doprowadzić do końca.

--- W nocy z 18 na 19 czerwca 2006 roku Ziemia przeżyła gwałtowny kataklizm powodzi i potwornych burz morskich, których straszne skutki dotknęły ludzkość... W ciągu tej jednej nocy kula ziemską zmieniła położenie. Oś Ziemi uległa przechyleniu, aby spłaszczona Ziemia, wirująca w przestrzeni kosmicznej, mogła odzyskać fizyczną i astronomiczną równowagę. W ruchu Ziemi wokół Słońca zaszły znaczne odchylenia. Biegun północny uległ przesunięciu. Teren Stanów Zjednoczonych znalazł się w jego rejonie...

**Andrzej Trepka**  
**NOWA POLSKA**

Spojrząwszy przypadkowo na ścianę kosmodromu, Bernard drgnął.

20 lipca 2545 rok...

Świetlne cyfry wiecznego kalendarza przypominały mu o tym, czego i tak nie mógł zapomnieć.

--- Rok temu --- powiedział odruchowo do siebie.

--- Co takiego? --- zapytał szczebiotliwy głosik tuż za nim.

Mała, jasna główka, zadarta do góry, żeby ją lepiej zauważył, dopominała się odpowiedzi.

--- Powtórz! --- nalegała dziewczynka. --- Nie chcesz? To ja sama powtórzę: Rok temu --- powiedziała bardzo śmiesznie, może chciała naśladować jego głos, ale nic z tego nie wyszło. --- Powiedz, co było rok temu --- dopominał się w dalszym ciągu ośmioletni brzdąc.

Bernard zbierał myśli.

--- Zaraz ci powiem --- rzucił obiecująco.

Rok temu stało się bardzo wiele... Jak miał to wyjaśnić dziecku? Ona także z pewnością pamiętała, tylko nie wiedziała, że właśnie dziś upływa rok... Pamiętała, bo wszyscy ludzie na Ziemi pamiętali i pamiętać musieli o tamtym... I ona przeżywała to wraz z całą ludzkością, tylko po swojemu, w swoim dziecięcym wymiarze.

A Bernard? Także wiedział to po swojemu... Jak każdy człowiek widzi właśnie po swojemu każdą rzecz. Skrzydła nienaturalnej zorzy, które oblały rumieńcem ostatnią noc Silvy... Potem lot... Zatruta rzeka...

--- Widzisz --- zwrócił się do małej Giny --- rok temu na Antarktydzie wybuchły wulkany, zatrzęsła się ziemia, powietrze było pełne dymu i kurzu. Potem zrobiło się bardzo duszno, lunęły ulewne deszcze, popłynęły błotniste rzeki. W pierwszych dwóch dniach katastrofy zginęło kilkanaście milionów ludzi. Potem już wiesz, co było...

--- Potem na całej Ziemi poczęło się dziać bardzo źle --- wyrecytowała dziewczynka tak, jakby odpowiadała w czasie lekcji

na zadane pytanie.

Przez chwilę myślała, potem rzuciła z zaciekawieniem:

--- Ty się nazywasz Kruk, prawda?

--- Tak --- odparł Bernard.

Nie zdziwił się tym pytaniem. Wielu ludzi znało go przecież z telewizji, zwłaszcza w ostatnich miesiącach.

--- Uratowałeś mi życie --- powiedziała bardzo naturalnie.

Akcja, którą Bernard kierował, w ciągu minionego roku uratowała wielu ludzi od śmierci. Ewakuowano przecież miasta! Ba! --- w późniejszym okresie nawet całe kontynenty. Czy jednak on sam, bezpośrednio uratował komuś życie? Czy naraził się przy tym na niebezpieczeństwo? Czuł się zażenowany oświadczeniem dziewczynki. Ona zaś kontynuowała:

--- To było tak: Nasza klasa z nauczycielem pojechała na Ziemię Galileusza z wycieczką. Na tydzień. Bo ty nie wiesz, że ja mieszkałam u mamusi w Afryce. W takim dużym, starym mieście, które się nazywa Johannesburg. Jak tam zaczęło być źle, to mamusia zabrała mnie do Europy...

Mała odsapnęła.

--- Aha, ale mam powiedzieć, jak uratowałeś mi życie. To było rok temu, jak mówisz. Pierwszy raz widziałam noc polarną. Strasznie mi się podobało, że tak bez przerwy trwa noc i nie świta. A w dali zaczęło się rozjaśniać i powiedziałam, że świta. Ja pierwsza to powiedziałam. Zdziwiłam się i inne dzieci też się zdziwiły, bo nauczyciel nam powiedział, że noc będzie przez ten tydzień naszej wycieczki i później jeszcze przez cały miesiąc. A teraz nauczyciel też powiedział, że to nie świta. Ale nie umiał nam powiedzieć, dlaczego tam daleko niebo jest różowe.

--- Patrzyłaś wtedy na gwiazdy? --- przerwał Bernard nieoczekiwanie.

--- Patrzyłam --- odpowiedziała dziewczynka. --- Były ładne. Już potem nigdy nie widziałam takich ładnych gwiazd.

On też patrzył. I Silva patrzyła... Patrzyła w te same gwiazdy i chciała polecieć tam, daleko, razem z nim...

Dziewczynka ciągnęła opowiadanie.

--- Potem nie było gwiazd. I nie było powietrza. Tylko straszny kurz, od którego się krztusiłam. Nauczyciel powiedział, że musimy czekać na raketę, która nas zabierze. Czekaliśmy bardzo długo. Nie wiem, ile godzin, ale bardzo długo. Już staliśmy po kolana w tym kurzu, który był gorący, aż parzył w nogi. Później, w domu, leżałam w łóżku, a mamusia smarowała mi nogi maścią i owijała bandażem. Były takie brzydkie, czerwone i skóra z nich schodziła. A w tym kurzu nie mogliśmy się położyć, bo nauczyciel powiedział, że byśmy się podusili.

Teraz już Bernard nie słyszał słów dziewczynki. Myśli jego rozbiegły się po wspomnieniach tamtego dnia.

--- Dlaczego tak późno przysłałeś po nas raketę? --- zapytała dziewczynka.

--- Nie mogłem wcześniej --- odparł Bernard z wysiłkiem.

Dziewczynka wciągnęła powietrze i powiedziała rezolutnie:

--- Ale uratowałeś mi życie. A wiesz, od kogo to wiem? Od mamusi!

Mamusia powiedziała mi wtedy, że ty uratowałeś mi życie. I kazała, abym to zawsze pamiętała!

Bernarda opadły wspomnienia. Rok temu siedział przy biurku w Instytucie Ochrony Człowieka, on i Franek Skiepurki. Ze wszystkich stron nadchodziły meldunki --- wołanie o ratunek. Czekał powrotu rakiet. Na razie wszystkie były w akcji. Myślał wtedy o Silvie, która leżała śmiertelnie obezwładniona w samotnej willi w pobliżu rezerwatu zamienionego w martwą pustynię pyłów wulkanicznych. Myślał o tysiącach ludzi konających z duszności, pragnienia, wyczerpania, myślał o całych miastach daremnie czekających na ewakuację i znowu o Silvie. Przeglądał plik kartek. Jedna z nich podawała miejsce pobytu studenta z Sydney, który wybrał się na samotną wycieczkę. Czekał w rezerwacie zaledwie osiemdziesiąt km od Silvy. Bernard zawahał się, czy mającej przybyć rakietę nie posłać po nich? Odłożył kartkę. Potem natrafił na wycieczkę

trzydzieścioro dzieci z Johannesburga. Nauczyciel określał w meldunku sytuację właśnie tak, jak opowiadała mu dziewczynka. Nadleciała rakieta, jedyna, jaką dysponował. Rakieta posłał po dzieci...

Nie mógł przy tej okazji zabrać Silvy, willa znajdowała się w zupełnie innym kierunku. Znacznie później posłał małą, pięcioosobową rakieta po nią i studenta. Tego ostatniego nie odnaleziono --- widocznie zwątpił w pomoc i udał się dalej albo też upadł z wycieńczenia i zasypały go pyły. Natomiast w miejscu, w którym Bernard zostawił Silvę, nie znaleziono już Willi. Zburzył ją widocznie wartki prąd olbrzymiej, wezbranej aż po horyzont, błotnistej rzeki. Brudne wody z hukiem parły naprzód, ku morzu. Szukanie porwanego prądem ciała nie rokowało żadnego powodzenia. Późniejsza analiza wpływu wód, spowodowanego topnieniem lodowca, upewniła Bernarda, że w chwili jego przylotu do bieguna południowego jeszcze mógł uratować Silvę, posyłając po nią rakieta sanitarną...

Rakieta posłał po dzieci. Przybyły szczęśliwie, cała trzydziestka z nauczycielem. A jedno z nich stało teraz przy nim w kosmodromie i mówiło po prostu:

--- Uratowałeś mi życie.

--- Jak się nazywasz? --- zapytał Bernard dziewczynkę.

--- Gina Hammerstadt --- odpowiedziała.

Bernard przybladł. "Niewiele brakowało, abyś była moją córką" --- pomyślał. A głośno odpowiedział:

--- Twoja matka ma na imię Hem, prawda?

Dziewczynka energicznie skinęła głową.

--- A gdzie mama jest teraz? --- zapytał.

--- Na Wenus. Właśnie lecę do mamy!

--- Do mamy... --- powtórzył Bernard w zamyśleniu. Po chwili dodał: --- Znam twoją mamę dawno. Dawniej, niż ty chodzisz po świecie. Masz takie same miedziane oczy, jak mama.

--- Wiem o tym --- odparła Giną z dziewczęcą zalotnością.

Bernard wpadł w pogodniejszy nastrój. Trochę ubawiła go mała. Znał ją zresztą z fotografii, ale jako trzyletniego szkraba. W ostatnich latach widywał się z Rem rzadko, na różnych konferencjach, i to przeważnie telewizyjnie. Teraz chciał ją zobaczyć.

--- O czym wiesz? --- zapytał małą przekornie. --- Że masz oczy podobne do mamy, czy że ja twoją mamę znam?

--- Wiem i jedno, i drugie --- odparła. --- Mama nieraz mówiła o tobie.

--- Doprawdy? --- wyrwało się Bernardowi.

Był szczerze ucieszony tą wiadomością.

\*

Wielki kosmoport --- Warszawa, położony na przedpolach tej europejskiej metropolii, od dłuższego czasu tętnił anormalnym życiem. Było to ściśle związane z sytuacją, jaka ogarnęła kulę ziemską. Nieszczęsne wypadki, zapoczątkowane w lipcu 2544 roku w Antarktydzie, rozprzestrzeniły się z zatrważającą szybkością na inne kontynenty. Gdy po dwóch miesiącach ustalono, iż bezpośrednim bodźcem ożywionej aktywności wulkanicznej i wypychania pierwiastków promieniotwórczych ku powierzchni są po raz pierwszy stwierdzone na Ziemi bakterie krzemowe, objęły już one swoją destrukcyjną działalnością niemal całą półkulę południową, zaś ogniska ich stwierdzono również w Tunisie, w Indiach, a nawet na Alasce.

Ciała tych drobnoustrojów, groźnych dla ludzkości, zbudowane było z białka krzemowego, a tym samym nie zawierało węgla --- podstawo-



wego składnika wszystkich organizmów zwierzęcych i roślinnych ziemskiej biosfery. Bakterie te nie mogły powstać na Ziemi ani w przeszłości, ani obecnie, gdyż zmarzłyby w jej klimacie. Hipoteza, jakoby żyły od bardzo dawna na głębokości kilku kilometrów, a teraz gwałtownie podążały ku powierzchni, podwyższając temperaturę skał, również nie miała logicznego oparcia, warunki bowiem w głębszych warstwach skalnych nie uległy żadnym zmianom, nic więc nie usprawiedliwiało nagłej ekspansji takiego głębokościowego życia ku światłu i z punktu widzenia jego wymagań środowiskowych --- ku nieznośnemu zimnu.

Z planet naszego układu tylko na powierzchni oświetlonej Słońcem dziennej półkuli Merkurego bakterie te mogłyby znaleźć --- przynajmniej pod względem temperatury --- warunki odpowiednie do rozwoju. Nie znaleziono ich tam jednak ani żywych, ani martwych, jak również nie natrafiono na jakikolwiek fakt sugerujący ich istnienie teraz albo w przeszłości tego małego globu.

Tak więc sprawa bakterii krzemowych tysiącokrotnie niebezpieczniejszych dla ludzi niż bakterie dżumy czy cholery w dawnych wiekach, kiedy ludzkość trapiły jeszcze choroby --- pozostawała największą, nie rozwiązana zagadką przyrody Ziemi.

Małych, ale strasznych przybyszów wszechstronnie opisano, zmierzono, zważono, zbadano ich sposób życia, optymalne warunki rozwojowe, nawet skłonności, zwyczaje, odporność na działanie trucizn, żrących substancji, niskich i wysokich temperatur. Ten olbrzymi materiał poznawczy o silikokach --- od całych stuleci pierwszych, nie ujarzmionych bakteryjnych wrogach człowieka --- opracowywały setki zespołów najwybitniejszych uczonych świata, wyposażonych w najsprawniej działające konkrety. Zadaniem ich było opracowanie generalnej kampanii mającej na celu całkowite wyępienie silikoków, zapobieżenie ewentualnemu ich pojawieniu się w przyszłości i przywrócenie przyrodzie Ziemi dawnej harmonii.

Był to jednak plan nie dający się zrealizować na poczekaniu. Wszystkie opracowane metody walki okazały się mało radykalne, bakterie krzemowe, wyniszczone w jednych okolicach nakładem olbrzymich środków, ze zdwojoną zaborczością atakowały inne tereny.

Ilość czynnych wulkanów wzrosła z czterystu kilkudziesięciu do dwunastu tysięcy, przy czym niektóre nowe kratery w ciągu krótkiego czasu wyrzucały większą masę produktów wulkanicznych, aniżeli wszystkie dawniej istniejące czyniły to na przestrzeni stulecia. Drugim, nie mniej katastrofalnym efektem działalności silikoków był olbrzymi wzrost promieniotwórczości skał powierzchniowych. Miejscami szedł on w parze z działalnością nowo powstałych wulkanów i trzęsieniami ziemi, wyprzedzając je albo występując jako zjawisko wtórne, w innych wypadkach radioaktywne skażenie terenu było --- przynajmniej na razie --- jedynym ostrzeżeniem o działalności złowrogich bakterii.

Olbrzymie tereny nie nadawały się już do zamieszkania wyłącznie na skutek zbyt wielkiego stężenia promieniowania. Po innych można było chodzić w ochronnych butach lub --- gdy proces postępował naprzód --- w całych skafandrach. Radioaktywność ziemi zakażała powietrze, i to w takim stopniu, że na obszarach nie opanowanych przez silikoki, owoce, będące dotąd jedynym niesyntetycznym pokarmem człowieka, nie nadawały się do spożycia. Liście bowiem w procesie asymilacji wchłaniały z powietrza atomy promieniotwórcze. Nie stanowiło to bezpośredniego niebezpieczeństwa dla ludzkości. W systematycznej produkcji pokarmów ludzie mogli wyeliminować rośliny uprawne ze swego jadłospisu i pasz planowanych dla żywego inwentarza, cała jednak dzika fauna skazana była na powolne wymieranie.

Również ryby w morzach wykazywały duży stopień uradioaktywności. Próbkę pobrane z dna morskiego wykazały, że chociaż powstało stosunkowo bardzo mało nowych podwodnych wulkanów, cztery piąte kuli ziemskiej pokryte morzami było na powierzchni dennych pokładów skalnych całkowicie skażone promieniotwórczością. Pociągało to za sobą nie tylko groźbę rychłej zagłady wszelkiego życia w wodzie, ale również stopniowe ogrzewanie się oceanów.

Prawie doszczętnie stopniały lody obu biegunów, co spowodowało podniesienie się poziomu mórz o czterdzieści parę metrów. Musiano prowizorycznie wybudować nowe porty, gdyż istniejące zostały zalane.

Niespodziewany atak silikoków zmobilizował wszystkie siły i środki do obrony cywilizacji. Mimo nadziei zwycięstwa, trzeba było jednak brać pod uwagę także najgorszą ewentualność: emigrację na inne globy.

Było to jednak przysłowiowe chwytnie się brzytwy przez tonącego. Dostosowanie warunków panujących na jakiegokolwiek planecie w ten sposób, aby mogli zamieszkiwać na niej ludzie pod gołym niebem (praktycznie wchodziły w rachubę tylko Mars lub Wenus), wymagałoby przy aktualnym stanie techniki całych stuleci. Wprawdzie od kilkuset lat istniały na Wenus bazy naukowo-badawcze, nie miały one jednak charakteru kolonizacyjnego. Dopiero w ostatnim stuleciu przeobraziły się one w niewielkie osady uczonych, najczęściej w postaci okrętów hermetycznie odizolowanych od otoczenia i swobodnie pływających po oceanie zajmującym olbrzymią większość powierzchni planety. Konieczność sztucznej klimatyzacji siedzib na Wenus, ich zupełnego odcięcia od świata zewnętrznego, jak również zbudowania od podstaw wszystkich gałęzi przemysłu, ze szczególnym naciskiem na syntetyczną żywność (przyroda żywa tej planety nie dostarcza prawie żadnych produktów jadalnych dla człowieka) --- piętrzyła olbrzymie trudności przed rozpaczliwym planem zasiedlenia z konieczności nowej, przybranej ojczyzny.

A jednak poczyniono już poważne przygotowania do tej gigantycznej akcji. Nie przesądzając, czy uda się uratować Ziemię dla ludzi, w związku z niebezpiecznym już stężeniem promieniotwórczości powietrza, przystąpiono w pierwszym rządzie do ewakuacji dzieci. Obawa genetycznych zmian wywołanych radioaktywnością kazała bronić ludzkość przed degeneracją przyszłych pokoleń.

Tego dnia z kosmodromowego lotniska Warszawy miało odlecieć trzydzieści okrętów przestrzennych. Każdy z nich zabierał osiem tysięcy dzieci. Kilkuset ochotniczych inspektorów Instytutu Ochrony Człowieka krzątało się po lotnisku. Głównym ich zadaniem było niedopuszczenie do przeniesienia silikoków na Wenus, gdzie w gorącym klimacie miałyby ułatwione warunki działania. Zdawano sobie w pełni sprawę, że zakażenie Wenus krzemowcami --- wobec niemożności szybkiego stworzenia tam odpowiednio potężnej bazy technicznej do ich pokonania --- oznaczałoby konieczność dania za wygraną. Wtedy pozostałby tylko Mars --- na razie nie przygotowany do imigracji na szerszą skalę.

Bernard Kruk podszedł do niewielkiej, lśniącej rakiety, która właśnie wylądowała. Wysiadł z niej mężczyzna w podeszłym wieku, o bujnej, siwej czuprynie. Był to Tom Mallet, członek Najwyższego Kongresu Federacji Amerykańskiej, obecnie członek Światowego Komitetu Obrony Ludzkości.

Przeszli parę kroków w milczeniu, potem Bernard począł relacjonować stan przygotowań.

Tom zatroskanym wzrokiem patrzył przed siebie.

--- Uzgodniłem z Rem --- powiedział matowym głosem --- że wszystkie, nawet prowizoryczne pola lądowań raket na Wenus zostaną również zdezynfekowane kwasem RARC. W połączeniu z absolutną dezynfekcją tego lotniska oraz samych kosmodromów powinno to być należywym zabezpieczeniem.

--- Tym bardziej --- dorzucił Bernard --- że na razie cała Europa jest terenem czystym.

--- Jak długo? --- retorycznie zapytał Tom. --- Na Półwyspie Iberyjskim już dwukrotnie pojawiły się silikoki, zawleczone z

Tunisu, i tylko szczęśliwe wykrycie ich w stadium zaatakowania niewielkich skrawków ziemi do głębokości kilkudziesięciu centymetrów pozwoliło w zarodku zlikwidować ogniska --- zresztą nakładem olbrzymich środków. Pomimo wszystkich zarządzeń ograniczających podróżowanie, pomimo profilaktycznej dezynfekcji pasów nadbrzeżnych oraz środków transportu --- któż może zaręczyć, że silikoki nie pojawią się znów jutro gdzieś w Europie w takiej ilości, że nie potrafimy powstrzymać ich ekspansji?

Tom zamyślił się. Pionowe bruzdy na jego wysokim czole pogłębiły się, a duże, czarne oczy wyrażały bezsilny ból człowieka stojącego na skarpie gigantycznych nieszczęść. Robił wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale się waha. Wreszcie dał upust temu, co nurtowało go z nieprzepartą siłą.

--- Widzisz Ber --- powiedział serdecznie --- nie powinienem rozpraszać teraz myśli na sprawy nie prowadzące aktywnie do jedyne aktualnego dla nas celu, jakim jest ratowanie ludzkości. To, co ci teraz powiem, będzie słabością, ale człowiek nie może być tylko silny. Czasami łamię się jak skrzywdzone dziecko. Albo jak starzec... --- dodał z wysiłkiem. --- Stary jestem. Przyżyłem wspaniałe rzeczy i żałuję, że doczekałem tego roku, że nie umarłem w spokoju. Nie powinienem tak czuć, bo jestem potrzebny, ale niestety, tak jest... To zresztą nieważne. Blisko sto czterdzieści lat temu jako trzynastoletni obywatel Celestii --- sztucznego satelity, porwanego cztery wieki wcześniej przez uzurpatorów władzy nad ludźmi i pchniętego w beznadziejny rejs pośród gwiazdnych szlakach --- pomagałem, jak umiałem, twemu pradziadkowi, także Bernardowi Krukowi, w walce o udaremnienie zniszczenia rakiety lecącej z Ziemi. Rakiety, która przyniosła nam wolność... Dowiedziałem się potem prawdy o Ziemi, tej prawdy, której w pierwszej chwili nie potrafiłem uwierzyć, gdyż brzmiała zbyt bajkowo. A w dwadzieścia lat później stanąłem na Ziemi. Blask Słońca raził mnie. Błękit nieba zachwycał najpiękniejszą barwą, jaką mógłbym wymarzyć. Potem porwało mnie i bez reszty pochłonęło życie pod tym niebem. Brałem w tym życiu udział bujny i namiętny, chyba mocniej i głębiej odczuwając to, co stworzyła ludzkość, bo nie urodziłem się na Ziemi. Doczekałem bardzo późnych lat. I czy po to ich doczekałem, aby teraz patrzeć na agonię świata ludzkiego, patrzeć na zniszczenia ogarniające kontynenty, patrzeć na postępującą zagładę, której nie potrafimy radykalnie opanować?

Słowa skargi starego człowieka, jednego z przywódców ludzkości, rozczuliły Bernarda. Wydało mu się nagle, że sam jest za mało czynny, że nie daje z siebie wszystkiego w tej powszechnej walce o życie. Długo patrzył na przyjaciela swego dziadka, na Toma Malleta, którego droga do Ojczyzny wiodła poprzez setki miliardów kilometrów kosmicznej pustki.

Powiedział tylko.

--- Nie żałuj. Doczekasz i zwycięstwa.

Zastanowił się przez chwilę, czy powiedział to uczciwie. Czy nie posunął się do taniego pocieszenia bez pokrycia. Ale na sprostowanie było za późno. A Mallet milczał z jakimś nieodgadnionym wyrazem twarzy.

\*

Białe morze obłoków kłębiło się coraz bliżej. Bernard podał lornetkę Ginie i zapytał po chwili:

--- Dobrze widzisz?

--- Chyba tak --- odparła dziewczynka niepewnie --- ale zaraz nastawię ostrość.

--- Umiesz wyregulować? --- zapytał Bernard.

--- Umiem --- odparła rezolutnie, kręcąc ostrożnie boczną gałką.

--- Chmury. Jakie ładne, bielusińkie! --- zawołała Gina po chwili. --- To zaraz wjedziemy w te chmury! Będzie ciemno, Słońce zgaśnie i gwiazdy --- entuzjasmowała się dziewczynka.

--- Nic z tego --- odparł Bernard.

Gina była mocno zdziwiona.

--- Dlaczego? --- zapytała niemal płacząco.

--- Bo już przestajemy się obniżać --- wyjaśnił Bernard. --- Kosmoport okrąży Wenus jako jej sztuczny księżyc. Nasz statek nie będzie lądował wprost na powierzchni planety. Zatrzyma się w kosmoporcie.

--- I co potem? --- pytała Gina.

--- Potem flotyła rakiet wiele razy poleci na Wenus i z powrotem, wylądowując nas wszystkich. Poznasz Wyspę Nadziei, największą pływającą płytę tego globu.

Nazwa ta pojawiła się dopiero parę miesięcy temu, kiedy trzeba było realnie pomyśleć o kolonizowaniu naszej najbliższej sąsiadki w przestrzeni, kolonizowaniu z konieczności w zawrotnym tempie. Nie nadano tej nazwy oficjalnie --- na takie głupstwa nie było czasu. Zrodziła się ona sama, nie wiadomo kto rzucił ją po raz pierwszy. Przyjęła się jednak szybko i nikt już prawie nie używał dawnej nazwy: Pływająca Europa.

--- A jak długo będą leciała rakieta? --- indagowała Gina w dalszym ciągu.

--- Około kwadransa. Tylko musisz poczekać na swoją kolejkę. Akcja transportowa potrwa kilka godzin.

\*

Łączność radiowa na Wenus nie nastęczała żadnych trudności. W warunkach wolnej przestrzeni jest to jedyna forma rozmowy, nawet pomiędzy ludźmi idącymi tuż obok siebie. Skład chemiczny tamtejszej atmosfery, ciśnienie i temperatura wykluczają poruszanie się bez skafandra poza obszarami izolowanymi, o sztucznej klimatyzacji. Toteż Bernard nie miał żadnych trudności w skontaktowaniu się z Rem. Zawiadomił ją o przylocie Giny, co zresztą nie było dla niej nowością, i umówił się, że przyjedzie za parę minut.

Rem Hammerstadt w ostatnim czasie spodziewała się wizyty Bernarda. Nie potrafiła powiedzieć, czy się cieszy z tego powodu, czy smuci, chociaż sprawa w żadnym wypadku nie była jej obojętna.

Było jasne, że Bernard prędzej czy później przybędzie na Wenus w związku z akcją przesiedleńczą, która z tygodnia na tydzień wzmagała się gwałtownie. W pływających i lądowych osadach robiło się coraz ciasniej i Rem, której powierzono kierownictwo całym przedsięwzięciem, żądała nowych środków technicznych dla przygotowania Wenus na przyjęcie milionów przybyszów, mających się rozgościć tu na długo, a być może na zawsze.

Gdy w drugiej połowie XX stulecia pierwsza rakietka z załogą zjechała poniżej grubego płaszcza obłoków otulających Wenus, oczom odkrywców odsłonił się bezkresny, spieniony ocean. W pierwszej chwili sądzili, że potwierdza to dość popularną wtedy hipotezę amerykańskich astronomów Mentzela i Whipple'a, że cała powierzchnia planety zalana jest jednolitym wszechoceanem wodnym. Przypuszczenie tych uczonych niewiele różniło się od rzeczywistości. Ląd stały to zaledwie 1/52 powierzchni planety. Ta wystająca z morza wyżyna, zwana

Ziemią Joersena, uwieńczona pasmem Gór Październikowych, była pierwszym terenem lądowania na Wenus. Tu mieściły się stare baraki Joersena, przed wiekiem przekształcone w wielką, klimatyzowaną osadę Tinleya i Zujewej.

Ponad 98% powierzchni stanowi jednak ocean bez kresu i początku, otaczający cały glob tak, że właściwie można przyjąć, iż jest to planeta całkowicie pokryta oceanem. Chociaż bowiem tu i ówdzie znad tafli wód wynurzają się niskie płaszczyny lądów --- nie są to, jak na Ziemi, płyty kontynentów przytwierdzone do stałego podłoża planety, lecz pływające wyspy. Powstały one drogą gromadzenia się przez setki milionów lat żywych i nieżywych organizmów oraz lekkich produktów podmorskich wybuchów wulkanicznych, głównie z pumeksu. Największa z nich dorównuje obszarem, a nawet przypomina kształtem Grenlandię, pozostałe zaś, w liczbie kilkuset, o łącznej powierzchni nieco mniejszej --- stanowią archipelag, na przemian rozrywany i scalany przez gwałtowne wichry, grasujące tu bardzo często.

Na głównej płycie pływającej, zwanej Wyspą Nadziei, zbudowano cały kompleks miast, osiedli czy domów. Trudno

zawyrokować, które z tych określeń najlepiej oddaje istotny charakter skomplikowanych urządzeń, mających służyć ludziom do życia w tym gorącym świecie. Były to klosze z przezroczystych mas plastycznych, wysokie na kilkaset metrów, o średnicach od pół kilometra do dwunastu kilometrów. Teraz rozpoczęto budowę pięciu największych. Drugie pod względem wielkości miasto Wyspy Nadziei miało mieć pięćset kilometrów średnicy. Obliczono, że pomieści, przynajmniej w okresie przejściowym, dwieście milionów ludzi.

Właśnie tu, przy tej gigantycznej budowie, do której wciągnięto tysiące najnowocześniejszych uniwerproduktorów, Bernard radiowo odszukał Rem. Oznajmił, że przybędzie za kilka minut.

\*

Weszli do śluzy. Bernard szybko rozpiął skafander, jakby miał dość radiowego dialogu i tylko czekał na tę sposobność.

--- Dziękuję ci --- powiedział głosem drżącym ze wzruszenia.

--- Za co? --- spytała.

--- Za Nową Polskę --- powiedział wolno. --- A może się mylę --- dodał po chwili z zatroskaniem w głosie.

--- Nie mylisz się --- rzuciła krótko i urwała.

Ostatni raz widzieli się zaraz po śmierci Silvy telewizyjnie. Przedtem spotkał ją dwa czy trzy razy z okazji swej pracy. To było wszystko w okresie dziesięciu ubiegłych lat. Wcześniej widywał ją bardzo często i najlepiej pamiętał właśnie z tamtego okresu.

Stwierdził, że wcale się nie zmieniła. Jej ciemne, duże oczy pałały blaskiem, którego kiedyś bardzo długo nie mógł zapomnieć. Kręjące się włosy o miedzianym odcieniu fantazyjnie okalały piękny owal twarzy, opalanej na oliwkowo-żółty kolor. Cerę miała świeżą, niemal dziewczęcą. Zupełnie jak wtedy...

--- O czym pomyślałeś? --- zapytała.

Bernard nie odpowiedział. Nawiedziły go wspomnienia. Pamiętał wszystko. Miłość po pół roku rozchwiała się niespodziewanie. Po prostu Rem tak chciała i na to nie było żadnej rady. W parę lat potem Bernard spotkał Silvę. Jeszcze później Rem urodziła córeczkę, którą dziś poznał --- dziecko uratowane przez niego z wulkanicznego piekła Antarktydy. Po to, żeby ją mógł dziś zobaczyć, żeby ją mógł uratować --- Silva musiała umrzeć.

Zamyślił się nad tym wszystkim. Przez chwilę życie wydało mu się węzłem powroza, w który wplątało się jego trzepocące serce. Nie dostrzegał przyszłości --- przykrywały ją dymy, popioły i prognoza nieszczęść tak powszechnych, jak niebo i ziemia, i chleb na tej ziemi wyrosły. Serdeczna pamięć ocaliła wiele jasnych kart z jego przeszłości. Wiele z nich rad by wskrzesić. Spojrzał na Rem z wyrzutem sięgającym tamtych lat i szybko opuścił wzrok, nie chcąc, aby dostrzegła żal w jego oczach.

Usiedli na wygodnej ławce z plastyku, pod niewysokim, ale symetrycznie rozrośniętym platanem, jednym z kilkunastu tworzących ładną grupę o kształcie podkowy w obrębie skweru, który okalał uzbrojone zespołem śluz wejście do tego dziwnego miasta. Jeszcze trzy miesiące temu hulał tu wiatr w ciągnących się od nadbrzeża zaroślach wenusjańskiej morwy. Ta morwa niewiele przypominała swoją imienniczkę i w ogóle jakąkolwiek roślinę, a nazwę zawdzięczała żerowaniu na niej pewnych drobnych zwierzątek, snujących nić wytrzymałą jak jedwab, chociaż nie służyła im do okrucenia kokonów, tylko do szycia bardzo

pomysłowych gniazd. Skoro ukończono budowę wielkiego klosza oddzielającego teren wielkiego miasta od otoczenia, a następnie wyparto

stamtąd atmosferę, wprowadzając ziemskie powietrze, zarówno wenusjańska morwa, jak i inne rośliny zginęły w krótkim



czasie. Po oczyszczeniu placu zaprojektowano plan ulic, w ciągu niewielu godzin ciasno, rzędami ustawiono domy z prefabrykatów, przeważnie wysokie na kilkanaście pięter, a tam gdzie pozostawiono miejsce na zieleni drzew, traw i krzewów --- z konieczności bardzo skąpe --- posiano ziarna jaworów, eukaliptusów czy sekwoi, otaczając je mikroklimatem pozwalającym procesom wzrostu przebiegać kilkadziesiąt razy szybciej. Metoda ta, od dawna stosowana przez ogrodników całego świata, znalazła szerokie zastosowanie przy kolonizacji Wenus. Wprowadzenie regeneracji powietrza można było bez kłopotu dokonywać, stosując odpowiednią aparaturę, ale człowiek wychowany w uwielbieniu dla natury, człowiek spędzający pomimo olbrzymiej gęstości zaludnienia Ziemi --- znaczną część życia oko w oko z zielenią parków, dzikością gór i urokiem mórz, dla normalnego samopoczucia potrzebował żywej części krajobrazu swojego świata.

Bernard wpatrywał się przez dłuższą chwilę w Rem. Oboje odczuwali ciężar milczenia. Przerwał je wreszcie Bernard drżącymi niepewnością słowami:

--- Powiedz, co będzie z nami?

Rem uprzytomniła sobie w tej chwili, że siedzi przed nią człowiek, z którym nie tylko wiązały ją wspomnienia dawnej miłości. To właśnie on uratował przed rokiem jej córkę od śmierci. Widziała go telewizyjnie w kilka dni później, gdy zgłosiła ochotniczo swój udział w ewakuacji Antarktydy w związku z kataklizmem. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziała.

Bernard patrzył do góry poprzez przezroczysty sufit gigantycznego klosza, okrywającego miasto przesiedleńczej ludzkiej cywilizacji. Miasto, które nazywało się Nową Polską i które po wszystkie czasy będzie tak oznaczone na wszystkich mapach przedstawiających Wenus.

Nowa Polska...

Może mocniej od innych czuł więź serca ze skrawkiem Europy, z którym jego dziad William Kruk związał swe serce na zawsze. Syn przedostatniego prezydenta Celestii --- Bernarda Kruka i Stelli Summerson --- William ożenił się w roku 2470 z Polką --- Ter Wysocką --- i osiedlił się na stałe w Gdańsku, pracując jako ichtiolog w tamtejszym Instytucie Oceanograficznym. Tam też przyszedł na świat Stefan Kruk --- ojciec Bernarda.

Polska...

Dlaczego tu, właśnie tu, pod tym kloszem urągającym swobodzie szerokiego oddechu na nadwiślańskich równinach? Przez chwilę uległ przerażeniu. Wydało mu się, że tamtej Polski już nie ma, że spalił ją ogień i zalała woda. I to, co widzi naokoło, klatka, w której jest szczelnie odgradzony od świata stanowi Polskę nową, ale jedyną teraz, gdy żadnej innej Polski już nie ma.

Bernard ocknął się jak z koszmarne snu. Polska istniała przecież jako jeden z terenów jeszcze nie nawiedzonych przez przekłętą bakterie. Nawet porty i nabrzeże nie uległy zalaniu, gdyż w początkach podnoszenia się poziomu oceanów zagrodzono Bałtyk, łącząc zaporą Danię ze Szwecją. Przygotowano tylko ewakuację sześćdziesięciu czterech milionów dzieci.

Dlaczego Rem nazwała to miasto Nową Polską? Dlaczego?

Milczała, a on nie śmiał pytać.

**Tadeusz Twarogowski**  
**DON PABLO NIE WRÓCI**

**Nocna wizyta**

Helikopter zaczął gwałtownie wytracać prędkość. Pablo odczuł to natychmiast, mimo że trwał w tęym odrętwieniu. Uniósł wspartą na dłoniach głowę i powiódł pytającym wzrokiem po twarzach towarzyszących mu osobników. Malowała się na nich przeraźliwa obojętność, pod którą czaiła się jednak skupiona czujność. Pablo odczytał ją wyraźnie w czarnych oczach generała, siedzącego na wprost w głębokim, wygodnym fotelu. W kabinie panowała cisza, maćona jedynie szumem rytmicznie pracującego silnika. Nagle z przodu pyreksowe szyby rozbłysły jaskrawym światłem. Widać było wystrzelające w atramentową ciemność kolorowe smugi. Skrzyżowały się hen w górze w stożkowaty namiot, którego wierzchołek począł się zniżać, aż wreszcie obramował szeroki plac-ładowisko.

Pilot osadził maszynę pośrodku betonowej płyty, okolonej balustradą wysokich kolumn uwieńczonych rzeźbionymi głowicami.

--- Wysiadamy --- rzucił rozkazująco milczący dotąd generał. --- Proszę się spieszyć, nie mamy chwili do stracenia. Każda minuta jest na wagę złota.

Pablo chciał coś powiedzieć, jednakże generał nakazał mu ruchem dłoni milczenie. Łączył się w tej chwili z kimś odległym, kto najwidoczniej oczekiwał jego przybycia. Nastawiał bowiem na naręcznym telezyszorze długość fali, regulował odbiór i śledził miniaturowy ekran, który, co Pablo dokładnie spostrzegł, połyskiwał jak fosforyzowana tarcza zegarka. Rozległo się cieniutkie brzęczenie. Pablo nie mógł jednak usłyszeć rozmowy, gdyż w tej chwili ktoś otworzył z zewnątrz drzwi kabiny. Trzeba było wysiadać.

Pablo był zdenerwowany. Lecz zdenerwowanie to ustępowało uczuciu złości i lęku, który dawał znać o sobie zimnym dotykiem kropel potu osiadających wzdłuż krzyża. Mimo to opuścił kabinę, zdawałoby się, opanowany i spokojny. Udawał, że jest mu zupełnie obojętne, dokąd go wiodą, aczkolwiek pożerała go ciekawość zaprawiona obawą o najbliższą przyszłość. Towarzyszący mu od kilku godzin oficerowie nie zdradzali w dalszym ciągu chęci do nawiązania rozmowy. Milczeli uparcie, wykonując jak bezduszne mechanizmy ciche i krótkie rozkazy generała.

Pablo nie daruje im tego. Myśl ta przeradza się w decyzję. Gdyby znali, gdyby wiedzieli, że z postanowień swych nie rezygnuje nigdy, na pewno nie byłiby tak spokojni i tak pewni siebie. Pablo nienawidzi ich w tej chwili ze wszystkich swych sił. Upokorzyli go, zgwałcili jego dumę i godność. Przypomni im to kiedyś niezawodnie. Odplaci im z nawiązką. Zemści się. Bo jest za co! Wywlekli go o północy z domu. Pabla Millero, docenta sławnego uniwersytetu! Jutro na całe Gracias gruchnie wieść o porwaniu sławy i chluby wydziału lekarskiego,

o uwięzieniu znakomitego lekarza, którym szczyci się całe Wybrzeże Moskitowe, od cudnego Gracias aż po San Juan del Norte. Nie, tego darować nie można. A czyż można darować wdarcie się tej uzbrojonej watahy do jego ustronia, do jego villa bianca, nie splamionej nigdy przedtem butem żołdaka? Villa bianca! Czy zobaczy ją jeszcze? Była jego dumą, była dziełem wymarzonego. Architekt zrealizował w gładkim marmurze najskrytsze jego idee. Szlachetną prostotę, lekkość i łagodny, nie krzyczący komfort. Z tarasu, okalającego budowlę, rozciągał się widok na plantację wiecznie zielonych palm kokosowych i gładkie wody zacisznej zatoki. Pablo lubił odpoczywać tu i chłonać wzrokiem białe płachty żagli na jachtach. Lubiał też zbiec schodami w dół, aż nad sam brzeg, gdzie woda liże uparcie żółty piasek, i obserwować gramolące się niezdarnie wielkie żółwie.

To wszystko pozostawił za sobą. Tego wszystkiego pozbawiła go czyjaś wola, silna jak bezlitosne fatum. "Racja stanu wymaga pańskiej obecności w stolicy, doktorze" --- powiedział mu ów wysoki generał, o twarzy bladej i zimnej, nie rozjaśnionej żadnym chyba uczuciem. To było wszystko, co mu zakomunikowano. Na pytania, które rzucał gorączkowo, nie otrzymał odpowiedzi. Zaczął opanowywać go lęk. Kilka uzbrojonych postaci, tajemnicze miny, wydawane szeptem polecenia, ciemna noc, szum palm wdzierający się przez uchylone okna --- wszystko to składało się na atmosferę naładowaną niebezpieczeństwem. Wiedział, a raczej wyczuwał każdym nerwem, że na nic zda się tu opór, że ludziom, którzy zmaćcili jego spokój, musi być posłuszny, że

bez sprzeciwu wykonać musi ich wolę. Żył przecież w dziwnym i jakże niespokojnym kraju. Bunt wojska, pucze, zamachy, rewolty wstrząsały posadami państwa. Przewalały się nad nim z niszczącą, huraganową siłą. Zmiały rządy i dyktatorów. Ci, którzy wczoraj byli u steru, przed którymi drżał lud, dziś wędrowali do nor więziennych, ginęli od kul i sztyletów lub ratowali się ucieczką, by za granicą obmyślać nowe zamachy i snuć plany zemsty nad chwilowymi zwycięzcami. Małe państwo od lat pławiło się we krwi. Społeczeństwo, rozdarte na kilka skłóconych stronnictw politycznych, cierpiało nędzę. Upadł przemysł, kopalnie złota przeszły w ręce obcych właścicieli, rolnictwo dogorywało, znikła prawie zupełnie wspaniała kiedyś hodowla bydła, zdewastowano sławne plantacje palm kokosowych, stanowiące bogactwo narodowe tego kraju. Każdy z szybko zmieniających się dyktatorów rządził metodą pałki i bagnetu. Sprzeciw karany był śmiercią. Opozycja wędrowała pod lufy plutonów egzekucyjnych. Nikt z obywateli nie był pewny życia. Czarna milicja obecnego dyktatora Salvatore rozsiewała trwogę i lęk.

Nic więc dziwnego, że Pablo na widok czarnych mundurów swych nocnych gości stracił pewność siebie, że opuściła go nagle dzielność, którą uważał za jedną z cech swego charakteru. Zwłókł się z tapczanu, ubrał i bez słowa wyszedł w ciemną, gorącą noc. Nie przeczuwał, że od tej chwili los jego uległ zmianie, że wypadki potoczą się z zawrotną szybkością.

Po chwili znalazł się nad zatoką. Z ciemności na spotkanie wybiegło kilka umundurowanych postaci. Jeszcze chwila i rozpoznał na plaży długi kadłub helikoptera.

--- Proszę zająć miejsce --- odezwał się generał, wskazując urękawiczoną dłonią otwarte drzwi kabiny. Pablo był posłuszny.

Za chwilę rozległ się szum silnika. Maszyna poderwała się z ziemi i mącąc warkotem ciszę nocną, popłynęła na zachód.

## Salvatore

Dyktator dogorywał. Leżał bladej, niemy, z szeroko otwartymi oczami, wpatrzonymi w sufit. Wychudła, żółta twarz szpecił grymas, który wycierał z zaciśniętych warg i głębokich bruzd przecinających zapadłe policzki. Z ust od czasu do czasu wyrwał się cichy jęk. Wtedy podbiegał do szerokiego łoża przyboczny lekarz.

Leżącego obserwował z niepokojem minister Diego, prawa ręka dyktatora, wierny jak pies, gotowy na każde skinienie swego pana. Zawdzięczał mu wszystko. Godność ministra, stopień generała, milionowe bogactwo. Salvatore dźwignął go z upadku i wyniósł wbrew opinii wysoko. Takimi jak Diego, otoczył się nowy dyktator. Im powierzył urzędy, im zaufał i na nich oparł swe rządy nad krajem. On zawdzięczał im wiele, lecz oni mu wszystko. Stało więc między nimi porozumienie, sojusz silny i trwałe, którego nic zerwać nie mogło. Im

potrzebny był jego geniusz organizacyjny, odwaga nie znająca granic, siła płynąca z bezwzględności, wola łamiąca przeszkody. Jemu zaś potrzebni byli ludzie odważni, posłuszni, oddani. Wybrał ich z tłumu, z mierzwy ludzkiej, wydzwignął z błota, wyszukał. Salvatore miał oko. Oceniał ludzi bezbłędnie. Nie zawiódł się na wiernej kohorcie. Dotrzymywała mu kroku

w zwyczajnym pochodzie do władzy. Zmiotła w ciągu zaledwie trzech dni przeciwników i wprowadziła dumnego Salvatore do rezydencji byłego dyktatora, który ratował się ucieczką. Zaczęły się dni radosnego upojenia. Upojenia władzą, bezkarnością czynów. Salvatore pobażał. Salvatore ufał kohorcie.

Diego jest zdenerwowany do najwyższych granic. Trzykrotnie łączył się telezystem z generałem Coiba, którego wysłał po doktora Pabla Millero. Nie mógł doczekać się jego przybycia. Minuty wydłużały się w godziny, w wielbi całe. Lęk opanowywał ministra, że doktor Pablo się spóźni, że jego pomoc okazać się może zbyt późna. Salvatore bowiem goni resztką sił. Lekarz wróży mu tylko godziny życia. Cóż zaś stanie się w przypadku tej śmierci? Diego wyrzuca sobie, że zbyt późno zdecydował się wezwać doktora Pabla. Choroba dyktatora była tajemnicą. Sam Salvatore żądał, aby nie informować nikogo. "Dowie się Rodriguez, podniosą łby przeciwnicy, ruszy kontrrewolta" --- syczał zaciskając z bólu usta. Jednakże z miesiąca na miesiąc stan zdrowia dyktatora stale się pogarszał. Przyboczny lekarz, człowiek bezgranicznie oddany, nie znajdował na dolegliwości Salvatore odpowiedniego, skutecznego remedium. Wreszcie wpadł w rozpacz.

--- Jedyne ratunek --- odezwał się któregoś wieczora złamanym głosem --- to wezwać docenta Millero.

--- Ależ to niemożliwe --- wykrzyknął minister Diego. --- Leczenie odbyć się musi w tajemnicy. Czyż pan o tym zapomniał? Nikt nie powinien dowiedzieć się o chorobie dyktatora. Musi pan, doktorze, zmobilizować całą swą wiedzę i za wszelką cenę przywrócić choremu zdrowie.

--- Robię, ekscelencjo, wszystko, co mogę. Niestety, medycyna nie zna środka na dolegliwości dyktatora.

--- A któż to jest ów cudotwórczy docent Millero?

--- Pablo Millero, ekscelencjo, jest człowiekiem godnym ze wszech miar zaufania. Jest to ponadto wybijająca się w świecie naukowym sława. Ostatnie jego prace zjednały mu szeroki rozgłos poza granicami naszego kraju. Szczególnie zdumiewające wyniki osiągnął w dziedzinie elektroniki w zastosowaniu do medycyny. Do jego villa bianca, położonej na Wybrzeżu Moskitowym niedaleko Gracis, ciągną pielgrzymki chorych z najodleglejszych zakątków.

Ekscelencjo, proszę mi wierzyć! Wyczerpałem wszystkie środki, którymi dysponuje klasyczna medycyna. Wierzyłem, że sam zdołam uporać się z przypadkiem choroby dyktatora. Niestety, przeceniłem swe siły. Proszę więc pana usilnie, niech pan sprowadzi Pabla Millero. I proszę się spieszyć, gdyż odporność Salvatore jest na wyczerpaniu i lada chwila nastąpić może katastrofa. Proszę nie zwlekać, ekscelencjo.

Rozmowa ta zdecydowała o losie docenta doktora Pabla Millero. W jego życie wtargnęła siła, której nie mógł się przeciwstawić. Na rozkaz ministra Diego wyruszył do villa bianca generał Coiba, adiutant dyktatora Salvatore. Wyruszył nocą w asyście oficerów czarnej milicji na pokładzie helikoptera.

## W pałacu dyktatora

Otworzyły się bezszelestnie ciężkie drzwi: "Jak w bajce" --- przemknęło przez myśl doktora Pabla. Rzeczywiście, długi korytarz tonął w potokach światła, mieniącego się bajecznymi odblaskami w kryształach, złoceniach i okuciach.

--- Proszę za mną --- Pablo usłyszał głos dążącego przed nim generała Coiba. --- Czekają na nas.

I znowu drzwi. Tym razem za ciężką, zakończoną frędzlami kotarą.

Pablo stanął na wprost ministra Diego. Poznał go natychmiast. Pamiętał tę szeroką, mięsistą twarz dokładnie. Ież bowiem razy rozpoznawał ją na szpaltach gazet, tygodników ilustrowanych i na ekranach telewizorów. Prawa ręka dyktatora Salvatore, wszechmocny minister! Stał i wpatrywał się bacznie w bladą twarz doktora. Wpijał się w nią wzrokiem, jakby chcąc zapamiętać każdy jej szczegół, każdy najdrobniejszy rys.

--- Bardzo pana, doktorze, przepraszam --- odezwał się wreszcie głosem cichym, świszczącym. Przepraszam, że pozwoliłem sobie zaprosić pana o tej porze i w tak niezwykłych okolicznościach. Sądzę, że pan mi to wybaczy, gdy zrozumie powody, które zmusiły mnie do tego kroku. Jestem panu winien wytłumaczenie. Przedtem jednak, doktorze, jedna mała prośba. To, o czym będziemy w tym gabinecie mówili, to, co pan będzie następnie widział, i to, co pan będzie musiał czynić, pozostać powinno tajemnicą.

Pablo skłonił się lekko na znak, że rozumie życzenie ministra.

--- Proszę siadać, doktorze. --- Diego wskazał zielony fotel. --- Porozmawiamy. Słyszałem o panu bardzo pochlebne opinie. Podziwiałem pańskie sukcesy naukowe. Cieszyłem się nimi, byłem jako minister tego kraju dumny z pana. I zawsze moim życzeniem było poznać tak wybitnego człowieka osobiście.

Pablo słuchał potoku słów ministra z coraz większym zadowoleniem. "Nie musi być ze mną tak źle, skoro groźny Diego rozmawia łagodnie i sadzi się na takie komplementy" --- mówił do siebie w duchu. Poczul się raźniej. Przepędził strach. Twarzy zaś nadał wyraz skupionego zasluchania, wytężonej uwagi, by niczego nie uronić z cedzonych sepleniącym szeptem słów wielkiego ministra.

--- Niestety, chęciom moim, doktorze --- ciągnął minister --- stawał zawsze na przeszkodzie nawał prac, obowiązki. Ale będę się streszczał.

Powiedziawszy to, podszedł do siedzącego Pabla, oparł swe wielkie, owłosione dłonie na jego barkach i wpatrując się w jego twarz, wyszeptał:

--- Wezwałem pana do ciężko chorego człowieka. Być może policzone są jego godziny. Pan jeden może go wyleczyć. Jeżeli uda się to panu, czeka pana wspaniała przyszłość. Żadna nagroda, na jaką może się zdobyć nasz kraj, nie będzie za wysoka. Jednakże, doktorze, jeszcze raz uprzedzam, że liczę na pańską dyskrecję. Liczę na nią, doktorze --- powtórzył z naciskiem. --- A teraz proszę za mną.

Pablo uniósł się z fotela i udał się za ministrem. Minęli kilka urządzonych z przepychem pokoi, następnie duży, utrzymany w ciemnym tonie gabinet i znaleźli się wreszcie w sypialni.

--- Proszę czynić pańską powinność, doktorze --- usłyszał cichy głos ministra. --- Teraz kolej na pana.

## Cudotwórcza terapia

--- Diagnoza kolegi Soyela, ekscelencjo, jest najzupełniej słuszna. Stan chorego jest bardzo ciężki. Kompletnie wyczerpanie fizyczne uniemożliwia zastosowanie ostrych środków zapobiegawczych. Jednakże...

--- Co chce pan przez to powiedzieć, doktorze Millero? Czyżby istniała nadzieja?

--- Tak jest, ekscelencjo. Jednakże leczenie potrwa długo. Nie mogę dać pełnej gwarancji. Zapewnić wszakże mogę, że don Salvatore może być uratowany. Mimo zniszczenia, jakie poczyniła w jego organizmie długa choroba, zadziwia on swoją żywotnością.

Rozmowa ta odbywała się w gabinecie, który opuścili przed godziną. Minister Diego chłonał z otwartymi ustami słowa doktora Pabla. Twarz jego, jeszcze niedawno tak pochmurną i zatroskaną, rozjaśnił błysk nadziei.

--- Pragnę tylko, ekscelencjo --- podjął na nowo Pablo --- zwrócić uwagę, że wyleczyć dyktatora Salvatore może tylko jeden człowiek.

--- Tym człowiekiem jest pan, doktorze --- wtrącił minister.

--- Tak, ekscelencjo. Jednakże nie mogę się tego podjąć.



--- Dlaczego?

--- Z tej prostej przyczyny, że nie mam do dyspozycji odpowiedniej aparatury, szeregu skomplikowanych urządzeń zapewniających skuteczne stosowanie terapii ultrakrótkofalowej oraz inдукtoterapii. Chory musi być przez pewien ściśle określony czas umieszczony w polu elektrycznym i magnetycznym i poddany wpływowi impulsów drgań elektromagnetycznych. Bez koniecznych urządzeń, ekscelencjo, nie będę mógł podjąć się leczenia dyktatora Salvatore.

--- Ależ, kochany doktorze, to żadna przeszkoda. Proszę o trochę cierpliwości. Przekona się pan za chwilę, że wszystko, o czym pan wspomniał, znajdziemy tu na miejscu.

--- To niemożliwe, ekscelencjo.

--- Możliwe, możliwe, doktorze. Byliśmy na tyle przewidujący, że urządziliśmy panu wspaniały gabinet, wyposażony we wszystko, co potrzeba. Nawiasem mówiąc --- tu Diego uśmiechnął się --- gabinet ten przywieźliśmy z pięknej villa bianca.

Pablo poderwał się z miejsca.

--- Proszę mnie tam zaprowadzić. Obawiam się, że ten pośpieszny transport poważnie zaszkodził moim aparatom. Nie będę miał, ekscelencjo, chwili spokoju, dopóki nie sprawdzę osobiście, że wszystko działa jak należy.

Diego nacisnął jeden z kolorowych guzików na białej płycie swego biurka. Prawie natychmiast uchyliły się drzwi i na progu stanął wysoki oficer, wciśnięty, jak wszyscy w pałacu dyktatora, w czarny mundur.

--- Proszę zaprowadzić doktora do jego gabinetu. Jest pan, majorze, przydzielony do osoby Pabla Millero. Proszę pamiętać, by naszemu uczonemu na niczym nie zbywało.

Powiedziawszy to, Diego skłonił się doktorowi i znikł za ciężką, brązową kotarą.

Pablo udał się za majorem. Zrozumiał doskonale polecenie ministra Diego. Miał w osobie oficera swego anioła stróża. Wiedział, że w tej chwili każdy jego krok będzie śledzony, każdy gest obserwowany, każde słowo nagrane na taśmę magnetofonową. Nie przejmował się jednak tym zbyt. Wręcz przeciwnie. Jakiś głos tajemniczy szeptał mu do ucha, że nadarza się wspaniała okazja, że los zsyła mu wielką szansę, której nie wolno przegapić. Chwilowo nie wiedział, jakie korzyści wyciągnie z tej okazji na przyszłość, wyczuwał jednak, że w życiu jego następuje gwałtowna i decydująca zmiana. Był na tyle

byстрыm obserwatorem, że tych kilka godzin wystarczyło, by spostrzec ogólne podniecenie, stan zdenerwowania, graniczący z paniką, oraz przestkach malujący się na twarzach czarno umundurowanych dygnitarzy, oficerów i służby. Pojął momentalnie, że stan ten wywołała ciężka choroba dyktatora Salvatore. Pojął również i to, że on, doktor Pablo Millero, los tych wszystkich czarnych postaci trzyma w swym ręku. To stwierdzenie przepełniło go ciepłym zadowoleniem. Trzymał ich los istotnie w swych lekarskich dłoniach. Jeżeli pozwoli zginąć dyktatorowi, zginą oni: ministrowie i generałowie, zginie trzymana geniuszem i wolą Salvatore czarna kohorta, siła, na której wsparte są ich urzędy i stanowiska. Jeżeli uratuje złożonego chorobą starca, uratuje również ministra Diego, generała Coiba i tysiące innych, czarnych, wzbudzających lęk i grozę satrapów. Jak

więc postąpić? Co należy począć? Jaka podjąć decyzję? Myśli kłębią się w głowie don Pabla. Wreszcie rodzi się decyzja śmiała i ryzykowna. Przewierca jak błysk splecione kłębowisko myśli. Wcina się w świadomość jasnym ostrzem, przecinającym wątpliwości i wahania. To jest szansa, to jest okazja, jedyna, być może --- niepowtarzalna. Trzeba ją chwycić, trzeba ją koniecznie wykorzystać. "Wyleczę don Salvatore". Wyleczę go, przywrócę do sił i postawię na czele tej umundurowanej zgrai. Ale za cenę, którą im wyznaczę.

--- Oto pański gabinet, doktorze --- usłyszał głos oficera. Don Pablo natychmiast ochłonął. Rzucił się do poustawianych wzdłuż ścian aparatów. Dotykał ich dłońmi, gładził pieścziotliwie, oczyszczał z kurzu. Widać było, że raduje go ich widok.

--- Jeżeli miałbym być panu w czym potrzebny, oto moja fala: "O.X. 85". Proszę zanotować, doktorze --- odezwał się major.

--- Pańskie nazwisko, majorze?

--- Gonzoles.

--- Jeszcze jedno, majorze Gonzoles, zanim pan mnie pożegna. Proszę mi powiedzieć, czy gabinet ten przylega do sypialni ekscelencji Salvatore i czy można wchodzić do niej stąd bezpośrednio.

--- Tak. Tu są drzwi. --- Mówiąc to major nacisnął nikłową dźwigenkę. W tej samej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ściana rozsunęła się bezszelestnie, tworząc szerokie przejście, przez które widać było w głębi leżącego na szerokiej sofie dyktatora.

--- Doskonale --- szepnął don Pablo. --- Doskonale, drogi majorze. Natychmiast zastosujemy elektrosen.

--- Sądzę, doktorze, że moja obecność jest w tym wypadku zbyteczna. Pozwoli pan, że go pożegnám. Życzę powodzenia.

Po wyjściu Gonzolesa Pablo zaczął montować aparaturę, której trzon stanowiły cztery generatory. Trwało to zaledwie kilka minut. Zdecydował się początkowo zastosować impulsy prądu elektrycznego w kształcie prostokątnym, by wywołać u chorego stan elektrosnu.

--- Zaczynamy zatem leczenie, doktorze Millero!

Pablo odwrócił się. Z tyłu stał minister Diego i obserwował z zainteresowaniem czynności lekarza. Wszedł do gabinetu niepostrzeżenie.

--- Tak jest, ekscelencjo. Zastosowałem ze względu na stan chorego natężenie zaledwie około stu mikroamperów. To w zupełności wystarcza. Zresztą, ekscelencjo, proszę sprawdzić. Don Salvatore śpi. Sen regeneruje jego siły. Z kolei zastosujemy elektrosymulację mięśnia sercowego. To będzie następna faza leczenia. Oczywiście operację tę przeprowadzimy z doktorem Soyela przy zastosowaniu elektronarkozy. Trzecią fazę, jeżeli zaistnieje konieczność, może stanowić operacja.

--- Zdziwiająco --- wyszeptał minister Diego.

--- Nic w tym nadzwyczajnego, ekscelencjo. Umieścimy po prostu chorego w polu elektromagnetycznym, którego fale przebiegają w kształcie zębów piły. Zresztą podobne pole wytwarza się i w tej chwili, tylko częstotliwość impulsów jest inna a wykres prądu układa się, jak ekscelencja widzi, na tym ekranie, w kształcie spirali.

Udzielając tych wyjaśnień don Pablo uśmiechał się z zadowolenia. Czuł, że imponuje ministrowi Diego. Cieszył się w duchu, że może tego ciemnego chłopca, jakim był w rzeczywistości Diego, wprawić w podziw i zdumienie. A przecież pokazał mu tak mało. Przecież nie zademonstrował mu złożonego działania innych przyrządów: ulepszonych elektroencefalografów, rejestrujących na odległość najskrytsze myśli, znajdujących się w pobliżu ludzi, hipnotyzatorów elektronowych kierujących procesem myślowym i czynami człowieka, którego poddano by działaniu tych aparatów, elektromiografów, automatycznych rejestratorów i liczników wykreślających stan napięć duchowych oraz szeregu innych, których części mieściły się w skrzyniach rozłożonych wzdłuż ścian gabinetu.

### **Śmiałe plany don Pabla**

Od przybycia don Pabla do pałacu dyktatora Salvatore upłynęło kilka dni. Doktor miał pełne ręce roboty. Od wczesnych godzin rannych aż do późna w noc był bez przerwy na nogach. Sił jego nie wyczerpywały jednak ani wielogodzinne dyżury u łóżka chorego dyktatora, ani stała praca przy montowaniu i ulepszaniu skomplikowanej aparatury elektrolecniczej, ani

wreszcie ciągle napięcie myślowe. Nic nie zdołało osłabić jego energii. Chciał bowiem jak najszybciej przystąpić do realizacji swych zamierzeń, które straciły już początkową mglistość stając się wyraźne w swych zarysach. Doktor obmyślił w najdrobniejszych szczegółach plan działania. Aparaty, które zbudował w cichym ustroniu, w swej villa bianca, które służyć miały człowiekowi, których zadaniem miało być zwalczanie ludzkich cierpień, postanowił wykorzystać dla uchwycenia władzy w pałacu. Dzięki nim dokona rewolucji pałacowej. Wystarczy tylko, gdy wzmocni zasięg działania systemu połączonych urządzeń elektronicznych.

Zacznie niebawem. Wszystko w zasadzie ma do akcji przygotowane.

Aparatura jest zmontowana. Ustawione generatory wytworzą prądy o żądanych kształtach, na ekranach rejestratory i animometry wykreślą w kolorowych liniach myślowe procesy każdego, kogo on, doktor Pablo, zechce poddać eksperymentowi. Specjalny, podłożony pod linie alfabet przy naciśnięciu niebieskiego kontaktu, przemieni się na płycie w dźwięki, w słowa, w zdania, zdradzające najtajniejsze zamiary, najskrytsze myśli i pragnienia każdego, kto tylko znajduje się w pałacu. Od samego don Salvatore począwszy, a kończąc na pałacu w kotłowni. Lecz nie koniec na tym. Oto podłużna skrzynia z tubą wykonaną z materiału migocącego jak kryształ skomplikowanymi nacięciami. Wystarczy przesunąć wzdłuż czerwonej strzałki przełącznik, by wysłała w przestrzeń niewidzialne fale hipnotyzujące. Fale o magicznych własnościach, dyktujące zgodnie z wolą operatora nakazy, polecenia, którym oprzeć się nikt nie jest w stanie. Skrzynia ta to duma doktora Pablo. Skuteczność tego przyrządu sprawdził już kilka razy w Villa bianca, ma więc do niego pełne zaufanie.

Doktor Pablo postanawia zacząć jutro. Leżąc obmyśla jeszcze raz całą akcję. Ufa swoim aparatom. Wierzy w ich precyzję, w nieomylność działania, w skuteczność. Upaja się wizją zwycięstwa. On, przed kilkoma zaledwie dniami docent uniwersytetu, cichy, choć pełen ambicji młody uczonec, z nabitą pomysłami głową, staje dziś do walki z systemem dyktatora Salvatore. Przedtem ani mu się śniło, by przyrządy swe wykorzystać do tego celu. Dopiero tu w pałacu zrodziła się ta idea. Dopiero tu widząc tych ludzi, którzy trzęśli państwem, którzy decydowali o losie kilku milionów obywateli, powstało pytanie: dlaczego nie on, lecz oni, dlaczego Salvatore, Diego, Coiba, a nie on, są rządcami tego kraju. Czym oni zasłużyli na ten przywilej? Czyż są od niego lepsi, mądrzejsi? Już jutro pytanie to zacznie się rozstrzygać. Już jutro udowodni, kto silniejszy.

Zacznie działać ostrożnie. Cały pałac znajdzie się w polu elektromagnetycznym. Ludzie przebywający w jego zasięgu zostaną poddani wpływowi impulsów drgań. Zaczną więc wykonywać jego wolę. Oczywiście nie będzie działał gwałtownie, nie będzie żądał od swych przyrządów natychmiastowych rezultatów. On, doktor Pablo, ma czas. Mieszkańcy pałacu nie mogą spostrzec, że działają, postępują i myślą tak, jak chce tego doktor Pablo. Nie, to byłaby katastrofa. To byłby koniec śmiałych planów. Trzeba przeto poczynać nadzwyczaj ostrożnie. Nikt nie może zauważyć zmian w swym sposobie myślenia, zachowywania się, reakcji. O to przecież tak łatwo. Wystarczy, że znajdzie się poza zasięgiem pola. Doktor Pablo wie o tym doskonale. Poza tym jest człowiekiem, który nie puszcza się na sprawy wątpliwe.

## Zwycięstwo

Dyktator Salvatore czuł się już na tyle dobrze, że zaczął załatwiać niektóre sprawy państwowe i przyjmować poszczególnych ministrów oraz posłów zagranicznych, składających mu gratulacje z powodu tak szybkiego powrotu do zdrowia. W czasie oficjalnych audiencji Salvatore przedstawiał odwiedzającym go gościom doktora Pablo, nazywając go

swym wybawcą, najlepszym przyjacielem, największym lekarzem wszystkich czasów. Don Millero chodził w glorii. Otrzymał najwyższe odznaczenie państwowe --- Order Złotego Kondora, katedrę elektrolicznictwa na uniwersytecie stołecznym oraz nagrodę państwową pierwszego stopnia za działalność szczególnie ważną dla dobra republiki. Nagroda ta oprócz najwyższego wyróżnienia stanowiła niemałą korzyść materialną: Don Pablo stał się właścicielem książeczki czekowej, uwalniającej go na całe życie od wszelkich kłopotów materialnych. "Warto leczyć dyktatorów" --- powiedział do siebie, gdy książeczkę tę wręczał mu minister Diego.

Te wszystkie jednakże wyróżnienia, nagrody i wyrazy wdzięczności, jakimi go szczerze w pałacu dyktatora darzono, już doktorowi Pablo nie wystarczały. Don Millero chciał rządzić państwem, pragnął decydować o losach milionów ludzi, chciał wejść do historii. Nie wystarczało mu nawet to, że Salvatore wprowadził go do rady przybocznej, czyniąc go równym ministrowi Diego, generałowi Coiba, generalnemu dyktatorowi finansów i ministrowi spraw wojskowych. Nie wystarczało mu, że wszechmocny Salvatore mianował go ministrem-doradcą nadzwyczajnym.

Ambasadorowie i posłowie, akredytowani przy rządzie dyktatora Salvatore, w lot pojęli, że don Pablo jest nową, wschodzącą gwiazdą, że warto zyskać jego przychylność, że jest to człowiek o coraz większych wpływach.

Nikt jednak z ludzi obserwujących zawrotną karierę don Pabla Millero nie mógł wiedzieć naprawdę, dzięki czemu piął się on z każdym dniem coraz wyżej. Uważano powszechnie, że dzieje się tak wskutek szcudrośliwości starego dyktatora, wskutek jego wdzięczności. Tymczasem...

Tymczasem don Pablo zawdzięczał wszystko, co zyskał, tylko sobie, a raczej swym wspaniałym przyrządom. Od rana do nocy, od chwili budzenia się życia w pałacu aż do momentu udania się na spoczynek don Salvatore, doktor Millero czuwał nad pracą aparatury. Wyłączał ją tylko w czasie swej nieobecności w pracowni. Gdy musiał brać udział w posiedzeniach rady lub towarzyszyć w czasie spacerów dyktatorowi.

W pierwszych dniach swego pobytu w stolicy don Pablo otoczony był ścisłym nadzorem. Gonzoles był oficerem kontrwywiadu, był więc specjalistą od tego rodzaju spraw. Z biegiem jednak czasu inwigilacja stawała się mniej ścisła. I wreszcie doszło do tego, że nie śledzono go zupełnie. Rola Gonzolesa ograniczała się do ochrony osoby don Pabla jako członka rządu przed możliwością napadu lub zamachu ze strony przeciwników Salvatore.

Don Pablo miał więc zupełnie wolne ręce. Mógł bez obawy przeprowadzać swe doświadczenia. Zresztą miał pewność, że nikt w pałacu nie rozumie pracy maszyn i aparatów, zapelniających jego laboratorium. Nic więc mu nie groziło. Przebywanie w pracowni, obserwowanie pracy posłusznych jego woli aparatów, wsłuchiwanie się w głosy sączące się z mikromegafonów, śledzenie błysków pojawiających się na ekranach w postaci kolorowych punktów, których znaczenie on jeden tylko rozumiał, stanowiło dla doktora Pablo najwyższą rozkosz. Szczególnie lubił wsłuchiwać się w plątaniny cudzych myśli odtwarzanych w postaci dźwięków za pomocą aparatury fonicznej. Z nich odczytywał zamiary przeciwników, ich plany, zanim zyskały ostateczny kształt decyzji. Jeśli chciał, mógł je w każdej chwili pokrzyżować lub zdusić w zarodku. Wystarczyło, by rzucił jedno polecenie do membrany hipnotyzora. Wiele już razy uciekał się don Pablo do jego pomocy, po raz pierwszy zaś wkrótce po przesileniu się choroby dyktatora.

Oto don Salvatore w rozmowie z ministrem Diego i generałem Coiba wysunął sprawę lekarza Pabla Millero. Całe szczęście, że doktor znajdował się w swej pracowni i że nastawiona była aparatura odbiorcza. Usłyszał więc całą rozmowę dokładnie. Diego wysunął projekt, który poparł również generał Coiba, ażeby lekarza po prostu zgładzić, ponieważ przebywając przez dłuższy czas w pałacu gubernatora, zbyt wiele poznał, zbyt wiele widział. Salvatore zgodził się na takie rozwiązanie sprawy.

--- Nie! nie! nie! --- rzucił w membranę hipnotyzora don Pablo i momentalnie spiskująca trójka znalazła się w zasięgu

działania aparatu. Don Pablo był uratowany. Od tej chwili starał się przebywać, szczególnie w początkowych dniach walki, stale w pracowni. Później, gdy niebezpieczeństwo nie było już tak groźne, pozwalał sobie na mniejszą czujność. Zresztą małe usprawnienie w aparaturze zwalniało go z ustawicznej kontroli otoczenia. Otóż wprowadził don Pablo do rejestratorów samoczynne zapisywacze i wywoływacze chwyconych myśli i rozmów. Teraz mógł spokojnie opuszczać pracownię, bo po powrocie rozwijająca się taśma magnetofonowa odtwarzała wiernie to wszystko, co zaszło podczas jego nieobecności.

Tak więc don Pablo Millero mógł wpływać nie tylko na procesy myślowe swych niedoszłych zabójców, ale zgodnie ze swym życzeniem również na ich postępowanie. Początkowo sączył w ich świadomość za pomocą hipnotyzora przekonanie, że on, Pablo, jest człowiekiem opatrnościowym, największym uczonym tej części świata, chlubą narodu. Z kolei spowodował, że zarówno Salvatore, jak i wszyscy z jego otoczenia, zaczęli zasięgać jego rad w zakresie zagadnień państwowych. Pozbawił cały gabinet dyktatora inicjatywy w myśleniu i działaniu. Wreszcie nastąpił taki stan, że bez zezwolenia don Pabla nie przedsięwzięto żadnej akcji ani nie podjęto żadnej decyzji. Stawał się przez to faktycznym i prawie absolutnym rządcą kraju, potężną, wszechmocną szarą eminencją.

Zaszczyty, które spływały na don Pabla, nie zadowalały jednak jego nienasyconych ambicji. Zapragnął czarnego munduru dyktatora, Salvatore był stary, Salvatore o osłabionej woli przestał być groźnym lwem, przed którym drżała stolica, kraj, przeciwnicy. „Salvatore musi odejść” --- postanowił któregoś wieczoru don Pablo. Sytuacja dojrzała.

Aparaty doktora Millera zaczęły pracować dzień i noc ze wzmożoną siłą. Hipnotyzor obezwładniał coraz bardziej Salvatore. Wreszcie po tygodniu stało się to, na co z niecierpliwością oczekiwał don Pablo. Do sali recepcyjnej w pałacu dyktatora wezwani zostali ministrowie, generałowie prowincji, wyżsi oficerowie oraz przedstawiciele państw obcych. Wszyscy oczekiwali w podnieceniu na wejście dyktatora. Wreszcie w drzwiach, prowadzących do apartamentów prywatnych, ukazał się w pełnej gali stary Salvatore. Szedł wspierając się na ramieniu don Pabla Millero.

--- Panowie! --- wyszeptał pobladyłymi, starczymi ustami. --- Panowie! --- powtórzył głośniej. --- Pozwoliłem sobie wezwać panów dziś, gdyż pragnę zakomunikować im swoją nieodwołalną decyzję. Od jutra, panowie, wszelkie funkcje, związane ze stanowiskiem głowy państwa, przejmuje --- tu Salvatore zatrzymał się chwilę, żuł jakieś słowa, wreszcie podniesionym głosem powiedział --- przejmuje don Pablo Millero, wielki polityk, mąż stanu, człowiek godny tego urzędu. Panowie, jestem szczęśliwy, że mogę złożyć godność i urząd w jego ręce. Jestem stary, pragnę odpocząć po trudach rządzenia. Zastąpi mnie człowiek młody, o wielkim geniuszu...

Don Pablo stał spokojny i zimnym wzrokiem mierzył zgromadzonych na sali dostojników.

**Stanisław Hoszowski**  
**TRZY DOBY NA LATAJĄCYM TALERZU**

Mam serdecznego przyjaciela i kolegę jeszcze z lat dziecińczych. Niezwykle to może określenie, ale nazwałbym go "wiecznym wędrowcem i dociekaczem tajemnic". Bo zaiste, dziwny to człowiek. Jeżeli zastaniesz go w domu, to zawsze ślęczącego nad jakimiś książkami i papierami. Coś studiuje, coś liczy, kreśli, pisze. Nie ma czasu na tak zwane normalne życie normalnego człowieka. Czasem przepada i nie wiadomo wtedy, gdzie się podziewa, co robi ani kiedy wróci.

Jest on nieocenionym źródłem wiedzy, szczególnie technicznej. Potrafi wyjaśnić najzawilsze i najdziwniejsze zjawiska przyrody i techniki. A przygód jego można słuchać z zapartym oddechem.

Miałem jakiś palący problem, którego nie mogłem sam rozwiązać. Dowiedziawszy się więc, że mój przyjaciel właśnie wczoraj wrócił z kolejnej swojej tajemniczej wędrowki, znalazłem się w jego mieszkaniu.

Niestety! Tym razem czekał mnie zawód. Nie chciał wdawać się w rozmowę. Nie miał czasu. Przybywszy dopiero co, już znowu wybierał się nie wiadomo dokąd. Nie chciałem jednak dać za wygraną i nalegałem, aby powiedział przynajmniej, gdzie był i co robił w ostatnich czasach. Niecierpliwiłem go. Nagle kazał mi poczekać i wyszedł z pokoju.

Po długiej chwili ukazał się z powrotem, trzymając w ręku brulion. Położył go na stole i przysiadł się do mnie.

--- Gdzie byłem i co robiłem w ostatnich czasach? --- powtórzył moje pytanie. --- Trudno byłoby o tym w niewielu słowach opowiedzieć. Z moich zapisków dowiesz się wszystkiego lepiej, niż gdybym ci o tym opowiedział.

--- Aha! --- dodał i sięgnął do bocznej kieszeni marynarki, skąd wyciągnął portfel. --- Abyś wiedział, że to, co jest napisane w tym brulionie, jest prawdą, obejrzyj sobie ten przedmiotek.

Wyjęty z portfela przedmiot przypominał delikatną zapinkę. Piękna to była zapinka. Wydawało się, że zrobiona była z jednego kawałka ogromnego, ale elastycznego diamentu, rozrzucającego wspaniałe snopy różnobarwnych iskier.

Najdziwniejszą jednak właściwość tej zapinki miałem dopiero poznać za chwilę. Mój przyjaciel uchwycił dwie poły mojej marynarki, złożył je jedna na drugą i położył na to zapinkę, naciskając ją lekko w jakiś szczególny sposób.

--- Próbuj rozpiąć --- powiedział.

Próbowałem, co miałem sił. Ale raczej byłbym rozdarł poły marynarki, zanimby zapinka puściła. A przecież zdawała się leżeć luźno na materiale. Miała chyba jakieś dziwne "magnetyczne" siły przyciągające dwie warstwy sukna tak silnie do siebie. Odpadła dopiero za ponownym, szczególnym dotknięciem ręki przyjaciela.

Patrzyłem na niego ze zdziwieniem. Schował pieczołowicie zapinkę z powrotem do portfela, jakby stanowiła dla niego jaką drogą pamiątkę.

--- Czytaj ten rękopis --- powiedział --- i traktuj to, co tam jest napisane, jak ci się podoba. Tymczasem zaś --- żegnaj przyjacielu. Za godzinę będę już daleko. Mój brulion jednak pozostanie z tobą.

Pożegnaliśmy się serdecznie, a ja zabrałem brulion i wróciwszy do domu, wyczytałem w nim taką historię.

\*

Kiedy się to zaczęło, księżyc był prawie przed pełnią. Kocham takie jasne noce. Kocham księżycowe krajobrazy: są jak marzenie, zwiewne i delikatne, osnute srebrną poświatą, błyszczącą w kropelkach rosy. Są tajemnicze i swojskie.

Była właśnie księżycowa, letnia noc. Poszedłem więc w pola i lasy na bezcelową włóczęgę --- nie po raz pierwszy w moim życiu...

Wyszedłem na wzgórze za wsią, z którego roztacza się cudowna panorama Karpat i Podkarpacia, miasteczek, wsi, pól, lasów, łąk i potoków. O kilka kilometrów na północ leżały tereny kopalni nafty, migoczące setkami żarówek elektrycznych, niby jakieś wielkie miasto.

Usiadłem na darni obok polnej drogi i patrzyłem w kierunku świateł. Niebawem doszedł mnie jakiś szelest, syk. Nie było w tym nic dziwnego, bo gazociągi syczą, kiedy im się tylko podoba. Po chwili usłyszałem jakieś delikatne, dość jeszcze dalekie stapanie. Spojrzałem w kierunku, skąd rozlegały się kroki, i zobaczyłem coś, czego dotąd jeszcze nigdy tam nie widziałem...

O kilkaset metrów ode mnie błyszczało to "coś", niby okrągła tafla wody --- choć przecież wiedziałem, że wody w tym miejscu nigdy nie było. Już w następnym ułamku sekundy zorientowałem się jednak, że nie była to woda! O tych kilkaset metrów ode mnie, na prawo, w kierunku lasu i na samym jego skraju, leżała jakby olbrzymia, metalowa patelnia lub misa odwrócona dnem do góry. Z dna wystawał jakiś metalowy, srebrzysty domek z okrągłymi otworami okien.

Tymczasem stapanie szybko zbliżało się ku mnie. Zobaczyłem, że szły dwie ludzkie postacie. Ubrane były w jakieś dziwne skafandry: zdawało się, że zrobione z błyszczącej, metalowej łuski...

Żadnej broni przy nich nie dostrzegłem. Szli ku wierzchołkowi góry, ku mnie. Siedziałem zupełnie spokojnie i bez ruchu, zasłonięty przed ich wzrokiem z prawa i z lewa łąkami dojrzewającego zboża, od tyłu zaś krzakiem tarniny. Przeszli obok mnie, nie zauważwszy mnie i... usiedli wygodnie o kilka metrów dalej na tej samej darni, obok tej samej drogi polnej, przy której siedziałem.

Coś mówili. Mogłem słyszeć każde ich słowo. Sądząc po głosie, byłbym przysiągł, że przynajmniej jedna z przybyłych postaci była kobietą. Niestety! Nie rozumiałem ich języka. Nie mówili wiele. Manipulowali --- jak mi się zdawało --- jakimiś aparatami czy zabawkami.

Palila mnie coraz większa ciekawość. Kto to, co za jedni? Co to za domek na dnie odwróconej misy? Co tu robią, czego szukają? Czy będzie bezpiecznie, kiedy mnie odkryją --- wystarczyło tylko odrobiny więcej uwagi z ich strony, aby do tego doszło. Może lepiej już samemu wystąpić?

Zapamiętałem sobie kilka zasłyszanych z ich rozmowy wyrazów i wypowiedziałem je na głos, nie ruszając się z miejsca.

Odpowiedział mi szereg jakichś wyrazów --- pytań. Powtórzyłem je znowu, jak najlepiej umiałem, i w tej chwili nieznani przybysze, zerwawszy się na równe nogi, znaleźli się obok mnie.

Jak wyglądały ich twarze, nie mogłem rozpoznać, ponieważ księżyc oświetlał ich od tyłu. Zresztą spod skafandrów niewiele było widać. Siedziałem nadal zupełnie spokojnie. --- Zobaczywszy mnie, sięgnęli do piersi, na których błyszczały jakieś guziki czy przyciski. Jednak wobec mego spokoju, przyjaznej miny opuścili ręce. Gestem i słowem zapraszałem do siadania.

--- Dya? dya! --- usłyszałem niezrozumiałe słowa.

Niezrażony, zapraszałem dalej. Usiedli w końcu obok mnie.

Należało się przedstawić. Rozmowę można było prowadzić tylko na migi. Wskazałem więc na siebie i na widoczną opodal wioskę, dając tym samym do zrozumienia, że stąd pochodzę.

Jeden z gości wskazał na siebie i na towarzysza, a potem wyciągnął rękę ku niebu.

Przylecieli więc samolotem --- zrozumiałem, a to kopułowate czy też miskowate dziwadło, leżące tam pod lasem to właśnie ten ich samolot. Takiego samolotu nie widziałem jednak jeszcze nigdy. Wskazałem nań ręką, na nich i na niebo. Skinęli głowami. Ale kiedy przylecieli? Nie słyszałem żadnego warkotu ani szumu silnika! Naśladując ten warkot, wskazałem na swoje uszy z gestem przeczenia. Uśmiechnęli się porozumiewawczo i znowu powtórzyli swoje "dya, dya".

Zrozumiałem, że jakiś wielki dzikus ze mnie, kiedy nie rozumiem tak prostych rzeczy, jak przybycie "z nieba" tak dziwnego samolotu, nie wydającego żadnego dźwięku. Zaczynało mnie to trochę gniewać, wymieniałem więc po kolei



nazwy najrozmaitszych krajów, z których mogliby być przybysze, ale oni przeczyli każdej z nich. Wskazywali tylko prosto w niebo.

Zniecierpliwiony, wyjąłem notes i ołówek i pół żartem, pół serio --- narysowałem półksiężyc i gwiazdy i podałem jednemu z nich.

Przyjął, a z jednego z guzików skafandra błysnęło jasne, ale nie rażące światło. Księżyc przekreślił natychmiast, a obok gwiazdy narysował małą kulkę.

--- Co u licha --- pomyślałem. Wszak to znaczy, że przybyli oni z jakiejś planety! Czy to aby nie kpiny? Ale na miłych twarzach przybyszy --- o ile te były widoczne --- malowała się zupełna powaga. To nie były na pewno żarty.

Wtedy, jak olśnienie, błysnęła mi myśl --- przypomnienie o rozmaitych urywkowych informacjach radiowych i prasowych, dotyczących tzw. latających talerzy.

Przecież to nic innego, jak tylko taki "talerz" leży tuż niedaleko obok mnie! A te łuskowate skafandry, ten tajemniczy język i... ludzie. Ludzie z innej planety?... Świadomość tego wszystkiego zatkała mi na moment dech w piersiach. Niebawem zrobiłem jednak przyjemną minę i uczyniłem gest uprzejmego gospodarza Ziemi, witającego miłych gości.

Wyjąłem notes i ołówek z powrotem i przy nie gasnącym świetle guzika na skafandrze przybysza narysowałem: Słońce -- - scharakteryzowane drobnymi promykami --- dalej orbitę pierwszej planety --- Merkurego, potem Wenus, Ziemi, Marsa, Jowisza, Saturna i Uranu. Na każdej z tych orbit zaznaczyłem kulkę. Wskazałem potem na Ziemię pod nogami i na kulkę oznaczającą Ziemię na orbicie. Zrozumieli i przytaknęli. Ale śmiali się tylko, kiedy wskazywałem na nich i na narysowane na swych orbitach planety.

Skąd więc są? Dlaczego tak stronią od nas? Jakie mają wobec nas zamiary? Jaki to cudowny pojazd przynosi ich z tak dalekiego świata? Czy to rzeczywiście ludzie? Takie i podobne pytania kłębiły się teraz w mojej głowie.

Goście podsuwali sobie co pewien czas jakiś preparat pod nos i coś wdychali. Zapewne skład naszego powietrza nie całkiem im odpowiadał. Częstowali się też czymś w rodzaju cukierków czy czekoladek. Poczęstowali i mnie. Przyjąłem. Miało to smak niepodobny do niczego na Ziemi, ale przyjemny. Kiedy rozpląnęło się w ustach, po ciele rozchodziło się jakieś przyjemne ciepło. Ustępowało zmęczenie. Czuję się rześki i syty.

Moja ciekawość była tak wielka, że bez specjalnego ociągania przyjąłem gest moich nowych znajomych, zapraszający do "latającego talerza".

\*

Wejście do wnętrza statku nie było trudne wobec tego, że brzegi jego tarczy, okalającej środkową kabinę, dotykały prawie ziemi. Pojazd miał kilkanaście metrów średnicy. Mimo że lśnił jak wypolerowany metal, powierzchnia tarczy nie była śliska, owszem --- dawała się wyczuwać pod obuwem jak jakaś gąbczasta masa.

Idący przede mną zaziemski przyjaciel, dotknął ściany kabiny i przed nami ukazały się prostokątne drzwi. Znalazłem się w jakiejś małej kabinie. Za nami wszedł drugi z moich nowych znajomych. Zewnętrzne drzwi kabiny zamknęły się.

Znalazłem się u miłych przyjaciół czy też w pułapce podstępного wroga?

Z małej komory weszliśmy do drugiej, większej, gdzie moi znajomi zaczęli zdejmować niektóre części skafandrów i umieszczać je w ściennych skrytkach. Siedziałem teraz na miękkim, wygodnym fotelu, podobnym do siedzenia w samochodzie osobowym, i patrzyłem na wszystko, co się dzieje, oraz na rzeczy i urządzenia, jakich nigdy dotąd nie widziałem. Jakkolwiek ludzkie i do ludzkiego użytku przeznaczone, wszystko to miało jednak jakiś odmienny od naszych rzeczy charakter.

Moi towarzysze zniknęli za jakimiś innymi drzwiczkami. Po chwili ukazał się jeden z nich, już w innym, domowym stroju.

Był to mężczyzna bardzo dobrze zbudowany, normalnego, naszego ludzkiego wzrostu. Twarz miał owalną, bez śladu jakiegokolwiek zarostu, jak kobieta. Ponad bardzo wysokim czołem miał bujną blond czuprynę, zwijającą się w kędziory. Szarzielone oczy miał nieco inaczej osadzone niż to zwykle bywa u ludzi. Odnosiło się wrażenie, że ich kąciki zwrócone są do góry, a nie na dół, tak jak u nas. W palcach bardzo eleganckich, długich i delikatnych, ale silnych, trzymał przyniesione dla mnie właśnie pantofle, takie, jakie i sam miał na nogach. Krój jego ubrania przypominał mi jakieś połączenie naszych sportowych spodenek i koszulki z ubiorami starych Greków, jakie widywałem na posągach.

Zdjąłem swoje obuwie i nałożyłem pantofle --- czułem się w nich doskonale. Znajomy wskazał mi skrytkę w ścianie, do której musiałem wstawić nie tylko swoje obuwie, ale także płaszcz, marynarkę i kapelusz. Pozostawiłem sobie tylko drobiazgi, które zwykle nosi się w kieszeniach. Teraz weszliśmy do centralnego zapewne pomieszczenia pojazdu, ponieważ było ono stosunkowo duże i okrągłe, tylko że przedzielone na połowę wzdłuż średnicy.

Najważniejsze, co mi się natychmiast rzuciło w oczy, to pulpit umieszczony na samym środku tego półkolistego pokoju i sam także półkolisty. Przed nim znajdowało się kilka wygodnych siedzeń. Na wysokości oczu i rąk znajdowały się różne tarcze "zegarów" --- przyrządów, jakieś kolorowe szybki, przyciski, dźwigienki.

Mój towarzysz posadził mnie przed jedną z szybek i przycisnął jakiś guzik obok. Jednocześnie wskazał mi na dźwigienkę, którą trzeba było pokręcić.

Nie wiem, czym była moja szybka: ekranem telewizora czy też lustrem jakiegoś peryskopu, bowiem to, co ujrzałem w nim, przechodziło wszelkie moje pojęcie.

Byłbym dał głowę za to, że nie ruszyliśmy się w ogóle z miejsca, na którym zauważyłem pierwszy raz nasz "latający talerz". Nie odczułem absolutnie żadnego drgnięcia pojazdu, żadnego przyśpieszenia, wskazującego na to, że odbywa on jakikolwiek ruch. Według moich ziemskich przyzwyczajęń wyglądało więc na to, że stoimy jeszcze nieruchomo w tym samym miejscu. Tymczasem ekran dowodził zupełnie czego innego. Kiedy doregulowałem go sobie za pomocą wskazanej dźwigienki na ostro, zobaczyłem, że powierzchnia Ziemi odsunęła się jakby daleko od nas. Góry i lasy, pola, wsie i miasta płynęły daleko, daleko pod nami...

\*

Międzyplanetarny statek, na którym się znalazłem, nazywał się "Arlot". Jego załoga składała się z czterech osób. Dowódcą był wspaniały, nie najmłodszy już mężczyzna, imieniem Aru. Miał on kruczoczarne włosy nad bardzo wysokim czołem. Poza tym odznaczał się podobnymi cechami zewnętrznymi do tych, jakie zauważyłem już poprzednio u członka załogi, który wprowadził mnie na statek, a który nazywał się Anu. Oprócz nich były tu jeszcze dwie kobiety, również członkowie załogi. Jedna z nich nazywała się Ena, a druga --- Ina. Ta właśnie Ina towarzyszyła swemu koledze Anu na ziemskim spacerze i jej głos rozpoznałem jako kobiecy przy pierwszym spotkaniu. Była brunetką o smagłej cerze.

Jak na pojazd międzyplanetarny "Arlot" był statkiem stosunkowo niedużym.

Jeżeli chodzi o wewnętrzny rozkład jego pokładu, to nie robiono przede mną żadnych tajemnic. Sporządziłem sobie jego szkic, który zyskał uznanie załogi. A jednak wszystko to, co uwidocznilem na tym szkicu jest rzeczą drugorzędną. Tym, co mnie najbardziej interesowało w całej tej przygodzie, była zasada lotu statku. Zasada, która u nas na Ziemi jest zupełnie nieznaną. Nie traciłem jednak nadziei, że uda mi się poznać tę tajemnicę. Nie był mi też obojętny cel przyjazdu na Ziemię, którego jeszcze nie znałem.

\*

Na ekranie pulpitu, przed którym siedziałem obok Iny, zobaczyłem kompletny zarys ziemskiej fabryki materiałów termojądrowych. Patrząc na mój pulpit, mogłem śmiało powiedzieć, że załoga "latającego talerza" ma bez porównania lepsze możliwości skontrolowania pracy takiej fabryki niż sama jej dyrekcja. Nasza aparatura, posłuszna manipulacjom Iny, dawała takie przybliżenia, jakich tylko sobie życzylibyśmy. Odpowiednie ustawienie przycisków i gałek, dokonane na aparaturze, spowodowało na nasz ekran widoczne w każdym szczególe wnętrze biura konstrukcyjnego, które przecież znajdowało się dziesiątki, a raczej może setki kilometrów pod nami skryte w ciemnościach nocy. Ina przycisnęła znów jakąś gałkę i --- usłyszałem rozmowy pracujących w biurze z taką dokładnością, jak gdybym znajdował się pośród nich. Ale aparatura miała jeszcze dziwniejsze właściwości. Można na niej było wyłączyć np. ludzi. I tak ujrzałem to samo biuro fabryczne z porozkładanymi na stołach rysunkami konstrukcyjnymi, próbkami, narzędziami itd., ale bez widoku choćby jednego człowieka. Niesamowity był to obraz. Rysunki bowiem i inne detale poruszały się jak zaczarowane, rosły rysowane, przesuwaly się od stołu do stołu itd., tak właśnie, jak poruszali nimi niewidzialni ludzie. Rysunki te i detale mogliśmy oglądać z takim przybliżeniem, jak gdyby znajdowały się właśnie na stole przede mną. Niewiele brakuje --- pomyślałem --- a zobaczę na tym ekranie myśli, które kołaczą w głowach tych ludzi na dole.

\*

Drugiego dnia mojego pobytu na "Arlocie" automatyczne przyrządy zarejestrowały oznaki potężnego wybuchu atomowego. Wszelkie dane wskazywały na to, że dokonał się on na drugiej półkuli Ziemi. Nie tracąc czasu, należało się tam udać. Tym razem służbę miał Aru i Ena. Szybko nastawiono automaty na odpowiednie punkty i już lecieliśmy z niesamowitą szybkością nad ognisko wybuchu. Patrzyłem przez ekran na dół. Pod nami przesuwala się szara smuga ziemskiego krajobrazu, zlewającego się w jedną zamazaną całość.

Aru i Ena obserwowali na swoich wskaźnikach przyrost wysokości.

Automatyczni piloci statku kierowali nim bowiem tak, żeby otrzymywał on impulsy promieniotwórcze zawsze tej samej mocy. Ponieważ moc tych impulsów wzrastała w miarę tego, jak zbliżaliśmy się do ogniska wybuchu, to statek musiał zwiększać swoją wysokość. Lecieliśmy więc zgodnie z krzywą charakterystyki natężenia promieniowania, która była identyczna z wykresem zmiany naszej wysokości w zależności od długości geograficznej, na której znajdowaliśmy się w danej chwili.

Nawet wysokość rosła, aż wreszcie ustaliła się, a nawet zaczęła opadać. Minęliśmy ognisko promieniotwórcze. Kilka ruchów na przyrządach sterowych statku i zawróciliśmy, aby ustawić się dokładnie nad interesującymi obiektami nowego ogniska w bezpiecznej od niego odległości. Włączyliśmy naszą aparaturę telewizyjną, pozwalającą na oglądanie żądanych szczegółów. Pod nami był próbny ośrodek bomb termojądrowych.

Usłyszałem w pewnej chwili cichy głos Eny: --- dya?

--- Dya! --- odpowiedziałem. I zrobiło mi się niezwykle duszno i ciężko na sercu.

Dzikus "dya" nie ustawał w swej pracy, "dya" parł do tego, aby czym prędzej przygotować środki do własnego samobójstwa.

Zastanawiałem się, dlaczego takich obserwacji dokonują moi towarzysze, ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć jakiejś zadowalającej odpowiedzi. W końcu zwróciłem się do kapitana Aru z prośbą o wyjaśnienie. Było ono proste. W jego ojczyźnie nie dokonuje się żadnych doświadczeń z energią jądrową stosowaną do celów niszczycielskich. Uważa się je za wybitnie niebezpieczne dla zdrowia ludności ich planety. Niemniej jednak doświadczenia te są ciekawe i... Tu Aru nie dokończył. Roześmiał się jakoś dziwnie i zostawił mnie samego. Ale dokończenie nie było trudne. Należało tylko dodać: "Jeżeli tych doświadczeń

dokonyują jacyś głupcy bez względu na dobro swojej planety, to dlaczegoż by z tego nie skorzystać?"

Nasza nowa podróż prowadziła tym razem do "niezbyt odległego" bieguna północnego. Tam to znosiły prądy powietrzne promieniotwórcze pyły wybuchów i tam dochodziło do zmian decydujących o klimacie i innych zjawiskach w atmosferze Ziemi. Ku biegunowi lecieliśmy z najwyższą możliwą prędkością, dopuszczalną przy tej odległości od Ziemi. Przypuszczam, że prędkość ta grubo przekraczała sześć tysięcy kilometrów na godzinę, bo na biegun przybyliśmy w stosunkowo krótkim czasie.

Automatyczne przyrządy naszego statku prędko załatwiły się z niezbędnymi pomiarami. Kapitan Aru otrzymał od nich potrzebne wiadomości i wykorzystał je do dalszych celów. Naszym zamiarem było teraz przesunąć się od bieguna północnego ku biegunowi południowemu w ciągu dwunastu godzin oraz z powrotem w ciągu następnych dwunastu godzin. W ten sposób mieliśmy obraz stosunków, które nas interesowały, panujących w ciągu doby na wszystkich szerokościach geograficznych ziemskiego globu.

Nastawienie tych wszystkich przyrządów na statku, które miały utrzymywać kurs, prędkość, wysokość itd., nie było żadnym problemem i wkrótce lecieliśmy już z nieznaczną prędkością ok. 3500 km/godz. od jednego bieguna ku drugiemu.

\*

Wyglądało na to, że cała załoga będzie miała następnych dwanaście godzin do swojej "prywatnej" dyspozycji, ponieważ podczas lotu nie było właściwie co robić. Nawet dyżur nie wymagał dużego natężenia uwagi, wszystko było z góry ustalone i oddane pod pieczę automatów.

Ale kapitan Aru udał się do laboratorium, aby spełniać tam swoje dalsze obowiązki wobec dalekiej, tajemniczej dla mnie ojczyzny. Anu i Ina mieli poza normalnym czasem spoczynku także jakieś obowiązki. Dyżur wypadł na Enę. Do niej to postanowiłem "przypuścić szturm", aby się dowiedzieć tego wszystkiego, co nieustannie zaprzętało moje myśli. Taki obrót sprawy był mi nawet bardzo na rękę. Ena jest kobietą, a kobieta, jak to kobieta za język nie będzie trudno ją pociągnąć. I tak dowiem się przynajmniej czegoś o tajemniczej zasadzie lotu statku, a może i czegoś więcej o planecie, z której statek pochodził. Ufam sobie tym bardziej, że pilnie studiowałem język swoich przyjaciół, tak że wzajemne porozumiewanie się szło już bez porównania łatwiej, chociaż nadal nie mogło się obejść bez rysunków i znaków mimicznych.

Szturm przypuściłem natychmiast, na skutek czego wywiązał się dialog, który postaram się tu pokrótce oddać w naszym "ludzkim" języku.

Ja: Chciałbym koniecznie poznać fizyczną zasadę lotu waszego statku oraz zasady jego konstrukcji.

Ena: Do czego to panu potrzebne?

Ja: Interesują mnie takie sprawy. Zdaje mi się, że wykorzystujecie siły grawitacyjne do swego lotu, a zagadka tych sił od dawna nie daje mi spokoju.

Ena przywołuje mnie do zajęcia miejsca obok siebie, przed ekranem jednego z aparatów. Palcami obsługuje gałki, dźwignienki, przyciski tego aparatu. Na ekranie ukazują się jakieś szkice, symbole...

--- Nic z tego nie rozumiem --- zauważam. --- Nasza nauka obraca się wokół zupełnie innych pojęć. I niestety muszę powrócić do mego pierwotnego pytania: Na jakiej zasadzie poruszają się wasze statki międzyplanetarne?

--- To już pan sam odgadł. Wykorzystujemy siły grawitacyjne.

Ena uśmiecha się i dodaje:

--- Tak, tak. Wy potraficie wyzwalać energię jądrową, potraficie nawet poderwać się z Ziemi za pomocą takich niesłychanie kosztownych narzędzi, jakimi są wasze samoloty i rakiety, ale to wszystko jest jeszcze za mało, aby już uważać się za panów i władców Wszechświata. Możliwe, że pański pobyt u nas zacznie was o tym coraz bardziej przekonywać.

Ena musiała coraz to bardziej zwracać uwagę na automat regulujący prędkość pojazdu. Pracował on już przez kilka sekund z nateżeniem. Widać było, że musi dokonywać stale hamowania. Wyglądało na to, że zbliża się do nas jakaś dość znaczna masa z dużą prędkością. Popatrzywszy w dół, skonstatowałem, że lecimy wzdłuż ładu amerykańskiego, najprawdopodobniej wzdłuż siedemdziesiątego piątego południka. Zarysy ładów widać było jak na mapie.

Ena nakierowała naszą aparaturę obserwacyjną na kierunek, skąd dolatywała ta masa, i na ekranie ujrzeliśmy coś w rodzaju metalowego krążka, otoczonego płomienną aureolą.

--- Niech pan patrzy --- rzekła Ena. --- Za nami leci wasza zabawka --- rakieta próbna. Celuje prosto na nas.

Czekałem, co będzie dalej. Ena sięgnęła znów do jakichś innych gałek i przycisków. Wskazówka jednego z przyrządów, stojąca dotychczas w jednym miejscu nieruchomo, drgnęła nagle. Krążek rakiety otrzymał teraz jakiś wałkowaty dodatek. --- Aha! widzimy ją teraz już trochę z boku --- pomyślałem. To Ena skręciła naszym pojazdem trochę w bok. Rakieta przybliżała się coraz bardziej. Palce Eny spoczywały na jakimś pokrętle, a wzrok miała utkwiony w ekran. Naraz dokonała drobnego ruchu ręką na tym pokrętle i stało się coś dziwnego. Rakieta zboczyła niemalże pod kątem prostym ze swojego kursu i poleciała daleko w bok.

--- Teraz niech sobie leci --- powiedziała wreszcie Ena. Odepchnęłam ją od nas. Polecą w innym kierunku.

--- Zaginie --- zauważyłem.

--- Oczywiście. Samoloty i poszukiwacze „dya” będą mieli świeżą robotę. A uczeni „dya” muszą się głowić nad tym, aby znaleźć błąd w swych konstrukcjach i obliczeniach. Ich mózgi naturalne i elektronowe znajdują się w tarapatach. Historia wprowadziła dość dla nas nieprzyjemna, bo nie chcemy zwracać na siebie uwagi ani mącić dociekań waszych uczonych. Ale... nasze prace mają dla nas też poważne znaczenie. Skorzystaliśmy właściwie tylko z prawa pierwszeństwa przelotu. Ponieważ wasz ślepy pocisk nie potrafi wyprzedzać według przepisów... więc musiałam go tego nauczyć.

W drzwiach laboratorium ukazał się kapitan Aru. Wiedział oczywiście o wszystkim. Rzucił tylko okiem na przyrządy i skinął z uznaniem głową Enie, która wprowadzała statek znowu na poprzedni kurs, aby nie powodować poważniejszych zakłóceń w pomiarach.

--- Zajmij się bliżej naszym gościem, Ena --- powiedział Aru. --- Zastąpię cię, zanim się jeszcze skończy twoja służba. I odszedł do laboratorium.

Teraz zostałem poddany regularnym badaniom antropologicznym. Ena ucięła mi kosmyk włosów, zrobiła odbitkę uzębienia w jakiejś masie, pomierzyła czaszkę, wzrost, wagę i ostatecznie pobrała próbkę krwi. Wszystko to wkładała do jakichś przegródek i otworów w pulpicie, naciskając różne guziki. Na ekranie wyliczeniowym migwały najróżniejsze znaki, aż wreszcie wszystko się uspokoiło i pozostała tylko jakaś nieruchoma figura geometryczna. Był to zapewne symbol --- charakterystyka mego ciała --- a może i moich właściwości psychicznych?

Nad ogromnym, lodowatym ładem południowego bieguna Ziemi nie zatrzymaliśmy się dłużej, niż to było konieczne dla dokonania pomiarów. Automatyczne czujniki sterujące naszego statku naprowadzały nas w krótkim czasie na odpowiednie punkty, inne zaś automaty dokonywały jednocześnie żądanych pomiarów.

Stąd wybraliśmy się z powrotem ku biegunowi północnemu. Ale tym razem lecieliśmy ponad wschodnią półkulą Ziemi, wzdłuż tego samego południka. Do równika mieliśmy sześć godzin lotu ponad bezkresem oceanu. Podobnie jak i reszta załogi statku, będąca dotychczas na służbie, udałem się na spoczynek. Podróż i tak zapowiadała się dość nudnie. A jednak...

Spałem zapewne dość długo, bo kiedy się zbudziłem, ujrzałem pod naszym statkiem ład. Właściwie zbudził mnie jakiś ruch, jakieś ożywienie na pokładzie statku. Kiedy znalazłem się w centralnej kabinie, zauważyłem w niej duże zmiany. Ściana przegradzająca ją na połowę była rozsunęta na obie strony, tak że ujrzałem cały krąg pulpitu, zamiast jak dotąd tylko jego połowę. Czworo członków załogi siedziało w komplecie przed pulpitem, każdy przed swoimi ekranami i tablicą rozdzielczą. Pozostawały jeszcze próżne dwa takie miejsca. Pilnie pracujący moi przyjaciele pozdrowili mnie uśmiechem i wskazali jedno z pustych miejsc. Niebawem "ożył" też ekran przede mną. Zobaczyłem na nim sinoczarne niebo, roziskrzone gwiazdami, wyglądającymi jak ostre, świecące punkty na tle sinawej czerni. Przez długi czas na tym ekranie nie mogłem zauważyć nic szczególnego, chociaż ożywiona praca, jakieś rozmowy z kimś niewidzialnym nie ustawały. Ostatecznie jednak zwrócił moją uwagę jeden z tych świecących punktów na ekranie. Wzrastał on mianowicie z każdą sekundą. Różnił się kształtem od innych --- był jakiś wydłużony, kreskowaty. Nasz statek nie zmniejszał bynajmniej swej prędkości ze względu na swoje pomiary,

ale prędkość nadchodzącego punktu musiała być przerażająca, ponieważ --- jak mogłem wnioskować z jego wzrostu --- przybliżał się on coraz bardziej ku nam. Wreszcie zrozumiałem wszystko. Przybliżał się ku nam ogromny statek międzyplanetarny, mający tym razem formę olbrzymiego cygara. Już widać było po obu jego końcach potężne pierścienie czerwonych płomieni. Takie same płomienie wydawała też okrągła tarcza naszego pojazdu, wirująca stale wokoło kabiny za oknami. Właściwie nie były to płomienie, ale raczej jarzące się światło w rodzaju tego, jakie widzimy w naszych latarniach neonowych.

Zbliżający się pojazd błyszczał jak lustro, podobnie jak i nasz „Arlot”. Jednak w odróżnieniu od niego nie posiadał żadnych otworów okiennych ani drzwiowych. Były one co najmniej niewidoczne.

--- Co to jest? --- rzuciłem zaintrygowany pytanie w stronę Iny, która siedziała najbliżej mnie.

--- Nasz "Wielki Statek" --- odpowiedziała Ina.

Ach, tak --- pomyślałem. --- Jesteśmy więc tylko częścią jakiejś większej zorganizowanej wyprawy statków z którejś z planet na Ziemię. Całe szczęście, że nie są to wrogowie ludzi, że nie są to dzikusy „dya”, wyposażeni w potężne środki techniczne. Ale czy to nie szkoda, że nie mają oni zamiaru wprowadzić na naszej planecie swojej kultury? Tak postąpiłby na pewno człowiek w stosunku do każdej osiągniętej planety.

Takie myśli przewijały mi się przez głowę, gdy tymczasem "Wielki Statek" znalazł się w pobliżu nas. Naraz zobaczyłem na ekranie zamiast niego zupełnie inny widok. Przede mną widniała postać starszego jegomościa spoza ziemskich krain. Spojrzenie jego dziwnych, zielonych oczu przenikało na wskroś. Ale otwarty i miły wyraz jego dobroduszej, nadzwyczaj inteligentnej twarzy wpajał ufność i poszanowanie. Spoza jego głowy wychylały się liczne i ciekawe twarze innych nieziemskich mężczyzn i kobiet.

Teraz następowała zapewne zwykła wymiana raportów i wiadomości służbowych, z której nic nie rozumiałem. Na ekranie przewijało się tysiące różnych zagadkowych dla mnie znaków i obrazów, z jakichś urzędzeń teleakustycznych dolatywał mnie gwar głosów. W raportach nie została pominięta też i moja skromna osoba, bo w pewnym momencie zobaczyłem, jak dowódca "Wielkiego Statku" przegląda wszystko, co mnie dotyczyło. Były tam moje szkice naukowe, obraz wioski, z której wyjechałem na naszym "latającym talerzu", obraz mego własnego mieszkania i pracowni, nagrania naszych rozmów z załogą, a nawet karta badań antropologicznych, dokonanych na mnie niedawno przez Enę...

Wszystko to wypadło widać zadowolająco dla dowódcy "Wielkiego Statku", gdyż skierował na mnie wejrzenie, skinął mi bardzo przyjaźnie głową i powiedział coś mile brzmiącym głosem.

Po dalszym ciągu urzędowego raportu nastąpił gwar pojedynczych rozmów między członkami załóg obu statków. Miałem

wrażenie, że znajduję się w dużej sali wypełnionej tłumem ludzi swobodnie rozmawiających pomiędzy sobą. Ostatecznie jednak wszystko zaczęło przygasać. "Wielki Statek" odłączył się od nas i odleciał w innym kierunku. Pozostaliśmy znowu sami w piątkę na naszym "latającym talerzu", utrzymującym stale kurs na biegun północny.

\*

Dalsze dzieje tej podróży nie są już bardzo ciekawe. Znalazłszy się po raz drugi w ciągu doby na tym biegunie, dokonaliśmy zwykłych zdjęć naukowych oraz pomiarów i zawróciliśmy znowu ku południowi. Była to już podróż, która prowadziła mnie ku mojej ojczyźnie, ku domowi.

Przewidywałem, że gdy dotrę do miejsca, z którego wystartowałem, zakończy się właśnie trzecia doba mego pobytu na pokładzie „Arlotu”.

W miarę tego jak zbliżał się czas opuszczenia statku, rozpalala się we mnie coraz bardziej żądza lepszego poznania ludzi i kraju, z którego pochodził nasz „Arlot” i jego załoga. Zwierzyłem się z tej myśli moim przyjaciółom, którzy zeszli się na ostatnią pogawędkę ze mną.

Siedzieli przez chwilę zamyśleni. Wreszcie odezwał się kapitan Aru.

--- Żadne obietnice nie mogą mieć w tej chwili miejsca, ale też nie powinienes przekreślać swoich nadziei --- powiedział. --- Na twoim przykładzie przekonaliśmy się, że uprzedzenie ludzi naszej planety do ludzi na Ziemi nie jest w stu procentach uzasadnione. Czas, w którym obydwie te rodzaje ludzkie zapoznają się z sobą bliżej, może nadejść prędzej, niż to można było przewidywać. Nie jest wykluczone, że właśnie tobie przypadnie w tym jakaś ważna rola. Zastanów się nad tym i jeśli zechcesz --- bądź znowu pojutrze w nocy na tym samym miejscu, gdzie nastąpiło pierwsze spotkanie.

Tymczasem znaleźliśmy się na miejscu. Swoje rzeczy miałem już wszystkie przy sobie. Przez okno "Arlotu" oglądałem z góry znany mi krajobraz. Noc była tak samo pogodna i jasna, jak ta, kiedy wybrałem się w tę niespodziewaną i dziwną podróż. Tylko księżyc, będący wtedy przed pełnią, był teraz właśnie po pełni.

Wylądowaliśmy bezszelestnie i bez żadnych absolutnie wstrząsów w tym samym miejscu, z którego wtedy wystartowaliśmy.

Pożegnałem się serdecznie ze swoimi przyjaciółmi z zaświatów. Nie wiedziałem jeszcze, czy żegnam ich na zawsze. Ina miała mi towarzyszyć aż do miejsca naszego pierwszego spotkania.

Otworzyły się bezszelestnie drzwi jednej, a potem drugiej komory wyjściowej „Arlotu”. Zeszliśmy z Iną po zewnętrznej, miskowatej, ogromnej tarczy statku i moje stopy poczuły znowu miękką dłoń Ziemi. Poczulem się znowu w domu. Nie, nie porzucę tej Ziemi dla innej, może lepszej planety.

Kilkanaście kroków szliśmy wraz z Iną w milczeniu. Naraz poczułem jej dłoń w swojej dłoni.

W pobliżu wierzchołka wzgórza skręciliśmy na szeroką miedzę pomiędzy dojrzewającymi łanami zbóż. Zatrzymaliśmy się.

--- Żegnaj, Ino, żegnaj na zawsze.

--- Pamiętaj, że byłeś gościem Iny. To ja zabrałam cię na statek.

Jeszcze jeden, tym razem już ostatni uścisk. Odwróciła się i śpiesznym krokiem poszła w kierunku statku.

Niebawem zobaczyłem unoszący się bezszelestnie w górę tak dobrze znany mi statek. Krążył przez chwilę nad wzgórzem. Kto obserwuje mnie teraz stamtąd przez kamerę telewizyjną?

Statek poderwał się nagle jak strzała i z szaloną prędkością znikł za horyzontem.

Siedziałem jeszcze przez jakiś czas ze ściśniętym sercem i trzymałem kurczowo łodygi traw i mchu. Nagle --- co to? --- poczułem jakiś przedmiot w ręku. Była to zapinka, którą widywałem u Iny. Ze wzruszeniem schowałem zapinkę do portfela i



ruszyłem w drogę ku wiosce.

\*

Rękopis mojego przyjaciela skończył się. Zdawało mi się, że poczułem pod palcami kształt zapinki, którą pokazywał mi, wręczając ten brulion.

Skończyłem czytanie. Zza okien nie dochodziły żadne głosy. Księżyc nie wzeszedł jeszcze, ciemna noc okrywała świat. Nagle nad horyzontem ujrzałem przelatujący z wielką prędkością błyszczący krążek.

Gdzie jesteś, przyjacielu, "wieczny wędrowcze i dociekaczu tajemnic?" Czy jednak wróciłeś na pokład "Arlotu" i w ten oto sposób dajesz mi ostatni znak na pożegnanie?

## Krzysztof Boruń SPADKOBIERCY

Spośród dwustu trzydziestu czterech ludzi biorących udział w wyprawie naukowej do gromady kulistej M 66 --- na Ziemię powróciło tylko troje.

Stu czterdziestu sześciu uczonych pochłonęły na zawsze niebieskie dżungle planety Kloto w układzie DH 53. W czterdziestym trzecim dniu pobytu na tym globie, gdy już wydawało się, że nic ludziom nie grozi ze strony klotońskich mikroorganizmów, zmarli w ciągu niewielu godzin wszyscy uczestnicy ekspedycji badawczej. Zginęli w straszliwych męczarniach, wśród objawów obłędu i szybko postępującego porażenia obwodowego układu nerwowego. Zarówno nauka ludzka, jak i prymitywna medycyna Klotoczyków okazały się bezsilne.

W dwadzieścia dwa dni później epidemia wybuchła wśród pozostałych przy życiu członków załogi międzygwiazdowego statku. Krążył on wokół Kloto jako jej sztuczny satelita, przy czym od czasu katastrofy ekspedycji badawczej zerwano całkowicie raketową łączność z planetą. Wirusy paraliżu klotońskiego musiały więc dostać się na statek już wcześniej, a inkubacja choroby trwała kilka tygodni.

Epidemia nie oszczędziła nikogo, lecz tym razem trzy przypadki nie były śmiertelne. Choroba pozostawiła jednak trwałe ślady w organizmach dwojga ocalałych uczestników nieszczęsnej wyprawy.

Najwyższą cenę za życie zapłaciła Pia. Mimo stosowania różnych leków i zabiegów nie odzyskała władzy ani w rękach, ani w nogach. Rost był w nieco lepszej sytuacji --- mógł poruszać normalnie rękami. Lecz już przejście z kabiny do kabiny wymagało od niego ogromnego wysiłku. Gdyby Helia nie wyszła z choroby nieomal bez szwanku, sytuacja stałaby się tragiczna.

W tych warunkach kontynuowanie wyprawy nie było możliwe. Po uzupełnieniu zapasów materii z wód wszechoceanu planety Mitra, obiegającej --- podobnie jak Kloto --- gwiazdę DH 53, wyruszono w drogę powrotną, aby po dwudziestu siedmiu miesiącach podróży znaleźć się w okolicach Układu Słonecznego. Tych troje ludzi gnała nie tylko tęsknota za rodzinnym globem, ale także niezachwiane przekonanie, że powrót na Ziemię uwolni ich od cierpień, których pokonać nie potrafili na swym opustoszałym statku.

Ileż musiało zmienić się na Ziemi od dnia odlotu w daleką wyprawę ku granicom Galaktyki. Gdy zegary międzygwiazdowego statku wskazywały tygodnie na Ziemi płynęły wieki.

Światło gwiazd gromady kulistej M 55 biegnie do Słońca dziewiętnaście tysięcy lat. Fotonowy statek międzygwiazdny przebył niemal całą tę drogę z chyżością tylko o nieznaczny ułamek procentu mniejszą od prędkości światła. Einstein w swej szczególnej teorii względności wykazał, że im bardziej prędkość jakiegoś ciała zbliża się do prędkości światła, tym jednostki czasu, jaki tam biegnie, ulegają większemu podłużeniu z punktu widzenia nieruchomego obserwatora. Już w XX stuleciu znano fakty przemawiające za słusznością tego twierdzenia, jak np. wydłużanie lub skracanie się okresu "życia" nietrwałych cząstek promieniowania kosmicznego zależnie od prędkości tych cząstek. Lecz dopiero loty kosmiczne statków fotonowych, zdolnych do rozwijania prędkości porównywalnej z prędkością światła, potwierdziły teoretyczne wnioski astronautyczną praktyką.

Dla Rosta, Pii i Helii wyprawa do gromady kulistej M 55 trwała pięć lat. Dla ludzi zamieszkujących Ziemię minęło w tym czasie ponad trzysta osiemdziesiąt wieków! Świadczyły o tym zarówno obliczenia teoretyczne, jak i zmiany we wzajemnych położeniach gwiazd.

W miarę jak statek, tracąc prędkość, zbliżał się do Układu Słonecznego, Rost coraz częściej przesiadywał w centrali

radiokomunikacyjnej, usiłując łowić sygnały dalekiego, a tak bliskiego im świata. Gdy przed wiekami opuszczali układ słoneczny --- ludzkość wkraczała zwycięsko w drugą fazę automatyzacji. Wspaniałe zdobycze cybernetyki otwierały wówczas nowe, trudne do odgadnięcia perspektywy organizacji życia opartej na zasadach z gruntu odmiennych od tych, którymi rządziła się społeczność ludzka od swego zarania. Żywo jeszcze stały w pamięci podróżników kosmicznych spory i dyskusje nad wyborem dróg, którymi powinna ludzkość wkroczyć w tę nową epokę. Żegnali świat zbliżający się do zakrętu historii, świat pełen sprzeczności

i problemów, których rozwiązanie przerastało, zda się, zdolności ludzkie. Żegnali świat, którego przyszłość dla największych umysłów owej epoki była wielką niewiadomą. Teraz, po trzydziestu ośmiu tysiącleciach, mieli poznać owoce tego, co wówczas dopiero poczynano się rodzić.

Już obserwacje astronomiczne wskazywały, że ludzkość dokonała ogromnego skoku cywilizacyjnego. W samej fizycznej strukturze Układu Słonecznego nastąpiły zmiany, które można było wytłumaczyć tylko świadomym działaniem istot myślących. Wenus i Merkury przestały być pojedynczymi planetami krążącymi po własnych orbitach i przeobraziły się w planetę podwójną, wirującą wokół wspólnego środka masy jak Ziemia i Księżyc. Mars zyskał cztery nowe księżyce, i to świecące własnym, sztucznym światłem. Za to w pobliżu Ziemi nie dostrzeżono żadnego z wielkich sztucznych satelitów, które w końcu

XX stulecia stanowiły największą dumę ludzkości. Widocznie obecny poziom techniki nie wymagał budowy wielkich baz dla lotów kosmicznych. Gdy już stały się możliwe obserwacje teleskopowe szczegółów powierzchni ziemskiego globu, stwierdzono również znaczne zmiany w układzie łądów.

Trudno było przypuścić, aby działały tu siły geologiczne. Znikł Bałtyk, Morze Śródziemne i Czarne, a ich w miejscu można było przy znacznym powiększeniu dostrzec subtelną siatkę kanałów, łączonych często węzłami sztucznych jezior. Na próżno szukano białych czap biegunowych i żółtych pustyń Afryki północnej.

A jednak... W owym obrazie rodzinnej planety było coś niepokojącego...

Zwróciła na to uwagę Pia. Leżąc nieruchomo w swej koi, patrzyła godzinami w sufitowy ekran, na którym świecił niebieskawym blaskiem sierp Ziemi. Kiedy już rozmiary owego sierpa przestały mieścić się w ramach ekranu, na oświetlonej stronie planety można było bez trudu dostrzec ciemne punkciki wielkich miast. Miast tych przybyło chyba stokrotnie. A jednak...

Z chwilą gdy pogrążyły się w cieniu --- na próżno szukano odbłasku ich światel nocnych... Nieprzenikniona czerń okrywała kontynenty.

Pierwsze sygnały radiowe z Układu Słonecznego złapano w odległości jedenastu miliardów kilometrów od Słońca. Przypominały telemetryczne meldunki, ale treści ich nie potrafił rozszyfrować elektronowy analizator. Nasilenie tych sygnałów na różnych zakresach fal rosło nieustannie w miarę zbliżania się do Ziemi. Pierwszą audycję foniczną, a następnie telewizyjną odebrano dopiero pod sam koniec podróży --- na dwa dni przed lądowaniem w odległości około dwustu milionów kilometrów od Ziemi. Z głośnika nie popłynęły jednak słowa oczekiwanego powitania. Była to sucha instrukcja dotycząca ostatniej fazy lotu, m.in. rozkaz przestawienia automatycznego pilota na zdalne sterowanie. Zdania wypowiedziane jakimś matowym, bezbarwnym

głosem w języku esperanto miały dziwaczną i bardzo skondensowaną, jakkolwiek poprawną budowę.

--- To na pewno mówi nie człowiek, lecz automat --- zauważyła wówczas Helia.

Wtedy też po raz pierwszy w głowie Rosta zrodziło się straszne przypuszczenie...

Na ekranie telewizyjnym nie ujrzeli również żadnego człowieka. Audycja wizyjna, powtórzona parokrotnie, przedstawiała przebieg przyszłego ich lądowania. W ostatniej fazie lotu statek miał być sprowadzony na Ziemię w " eskorcie " sześciu maszyn przypominających płaskie krążki. Jakkolwiek rozmiary tych krążków były ogromne, wobec całkowitego braku jakichkolwiek śladów okien czy kopuł obserwacyjnych wątpliwe było, aby znajdowali się w nich ludzie. Oczywiście, nadając audycję pokazującą przyszły rozwój wydarzeń, musiano operować makietami i trikami, niemniej sprawiały one wrażenie rzeczywistości, chwytanej okiem kamery na gorąco.

Na zakończenie audycji padło z głośnika lakoniczne pytanie:

--- Gdzie lądować?

Po krótkiej naradzie z towarzyszami Helia wyjaśniła, że chociaż miejsce lądowania jest im obojętne --- najchętniej najpierw odwiedziłby Europę.

--- Gdzie reszta? --- odezwał się znów tajemniczy głos.

W pierwszej chwili nie zrozumieli, o co chodzi. Wówczas na ekranie ukazał się stary film ze startu statku. Ujrzeli raz jeszcze twarze swych zmarłych towarzyszy.

--- Gdzie oni? --- rozległo się wyjaśniające pytanie.

Helia przedstawiła pokrótce tragiczne dzieje ekspedycji. Gdy wreszcie wspomniała o ciężkim stanie Pii i Rosta oraz konieczności dalszych zabiegów leczniczych, z głośnika wybiegło tylko jedno słowo:

--- Przyjęte!

Tego dnia nie odebrali już żadnej audycji z Ziemi. Gubili się w domysłach. Istniało jedno, najprostsze rozwiązanie zagadki --- ale odrzucali je z lękiem, szukając z uporem innego, choćby w oparciu o jak najbardziej sztuczne, nierealne hipotezy:

Byle tylko nie to!

\*

Rost tej nocy długo nie mógł zasnąć. Przed oczami stawały mu męczące, koszmarne obrazy Ziemi, na której nie ma już człowieka... Ziemi obcej, dalekiej i strasznej.

Nad ranem nie wytrzymał nerwowo. Wlokąc sparaliżowanymi nogami, dobiegł do centrali radiowej i wezwał Ziemię.

Nie powiedział, gdzie idzie, ani Pii, ani Helii. Bał się, że będą usiłowały go przekonać, aby jeszcze poczekał, że będą starały się odwiec jak najdłużej tę chwilę, która może przynieść wyjaśnienie i... pogrzebać ostatnie nadzieje. Chyba wiedziały, że odpowiedź będzie tylko jedna --- niwecząca to wszystko, co wymarzyli w długich rozmowach w czasie drogi powrotnej... A jednak chciał wiedzieć, wiedzieć na pewno! Może gdzieś w głębi mózgu tliła się jeszcze isierka wiary w człowieka...

Po długim oczekiwaniu odezwał się sygnał kontrolny.

--- Czego chcecie?

Dwa słowa zimne, nieprzystępne.

Rost stłumił nerwowe drżenie warg i zapytał wprost, otwarcie, bez niedomówień:

--- Czy rozmawiam z człowiekiem?

--- Nie!

Wiedział, że taka będzie odpowiedź, a jednak spadła na niego jak grom.

Opadł ciężko na fotel. Czuł tępy ból w skroniach.

--- Jak wyglądacie? Pokażcie się! --- usłyszał poza sobą głos Helii.

Stała w drzwiach, patrząc rozszerzonymi przez lęk oczyma na ekran w centrali telekomunikacyjnej.

Minęła długa, nabrzmiała oczekiwaniem chwila.

--- Wycinkowo! --- padł z głośnika pojedynczy wyraz.

W tej samej chwili pojawiły się na ekranie jakieś budowle, sploty przewodów, gruszkowate potwory z błyszczącego tworzywa, wreszcie siatki i pręty spełniające role anten i reflektorów fal radiowych. Niektóre z tych urządzeń były jakby zawieszane w powietrzu, czasami wspierały się na wyrastających z ziemi długich, cienkich prętach.

--- A ludzie? --- wyrwało się Rostowi z piersi rozpaczliwe pytanie.

Ekran zamigotał. Z mlecznej mgły wyłonił się żółty pas plaży. Fale miękko kładły się na piasku, potem zieloność palmowego gaju wypełniła obraz.

Wśród tej przyrody skapanej w słonecznym blasku spoczywała na sztucznym, miękkim wzniesieniu para młodych ludzi. Z kulistych zbiorników umieszczonych w pobliżu wzniesienia biegły cienkie rurki w dół, do ust leżących. Prężąc leniwie opalone ciała, poruszali wolno wargami jak niemowlęta ssące pokarm matki. Tylko z rzadka, spod współzamkniętych powiek wybiegało na chwilę senne spojrzenie i przesunęło się bezmyślnie po jaśniejących na niebie obłokach.

--- A miasta? --- rzuciła Helia niepewnie.

Obraz zmętniał i znikł. Miejsce palmowego gaju zajęły szerokie, geometryczne, proste ulice. Czy to zresztą były ulice?... Trudno dociec. Chodników ani ludzi nigdzie nie mogli dostrzec.

Panowały tu za to niepodzielnie maszyny. Pośród wysokich podobnych do iglic gmachów o prostej, surowej architekturze przebiegały

setki pojazdów we wszystkich kierunkach. Często mijaly się w powietrzu, przeskakując niejako przez siebie. Niektóre zbaczały i znikaly w głębi ciemnych pochylni biegnących gdzieś w głąb Ziemi. Pojazdy i domy nie miały drzwi ani okien, ściany ich były mlecznobiałe --- nieprzeniknione w swej tajemniczości...

Rost pochylał głowę coraz niżej i niżej, ukrywając twarz w dłoniach.

--- Nie! Nie! Dość tego!!!

Naraz uczył na włosach miękkie dotknięcie rąk Helii.

--- Uspokój się... Jeszcze nic nie wiadomo.

--- Co nie wiadomo?? Czy ci to nie wystarczy? --- wskazał na martwy już ekran. --- Co oni z ludźmi zrobili? A raczej co ludzie zrobili z ludzkością?

--- Więc ty przypuszczasz?...

--- Nic nie przypuszczam! Nie ma co przypuszczać! To jest jasne. Czy można tu mieć jakieś złudzenia?

--- Ale przecież tamtych dwoje, na plaży, to byli ludzie!

--- Ludzie? Czy można nazwać ludźmi bezmyślne bydłeta wegetujące w rezerwatach czy ogrodach zoologicznych? Czy nie widzisz, że panami Ziemi, a z pewnością i całego układu słonecznego są istoty sztuczne, jakieś obdarzone inteligencją homeostaty? Że te istoty przewyższyły i podporządkowały sobie ludzi? Czy nie rozumiesz, że te miasta nie są wytworem ludzkiej cywilizacji, ludzkiej kultury? Że to cywilizacja i kultura robotów?

--- Ależ...

--- Jak możesz jeszcze wątpić? --- nie pozwolił jej przyjść do słowa. --- Czy nie przypominasz sobie, co mówiono w naszych czasach? "Nadmierna organizacja życia społeczeństwa w warunkach pełnej automatyzacji gospodarowania musi doprowadzić do podporządkowania człowieka maszynie". To były prorocze słowa!... Ci uczeni, filozofowie widzieli niebezpieczeństwo! Automaty nie tylko produkowały dla ludzi! Automaty zaczęły myśleć za ludzi! Nie człowiekowi one służyły, lecz takiej strukturze państwowej, w której ludzie i automaty stapały się coraz bardziej w jeden organizm społeczny!

--- To niemożliwe.

--- Możliwe. Zupełnie możliwe! Zarówno jednostki jak i całe społeczeństwa uzależniały się coraz bardziej od robotów, a

one przeobrażały świat tak, aby stał się światem, w którym najlepiej spełniać swe funkcje. Tworzyły świat dla siebie, nie dla człowieka! I dlatego stały się jego władcami!... Stały się spadkobiercami ludzkości! I oto widzimy wynik!

--- Jesteś szalony! Przecież jeszcze nic pewnego nie wiemy!

--- Ja jestem szalony?! To ci, którzy pchali ludzkość ku zagładzie, byli obłąkami!

Umilkł na chwilę.

--- Nie wiem --- powiedział wreszcie z jakąś ponurą rezygnacją. --- Może zresztą to było nieuniknione? Może nie było innej drogi? Może tak być powinno i właśnie owe sztuczne twory człowieka są jego prawowitymi spadkobiercami?

--- Nie! Nie! --- zaprzeczyła gwałtownie Helia. --- Trudno uwierzyć w to, co mówisz. Przecież automatyzacja w czasach, gdyśmy opuszczali Ziemię, otwierała przed człowiekiem, przed jednostką, nieograniczone perspektywy wolności. Przerzucała na barki automatów codzienną troskę o bezpieczeństwo i zaspokojenie potrzeb życiowych człowieka.

--- To był dopiero początek...

--- Tak. Początek, ale niekoniecznie katastrofy! Mechaniczne zdyscyplinowanie automatów nie musi oznaczać mechanicznego zdyscyplinowania społeczeństwa. Człowiek, mając tysiące drobnych kłopotów i zajęć, może w większym stopniu rozwijać swe siły twórcze, może eksperymentować, toczyć dyskusje, pogłębiać swą wiedzę i walczyć w obronie słuszności swych przekonań. Słowem, uczestniczyć w tworzeniu takiego świata, jaki najlepiej służyć będzie nie tylko materialnym, ale intelektualnym jego potrzebom. W ten sposób na pewno można by zapobiec wkroczeniu w ślepy zaułek. Czy zresztą robot może przewyższyć człowieka? Czy nie pozostanie zawsze tylko jego sługą i narzędziem? Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz!

--- A jednak tak się stało. To już koniec!

Zacisnął kurczowo dłonie na poręczy fotela. Krew pulsowała mu w skroniach, a czaszkę zdawał się rozsadzać mącający myśli ból. Przed oczyma poczęły wirować jakieś jaskrawe, barwne, kłujące wzrok światelka.

Zamknął kurczowo powieki. Ale to nie pomogło. Ból wzmagął się.

Znów poczuł dotknięcie chłodnej dłoni na czole. Gdzieś z daleka dobiegł go głos Helii:

--- Masz gorączkę...

--- Nic mi nie jest! Nic... --- Usiłował wstać, lecz siły go opuściły.

Opadł z powrotem na fotel.

\*

Czarna, nieprzenikniona noc bez światel gwiazd i dalekich mgławic... Wielkie, ponure budowle piętrzą się jedne na drugich, coraz to wyżej i wyżej, a wśród nich --- podobne do mrówek i komarów --- tysiące poruszających się szybko pojazdów. Dążą one nie wiadomo gdzie, to pojedynczo, to grupami, w jedną, w drugą stronę. Ich drogi krzyżują się w przestrzeni, tworząc dziwaczne zygzaki, spirale, sinusoidy... A wszystko to dzieje się w ciemności, bez isierki blasku, w całkowitej ciszy...

Ten obraz powracał nieustannie, przyćmiewając wszystkie wrażenia. Nie ustępował, chociaż Rost zaciskał nerwowo powieki. Zdawał wślaczać się gdzieś wprost do mózgu, uparcie, wbrew woli.

Tylko czasem, jak przez grubą warstwę waty lub hełm kosmiczny, docierały do jego uszy jakieś głosy. Wiedział, że są to głosy Helii, Pii, a jednak nie mógł zrozumieć ani słowa i nie starał się zrozumieć. Nie czuł świdrującego bólu w skroniach, tylko ogromną słabość i bezwład wszystkich mięśni, a pustkę w głowie wypełniało bezwolne oczekiwanie na coś, nie

wiadomo na co...

Były jednak minuty, gdy owa apatia i zniechęcenie ustępowały. Wydawało mu się wówczas, że mózg poczyna pracować z niespotykaną jasnością. Czuł w takich chwilach, że powinien myśleć, podejmować zasadnicze decyzje. Waga tych decyzji była ogromna, rozstrzygająca. I to nie tylko dla niego samego, Helii i Pii, ale dla całej ludzkości, której czuł się jedynym i rzeczywistym spadkobiercą.

Jedna myśl gonila wtedy druga, tworząc wartką rzekę, raz po raz zasilaną nowymi strumykami spostrzeżeń i pomysłów. Rzeka ta rozlewała się coraz szerzej, coraz wyżej wzbierały jej wody, by wreszcie rozpląnąć się w bezdrożnym oceanie... nicości.

Czasami, w toku owej dyskusji z samym sobą, zjawiał się przed nim jakiś pękaty, bezkształtny twór, przysiadł w głowach na koi i raz po raz dorzucał własne zdanie, które jak pocisk rozbijało kunsztowne konstrukcje rodzące się w mózgu Rosta.

Najczęściej ów dziwny dialog obracał się wokół perspektywy przyszłości.

--- Czy to, co się stało na Ziemi, oznacza kres ludzkości? Kiedyś, przed milionami lat, panami świata były gady i mogłoby się wydawać, że nic ich potęgi nie złamie. A przecież minęła epoka wielkich gadów. Wyginęły diplodoki i allozaury, skończyło się panowanie pteranodona, triceratopsa i plezjozaura. Ich miejsce zajęły ssaki, a potem najwyższy ich wykwit --- człowiek! Czy nie śmieszna była wiara, że będzie on panował wiecznie, że nigdy nie będzie kresu ludzkości?

--- Nic nie jest wieczne --- odpowiadał sam sobie. --- Czy można mówić o szczycie rozwoju i doskonałości? Rozwój i doskonalenie trwać będzie w nieskończoność, a człowiek jest tylko jednym ze szczebli tego rozwoju.

--- Nie! Nie masz racji! Wszak jak uczy cybernetyka --- istnieje stopień maksymalnej komplikacji sieci. Po przekroczeniu tego progu dalsze komplikowanie nie prowadzi już do udoskonalenia, gdyż powoduje taki wzrost zakłóceń, że zamiast postępu następuje regres. Sieć neuronowa mózgu ludzkiego swą komplikacją zbliżyła się już znacznie do owego maksimum. Nawet najdoskonalsze sztuczne sieci, zdolne do samodzielnego myślenia, odtwarzające się i rozmnażające na wzór istot żywych, będą więc mogły osiągnąć tylko niewiele większą doskonałość niż mózg ludzki.

--- Ale czy udoskonalenie musi polegać tylko na komplikacji? Przecież bywają różne jakościowo komplikacje. Można np. komplikować przez przypadkowy zestaw elementów. Jedna sieć lepiej, druga gorzej, przy tym samym stopniu złożoności, będzie wykonywała swe funkcje zależnie od doskonałości swej struktury. Trudno przypuszczać, że komplikacja mózgu ludzkiego jest komplikacją najdoskonalszą. Wszak już w XX wieku odkrycia neurofizjologii zdawały się wskazywać, że mózg ludzki jest niejako tworem na wyrost, że tylko w niewielkim stopniu jego możliwości są wykorzystywane. Jeszcze długa może być droga prowadząca do rozwinięcia pełnej mocy i wydajności sieci nerwowej człowieka.

--- A więc dlaczego panowanie człowieka się skończyło? Czyżby osiągnął szczyt swego rozwoju w owych trzydziestu ośmiu tysiącleciach i teraz droga prowadzi tylko w dół?

--- Nie! To niemożliwe! Na to potrzeba chyba milionów lat! To tylko jedna z fałszywych ścieżek rozwoju, ślepy zaułek, z którego można się wycofać zawczasu, nim człowiek stanie się żywą skamieniałością. Może właśnie nam, którzy możemy w pełni pojąć ogrom klęski, przypadło zadanie dokonania dzieła odrodzenia ludzkości? Na pewno jeszcze nie wszystko stracone. Te istoty ludzkie wegetujące w cieplarnianych warunkach nie mogą być już reliktem. Za mało jeszcze upłynęło czasu, by skamieniały w beztróskim bytowaniu! Trzeba je tylko obudzić! Z setek i tysięcy --- powstaną miliony! Jeśli tu, na naszej Ziemi, nie będzie można zbudować nowego życia, to zbudujemy je gdzie indziej. Choćby poza układem słonecznym! Wokół innych gwiazd! Ludzkość ma jeszcze przed sobą wielką drogę, a straszne doświadczenie przeszłości pomoże jej uniknąć błędów. Trzeba tylko obudzić drzemiących. Na pewno pojmą, zrozumieją, że nie wszystko jeszcze pogrzebane. I zechcą wraz z nami budować nowy, ludzki świat!

Naraz do świadomości jego doszły słowa wypowiedziane przez Helię:



--- Łądujemy! Rost, łądujemy!

\*

Rozwarła się przezroczysta czasza kopuły wyjściowej. Po raz pierwszy od wielu tysięcy wtargnęło w głąb statku przepelnione zapachem lasu powietrze ziemskie. Wraz z nim wpłynęło do wnętrza osiem błyszczących kul. Nie dotykając podłóg, jak balony pchane lekkim powiewem wiatru podążyły ku kabinom mieszkalnym.

Helia doprowadziła aż do koi Rosta i Pii. Potem stanęła przy włączniku, oparta plecami o ścianę, i trwała tak ze wzrokiem utkwionym w owych niezwykłych przybyszach.

Tymczasem kule podzieliły się na dwie grupy i popłynęły nad koję. Chwilę krążyły w powietrzu, wreszcie zatrzymały się nieruchomo nad ciałami spoczywających bezwładnie ludzi.

Pia nie spała. Rozszerzonymi z podziwu oczami wodziła po kulach, gdy naraz ciało jej uniosło się wolno w górę.

Dreszcz niepokoju wstrząsnął nią całą.

--- A więc już... Helia! Zostań ze mną!

Na ten okrzyk, a może również pod wpływem ruchu własnego ciała, które także uniosły w górę niezwykle kule, ocknął się z odrętwienia Rost.

Przez chwilę błędził w półprzytomnym wzrokiem wokoło, naraz twarz jego wykrzywił jakiś nienaturalny grymas.

--- Nie... Nie chcę... --- wyszeptał z przerażeniem.

Helia opanowała skurcz dławiący jej gardło.

--- Uspokój się... To nic. Wszystko będzie dobrze. Będziecie zdrowi.

--- Zdrowi? --- spojrzał na nią nieprzytomnie. --- Ale ty mnie nie opuścisz!? Nie opuścisz! Zaczniemy nowe życie!...

Utworzymy nowy świat!...

--- Tak. Tak. Nie lękaj się niczego. To są ludzie... Prawdziwi ludzie! --- mówiła łagodnie, podążając za towarzyszami unoszonymi w powietrzu niewidzialną siłą wytworzoną przez kule.

Rost zdawał się jej nie słyszeć. Patrzył z napięciem przed siebie, jakby czegoś oczekując.

Tymczasem kule przeniosły już jego bezwładne ciało przez otwarty właz do kopuły, potem dalej na otwartą przestrzeń.

W zapadającym mroku ujrzał szeroki, owalny plac, otoczony czarnym, postrzępionym pierścieniem lasu.

--- Gdzie oni? Gdzie ludzie? --- zawołał ochryple.

Ale nikt mu nie odpowiedział.

Wokół niego poczęły wyrastać spod ziemi czarne, dziwaczne twory o długich, cienkich ramionach. Uczuł, że opada jakby na miękkie, puszyste łożo.

--- Jak ciemno --- skonstatował niemal bez zdziwienia. --- Ciemność, tylko ciemność...

Była to ostatnia myśl, myśl pozostała w jego pamięci z tamtej chwili.

\*

Ocknął się, jakby z krzepiącego, głębokiego snu.

Spoczywał na wygodnym ni to fotelu, ni to tapczanie, w przestronnej, jasnej sali. Na ścianach i suficie przeobrażały się bez ustanku barwną mozaiką, jakby w kalejdoskopie, proste, pełne niezwyklej harmonii wzory.

A jednak mimo niezwykłości tych ścian biło z nich pogodą i ciepłem... rodzinnego domu. Chociaż był pewny, że jeszcze

nigdy nie widział takiego wnętrza --- nie odczuwał zupełnie wrażenia obcości i niepokoju. Jakaś dziwna, jakby niedostrzegalnie sączona w atmosferę pogoda i spokój wypełniły jego myśli. Nie było już w nim nic z owego lęku i niepewności minionych dwóch dni. To już była nie nadzieja, a raczej pewność, że to, co przeżył, pozostanie na zawsze koszmarnym snem.

Gdzieś, z przeciwległej ściany, jakby przez zasłonę z mgły, wyszły dwie postacie kobiece. Poznał je od razu i uśmiechnął się radośnie do nich.

Helia i Pia również uśmiechały się do niego.

Wstał z fotela i postąpił kilka kroków ku przybyłym. Czuł się lekko, żaden mięsień nie wykazywał śladów porażenia, które od lat zmieniało najmniejszy ruch w torturę.

Nie czuł jednak zdziwienia. Nie dziwiło go nawet to, że ciała kobiet, ubranych w lekkie, delikatne szaty, jaśniejają jakimś niezwykle blaskiem.

Spojrzał na swoje ręce. One również promieniowały. Ale to nie ręce świeciły. To tylko siatkówki jego oczu zostały uczulone na promieniowanie podczerwone.

I nagle uświadomił sobie, że wszystko dla niego jest zrozumiałe, jasne, że wystarczy tylko zadać sobie samemu pytanie, aby natychmiast pojawiła się w mózgu nie wiadomo skąd odpowiedź.

--- Choć z nami --- powiedziała Helia.

Ujął ich dłonie i ucisnął mocno.

--- Chodźmy. Chciałabym znaleźć się na wolnej przestrzeni.

Podeszli do ściany, która niemal niedostrzegalnie rozstała się przed nimi. Gdzieś w dole ujrzeli skapaną w blasku podczerwieni ulicę miasta. Zamiast dziesiątków dążących we wszystkich kierunkach pojazdów, wypełniał je teraz wielobarwny tłum ludzi. Gwar głosów, śpiew i muzyka płynęły w górę, tworząc przedziwnie kojącą symfonię dźwięków.

Ponad wieżami budowli wstawał z wolna seledynowy brzask...

Krzysztof Boruń  
ANTYŚWIAT

Informacje były ścisłe. Złapałem go w Muzeum Sztuki Nieludzkiej. Co ciekawsze, spotkałem go właśnie w sali starego Sorry --- tam, gdzie wystawiona jest seria stereogramów sondy Bumerang XII. Tych samych, które trzydzieści lat temu wywołały tak wielkie zamieszanie wśród historyków sztuki.

Stał przed stereogramem wyobrażającym jakąś trójkątną, ściętą piramidę o prostych, niemal surowych liniach. Wydawało mi się, że patrzy uporczywie, nieruchomo w jeden punkt plastycznego obrazu, ale gdy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że oczy ma zamknięte.

Poznałem go natychmiast po wejściu do sali, mimo że nie widziałem go dwadzieścia osiem lat. Nie zmienił się prawie zupełnie, tylko włosy jego nabrały srebrzystoniebieskiej barwy, a oczy jakby zapadły w głąb czaszki, nadając twarzy wyraz zmęczenia i ponurej zadumy.

Podszedłem do niego i powiedziałem:

--- „Piegowaty!” Skąd się tu wzięłeś?

Użyłem naumyślnie starego studenckiego przezwiska, gdyż obawiałem się, że może mnie na pierwszy rzut oka nie poznać. Czas robi swoje.

Ale obawy były niepotrzebne. Spojrzał na mnie, jakby przebudzony ze snu, zamrugął ze zdziwienia powiekami i naraz twarz mu się rozjaśniła.

--- A niech mnie! --- zawołał. --- "Zielone Oko"! Człowieku, aleś się zestarzał!

Uściskaliśmy się serdecznie.

--- Może pójdziemy gdzieś przepłukać gardła?--- zaproponował jak przed laty.

Poszliśmy. Chciałem zamówić popularną ostatnio czystą bezalkoholową, lecz on był konserwatystą. Usiedliśmy więc przy sporej butelce starego wina.

Zastanawiałem się, od czego zacząć, ale on sam ułatwił mi sytuację.

--- Kiedyśmy się widzieli po raz ostatni? --- zapytał, wypiwszy pierwszą czarkę „pod spotkanie”. --- Chyba jeszcze przed "wielkim skokiem"?

--- Ależ nieee --- zaproponowałem. --- To było już po "wielkim skoku"! Jakies chyba z pięć lat później... Pamiętasz? Mówiłeś wtedy, że wybierasz się na dłuższy czas... A potem już nie dałeś znaku życia. Szukałem cię nawet...

--- Zaraz, zaraz... Czyżby to było akurat przed moim wyjazdem na Księżyc?

--- Nie wiem. Mówiłeś wtedy, że lecisz gdzieś dalej, a nawet bardzo daleko... Poza Układ... Pewno tak sobie gadałeś.

Pamiętałem, że nie lubił, gdy ktoś powątpiewał o prawdziwości jego słów. Już byłem pewny, że złapał haczyk, bo nasrożył się i zawołał:

--- "Zielone Oko"! Ja nigdy nie bujam! Jeśli powiedziałem, że... --- urwał w pół zdania. Popatrzył na mnie przenikliwie i powtórzył. --- Ja nigdy nie bujam! Najwyżej milczę!

Widocznie za bardzo mi było spieszo. Nalałem znów wina, mówiąc:

--- Ależ... Nie obrażaj się! Tak dawno cię nie widziałem... Lepiej powiedz, co się z tobą działo? Po co te komedie?

--- To ty pleciesz głupstwa --- odburknął, ale wypił. Znów mu się

twarz rozpogodziła. --- No, a ty gdzie się włóczył?

Nie byłem pewny, czy to świadomy unik, czy też tylko przypadkowo zmienił kierunek rozmowy.

--- Eee. Ja tam nie mam o czym mówić... --- odrzekłem lekceważąco. --- Siedziałem przeważnie na Ziemi. Pół roku byłem na Marsie, dwa miesiące na Wenus. I to chyba --- wszystko. No, a ty gdzie byłeś w tym czasie? --- powoli zadałem pytanie. --- Tyle lat... Tyle lat... Będzie chyba blisko trzydzieści...

--- Dwadzieścia osiem --- powiedział krótko i zamyślił się.

Nie chciałem być zbyt natarczywy. Dołałem wina do czarek i siedząc naprzeciw, patrzyłem w milczeniu, wyczekująco.

--- Czy nadal pracujesz w prasie? --- zapytał zniecierpliwiony.

--- Właściwie... już nie pracuję. Przeszedłem na emeryturę. Chcę skończyć powieść...

Spojrzał na mnie jakoś cieplej.

--- Więc jednak wzięłeś się za literaturę? Nie czytałem dotąd żadnej twojej książki. Przez te dwadzieścia osiem lat w ogóle nic nie brałem do ręki. Po prostu... --- uśmiechnął się blado --- to było niemożliwe. Nie było mnie w Układzie Słonecznym. Dużo już napisałeś?

--- Blisko jedną trzecią.

--- A więc to dopiero pierwsza powieść? Może ta sama, którą zaczynałeś pisać wówczas, gdyśmy się widzieli po raz ostatni? --- dorzucił trochę kpiąco.

--- Ta sama. Cóż... Nie miałem czasu. Dopiero teraz, po przejściu na emeryturę...

--- No, to powodzenia, "Zielone Oko"! --- zawołał wesoło, podnosząc w górę czarkę.

Wypiliśmy.

--- Więc byłeś poza Układem Słonecznym? --- podjąłem już śmielej temat.

Twarz mu spochmurniała.

--- Czy słyszałeś o wyprawie Antartu? --- rzucił, nie odpowiadając na pytanie.

--- Mówisz o tym przedsiębiorstwie reprodukującym antyki?

--- Nie tylko antyki, lecz w ogóle dzieła sztuki --- sprostował patrząc mi uważnie w oczy --- Antigue-Art-Reproduction.

--- Oczywiście, że wiem. Sam niegdyś kupiłem od nich niezłego Matisse'a. Nie wiem, czy znasz tego malarza? XIX---XX wiek. Wziąłem takie czerwone studium.

--- Znam. Który gatunek?

--- Trzeci. Na lepszy mnie nie stać. Zresztą wystarczy. Rekonstrukcja struktury włóknistej płótna tak świetna, że nie odróżnisz od oryginału. Również na odwrotnej stronie. Nawet wszystkie skazy odtworzone, nie mówiąc o barwach czy kładzeniu farb.

--- Nie obraż się, ale tylko snobi kupują pierwsze cztery gatunki. Przecież optycznie już piąty nie różni się niczym od oryginału. Punktowanie elektronowe jest tak drobne, że dopiero przez mikroskop dojrzysz strukturę. Lupa nie wystarczy.

--- Skąd ty się tak dobrze na tym znasz? --- zapytałem nieco zdziwiony, gdyż z wykształcenia był kosmonawigatorem.

--- Ano rzekł niechętnie --- miałem czas przez te dwadzieścia parę lat zapoznać się i z tą techniką.

--- A mówiłeś, że byłeś poza Zespołem Planet Zamieszkanym...

--- Bo też byłem. W ogóle poza Układem Słonecznym.

--- Nie rozumiem...

--- Słyszałeś o wyprawie Antartu, czy nie słyszałeś?

--- Zdaje się... że tak --- wahałem się, co odpowiedzieć. --- Niezbyt sobie przypominam... Chyba to bardzo stara historia?

--- Stara --- nie stara. Właśnie wtedy, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, było o tym głośno. Antart organizował wówczas wyprawę do Układu Procjona.

Stanęły mi przed oczyma nagłówki depesz w przeglądanych wczoraj starych telegazetach.

--- Coś sobie przypominam --- powiedziałem po chwili. --- To było po ogłoszeniu materiałów sondy Sorry'ego.

--- Właśnie! Narobił zamieszania tymi stereogramami.

Przypomniała mi się scena z Muzeum Sztuki Nieludzkiej.

--- Powiedz mi, dlaczego tak jakoś, dziwnie zachowywałeś się tam, w muzeum? --- zapytałem wprost.

--- Dziwnie? --- spojrzał na mnie podejrzliwie.

--- Wydawało mi się, że jakoś bardzo byłeś przejęty, patrząc na te stereogramy. Co prawda, i na mnie wywierają one bardzo silne wrażenie...

--- Na mnie nie! --- rzucił ze złością. --- Tyle, że... --- nie dokończył.

--- Że co? --- podchwyciłem.

--- Przypominają mi one pewną historię... A jeśli chodzi o wrażenie, to nie tylko ciebie wzięły, ale i profesorów z Antartu...

--- Te budowle naprawdę są piękne!...

--- Piękne? A cóż to znaczy "piękne"? Ja się na tym dziś niewiele wyznaję... A wtedy --- to jeszcze mniej! I dlatego tu jestem! --- wybuchnął z nagłą. --- Dlatego mogłem wrócić! Dlatego żyję tu razem z ludźmi na Ziemi i mogę razem z tobą przepłukiwać gardło --- zakończył, zmieniając ton, jakby chciał zatrzeć wrażenie wybuchu.

Intrygował mnie coraz bardziej. Więc jednak coś w tym było...

--- Gdzieś ty latał? Nie bardzo rozumiem --- zapytałem, nie okazując podniecenia.

--- Chcesz wiedzieć? --- zniżył głos. --- A umiesz milczeć?

--- Umieję --- skinąłem głową.

--- Byłem w Układzie Procjona z wyprawą Antartu.

Coś mi się tu nie zgadzało.

--- Słuchaj, mój drogi! Więc twierdzisz, że poleciałeś z Antartem do Układu Procjona? A mnie się zdawało, że ta ekspedycja w ogóle nie doszła do skutku! O ile pamięć mnie nie myli, była tam jakaś awaria już w pierwszej fazie przyspieszenia i zawrócili. Może zresztą to było trochę inaczej... W każdym razie, zdaje się, mowa była tylko o ekspedycji fotonowca Matterhorn. Ale oni jeszcze nie wrócili.

Zdawało mi się, że przybladł nagle.

--- I chyba nie wróca!... powiedział po chwili. Nalał sobie pełną czarkę i wypił jednym haustem. --- Wróciłem tylko ja! Ja sam! --- zaakcentował, zniżając głos.

--- Nie rozumiem. Przecież przed chwilą mówiłeś, że brałeś udział w wyprawie Antartu, a teraz znów twierdzisz, że leciałeś na Matterhornie.

--- Bo tak właśnie było!

--- Czyżbym aż tak wszystko pokręcił? --- nie mogłem jeszcze zrozumieć. --- Wydawało mi się, że Matterhorn to był fotonowiec przydzielony ekspedycji australijskiej, a nie Antartowi. Dałbym głowę...

--- Nie potrzebujesz jej dawać --- przerwał mi z lekka kpiącym tonem. --- Było tak, jak mówisz. A więc słuchaj. Muszę tu wrócić do

pewnych spraw. Nie wiem, czy pamiętasz? W rewelacje Sorry'ego początkowo nikt nie wierzył. Stereogramy łatwo było sfabrykować tu, na Ziemi. Wydawało się to wszystko zbyt proste, aby mogło być prawdziwe. A ta sztuka zbyt komunikatywna jak na sztukę nieludzką. Cała historia z katastrofą sondy międzygwiazdnej, i to już w Układzie Ziemia-

Księżyc, pachniała na parseki jakimś oszustwem. W ogóle cała sprawa miała wyraźnie posmak rewelacji sztucznie sfabrykowanej. Chyba pamiętasz?...

--- Nie bardzo. To było zaraz po "wielkim skoku" i cała sprawa wydawała się w porównaniu z nim błaża.

--- Właśnie. Tak to wyglądało. Przynajmniej w oczach przeciętnego mieszkańca Zespołu Planet Zamieszkaných. Wobec powrotu ekspedycji z Układu Alfa Centauri i wysłania trzech statków fotonowych z sześćdziesięcioosobową załogą do Układu Syriusza, pojawienie się jakiejś starej, zautomatyzowanej sondy, którą wszyscy od pół wieku uważali za zaginioną --- musiało wydać się nieważne! Przede wszystkim uważano za rzecz nieprawdopodobną, aby to była istotnie ta sama rakietą fotonowa. Przecież, jak dotąd, z sondami międzygwiazdowymi nigdy nic nie wychodziło. Nawet matematycznie wykazano, jak mało prawdopodobny jest powrót takiego zautomatyzowanego zespołu badawczego. W granicach Układu Słonecznego mogło się ostatecznie udawać. Lecz jak można przewidzieć warunki w układzie pozasłonecznym, o którym wiadomo tyle, że jest? Żeby jeszcze wyposażyć<sup>2</sup> rakiety w jakiś wielki, wysoce skomplikowany układ ultrastabilizujący. Ale przecież to były wielostopniowe rakiety relatywistyczne. Przecież wtedy nawet siedem stopni silników fotonowych z trudem mogło przyspieszyć zespół powrotny do połowy prędkości światła i trzeba było walczyć o każdy gram ładunku użytecznego. A poza tym rzucanie sond na tak wielkie odległości, aż do Układu Procyona, wydawało się wówczas szarżowaniem bez pokrycia w rzeczywistych możliwościach technicznych. Było w tym wiele racji... --- urwał i nalał sobie jeszcze wina.

--- A jak, twoim zdaniem, było naprawdę? --- zapytałem, widząc, że nie kwapi się z rychłym podjęciem tematu.

--- Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Powrót sondy międzygwiazdowej tak starego typu jak JSFS, obdarzonej tylko prostymi tropizmami i niewielką pamięcią, jest istotnie niezmiernie mało prawdopodobny. Biorąc na zdrowy rozum, to cała historia, tak jak ją przedstawił Sorry, należałaby do bardzo nędznie sfabrykowanych kaczek dziennikarskich, gdyby nie jedno "ale"...

--- Jakie "ale"?

--- Gdyby nie to, że stereogramy Sorry'ego są prawdziwe. Widziałem te budowle własnymi oczami na planecie IV Układu Procyona A.

---Więc jednak sonda Sorry'ego była tam i powróciła?

--- Tak chyba było rzeczywiście. Widocznie mimo oszczędnej konstrukcji jej układ programowo-odruchowy był wystarczająco skomplikowany dla dokonania właściwego manewru.

--- Może natrafiła na sprzyjające warunki?

--- Niewątpliwie, mój stary! Widocznie tak się złożyło, że położenia gwiazd i planet były wyjątkowo korzystne. Loger wyliczył nawet, że przypadek taki mógł zdarzyć się raz na parę milionów sondaży, ale nie bardzo wierzę w te obliczenia. Mnie doświadczenie uczy, że te elektronowe bestie potrafią płatać niezwykle figle... Ich możliwości są naprawdę, mówię ci, nieobliczalne! Tylko dzięki temu udało mi się wrócić! A obliczenia i tak nic nie pomogą Logerowi --- zaśmiał się nieprzyjemnie.

--- Co się z nim dzieje? zapytałem. --- Nie widziałem go również chyba ze dwadzieścia parę lat. Czyżby umarł?

--- Nie wiem --- wzruszył ramionami. --- Może byłoby dla niego lepiej, gdyby się w ogóle nie urodził... Zresztą to, czy żyje, nie ma chyba teraz żadnego znaczenia. Dla niego! A tym bardziej dla nas...

Zaskoczył mnie ton, jakim to powiedział, ale przypomniało mi się, że nie znosił Logera, przynajmniej wtedy, przed laty, gdyśmy się spotykali wszyscy z całej naszej paczki "Robinsonów" w klubie "Zdechłej Ryby".

--- Jeśli nie umarł, to chyba ma to dla niego pewne znaczenie --- podjąłem kpiącym tonem. Lecz mój przyjaciel spaśował i wypalił ze złością.

--- Zamknij się! Jak nic nie wiesz, to nie pleć trzy po trzy! Loger to świnia!... Ale ma za swoje. Ciesz się, że nie jesteś w jego skórze.

--- Dlaczego?

--- Bo on został tam!

--- Gdzie?

--- Co ty? Tracisz pamięć na starość? Przecież o niczym innym nie

mówię od godziny jak o Układzie Procjona.

--- Więc Loger brał udział w tej wyprawie? Wcale tego nie mówiłeś! --- usiłowałem się oburzyć.

--- Mniejsza o to. Mógłbyś być domyślniejszy! Loger pełnił funkcję zastępcy dowódcy na Matterhornie. Myślę, że na początku to on nawet nie miał złych zamiarów. Gdyby kto inny był pełnomocnikiem... jakaś silniejsza indywidualność. Wiek nie gra roli...

Wyraźnie zaczynał "kołować". Nie chcąc więc stracić orientacji --- podjąłem próbę skłonienia go do opowiadania w jakim takim chronologicznym porządku.

--- Mówiłeś, że wszystko zaczęło się od chwili, kiedy Sorry ujawnił materiały przywiezione przez sondę. Czyżby eksperci Antartu wierzyli w ich prawdziwość i dlatego zdecydowano się na ekspedycję?

Uśmiechnął się ironicznie.

--- Widzisz... Niełatwo na to odpowiedzieć. Kto wie, jak to tam było? Sorry należał do światowej czołówki planetologów. Uchodził za autorytet w sprawach dotyczących układów sąsiednich. Gdy wysyłali Bumerang XII --- miał chyba że dwadzieścia parę lat i pracował w zespole programowania jeszcze jako asystent Grodzkiego. Podobno jednak wniósł tam sporo własnych pomysłów, zwłaszcza jeśli chodzi o zasadę samoczynnego wchodzenia sondy na orbitę satelitarną wokół nieznanej planety. Automat miał tu zastąpić człowieka. A był to

problem niełatwy. Wszak o Układzie Procjona wiedziano wówczas bardzo niewiele. Wiedziano, że gwiazda A świeci sześć razy jaśniej od Słońca, że gwiazda B jest białym karłem obiegającym Procjona A w ciągu czterdziestu lat i że prawdopodobnie wokół tego ostatniego krążą planety. Lecz ile i w jakich odległościach --- to wszystko miał samodzielnie zbadać Bumerang XII. Robot musiał wybrać najkorzystniejszą z punktu widzenia człowieka planetę i wprowadzić raketę na orbitę satelitarną stosunkowo blisko podchodzącą do powierzchni wybranego globu. Chodziło o to, aby kinoastrograf mógł dokonać

zdjęć powierzchni w możliwie dużych powiększeniach. Z kolei, po wykonaniu programu badań, robot dokonywał wyboru właściwego kierunku i momentu ponownego włączenia silników, no i następowało przyspieszanie do prędkości stukilkudziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Tor musiał być tak wyliczony, by wreszcie, po blisko trzydziestoletnim locie, sonda trafiła do Układu Słonecznego --- wytraciła prędkość i dotarła do okolicy, w której znajdowała się Ziemia. Wszystko to zdawało się przerastać możliwości prostej sondy, złasz-

cza, że warunki panujące w Układzie Procjona były wielką niewiadomą.

--- A jednak...

--- Jednak Bumerang XII wrócił. Przywiózł zdjęcia powierzchni jakiejś nieznanej planety, i to jakie zdjęcia! W znacznym powiększeniu wyglądały tak, jakby ich dokonywano z samolotu. Nie darmo wyposażono kinoastrograf w specjalny obiektyw ultrateleskopowy. Ci, co budowali Bumerang XII, to byli ludzie z nie byle jakimi głowami...

--- Czy jest jednak rzeczą prawdopodobną, aby owa sonda po przebyciu tak skomplikowanej drogi uległa przypadkowo katastrofie akurat w Układzie Ziemia-Księżyc? I że ocalał tylko zasobnik z filmami?...

--- Masz rację! To było zupełnie nieprawdopodobne! A raczej bardzo mało prawdopodobne. To pachniało z daleka jakimś oszustwem, bo też tak było...

--- Jak to?



--- Bumerang XII nie został bynajmniej zniszczony. To była fałszywa wiadomość; celowe wprowadzenie w błąd.

--- Ale po co?

Patrzył na mnie w milczeniu.

--- Aby nie trzeba było zwracać sondy tym, którzy ją wysłali --- odrzekł dopiero po chwili.

--- Przecież Sorry...

--- Widzę, że bardzo słabo pamiętasz całą sprawę. Program "Bumerang" był przedsięwzięciem międzynarodowym, organizowanym pod patronatem Światowej Federacji Astronautycznej. Uczestniczyli w tym Amerykanie, Rosjanie, Anglicy, Polacy, Chińczycy, Francuzi, Niemcy i Węgrzy. Komuś jednak zależało na tym, aby sonda nie wróciła do rąk tych, którzy ją wysłali. Było wiele nie wyjaśnionych okoliczności towarzyszących jej przybyciu. Najpierw rozeszły się wiadomości o odbiorze jakichś tajemniczych sygnałów, których źródło lokalizowano w konstelacji Małego Psa. Potem odezwał się Sorry, wyrażając ostrożną sugestię, że chodzi tu o którąś z sond wysłanych w ramach programu "Bumerang", ale sygnałów nikomu już nie udało się odebrać. Patrole przeczesywały przestrzeń bez rezultatu. Tymczasem Sorry znów zabrał głos i, poparty całym autorytetem Federacji Astronautycznej, począł udowadniać już na podstawie ścisłych obliczeń, że sygnały mógł nadać tylko Bumerang XII. Niektórzy dziennikarze poczęli wyrażać przypuszczenia, że sonda została skradziona i domagali się podjęcia akcji ze strony Międzynarodowej Policji Kosmicznej. I oto parę dni później znów odezwały się sygnały. Lecz zanim pierwszy patrol zdołał dotrzeć do sondy, eksplozja termojądrowa zniszczyła raketę.

--- Zasobnik jednak ocalał --- wtrąciłem uwagę. --- Czy to możliwe przy reakcji termojądrowej?

--- W tym bynajmniej nie było nic nadzwyczajnego. To sprawa dość prosta. Rakiety fotonowe typu "Bumerang" były zaopatrzone w urządzenie uruchamiane sygnałami radiowymi, które wywoływało eksplozję resztek paliwa jądrowego. Chodziło o to, aby w razie stwierdzenia jakichś uszkodzeń spowodować zniszczenie rakiety jeszcze przed lądowaniem --- w przestrzeni kosmicznej --- tak aby nie dopuścić do ewentualnego skażenia atmosfery planet zamieszkałych. Materiały naukowe wcale przy tym nie przepadały, ponieważ zasobnik był wystrzelony z rakiety na kilka sekund przed eksplozją, tak aby nie znalazł się w zasięgu kuli ognistej. Nie tu więc tkwiła zagadka. Zagadkowe było samo nadanie sygnału. Był on tak zaszyfrowany, że mogła go wysłać tylko specjalna aparatura, znajdująca się zresztą w siedzibie Federacji. Z tej aparatury jednak nikt nie nadał sygnału. Plomby były nie naruszone.

--- Czyżby ktoś zbudował podobny nadajnik?

--- Nie wydaje się to prawdopodobne. Raczej można przypuszczać, że wydarzenia miały nieco inny przebieg. Bumerang XII został schwyty wkrótce po odebraniu pierwszych sygnałów przez kogoś, komu zależało na tym, aby materiały nie stały się własnością międzynarodową i kto spodziewał się wyciągnięcia z nich jakichś szczególnych korzyści. Później jednak, gdy zaczęto mówić o kradzieży, w obawie przed sankcjami, które bardzo ostro karzą tego rodzaju korsarstwo kosmiczne --- postanowiono zatrzeć ślady przestępstwa. Jest rzeczą wątpliwą zresztą, czy rakieta naprawdę uległa zniszczeniu. Z pewnością została wcześniej rozmontowana i trudno byłoby ją przewieźć i wprowadzić na poprzedni tor. Wystarczyło wyrzucić zasobnik i niewielką bombę wodorową...

--- Może nie wszystkie materiały dotarły do rąk Sorry'ego?

--- Zależy, jak to rozumieć... Zasobnik był w komplecie, o czym łatwo można było się przekonać na podstawie dokumentacji znajdującej się w archiwum Federacji. Zdjęcia i taśmy, na których robot zarejestrował dane dotyczące badań naukowych i obserwacji, nie zdawały się wykazywać luk. Niemniej zapis kolejnych czynności roboczych zespołu napędowego i sterującego, stan przyrządów i powierzchni pocisku międzygwiazdowego, a przede wszystkim pamięć mózgu elektronowego mogłyby dostarczyć informacji niezmiernie cennych przy planowaniu nowych sondowań czy nawet ekspedycji

z ludźmi. Pamiętasz chyba, na ile nieprzyjemnych niespodzianek narażeni byli członkowie ekspedycji "Żar Pticy" w Układzie Alfa Centauri właśnie dlatego, że badano zupełnie nieznaną teren, nie dysponując żadnym materiałem z sondowań.

Zasobnik Bumeranga XII był bardzo cenny, ale raczej z punktu widzenia badacza obcych kultur i historyka sztuki niż organizatora wyprawy międzygwiazdnej. Zresztą warunki, w jakich odzyskano zasobnik, wzbudzać musiały nieufność. Choć Sorry był przekonany, że istotnie zdjęcia pochodzą z Układu Procyona A, nie brakło jednak przeciwników. Co prawda, nie śmieli oni zarzucać tak znanemu badaczowi oszustwa, lecz przynajmniej wysuwali sugestię, że może stał się ofiarą jakichś dowiecipnisiów, którzy podsunęli mu zasobnik odpowiednio spre-

parowany na Ziemi. Przecież przed pięćdziesięciu czy stu laty produkowano wiele tego rodzaju urządzeń. Stąd też --- chociaż stereogramy opracowane przez Sorry'ego z udziałem kilku historyków sztuki i speców od rekonstrukcji wywołały sensację w świecie artystycznym --- nie przywiązywano do nich większej wagi naukowej, nie licząc paru naukowców-entuzjastów i wielu snobów, dla których określenie "sztuka i architektura nieludzka" zawsze miało szczególną wartość.

--- No a ty? --- zapytałem.

--- Już ci powiedziałem, że mnie to nie interesowało, przynajmniej wtedy.

--- A jednak zostałeś wciągnięty w tę historię! --- wlałem mu resztę wina do czarki.

Podniósł ją w milczeniu w górę. Chwilę patrzył na złoty płyn, jakby we wnętrzu naczynia dostrzegł coś niezwykłego, potem począł wolno kosztować napoju.

--- Musieli być jednak i tacy, co wiedzieli dobrze, że zdjęcia są autentyczne! --- podjąłem jeszcze raz dla zachęty. --- Tak poważna instytucja jak Antart nie ryzykowałaby przecież ogromnych kosztów nie mając w ręku czegoś konkretniejszego niż stereogramy Sorry'ego.

--- Dobre to wino. Udało ci się... --- odstawił czarkę i sięgnął po butelkę, oglądając ją pod światło.

--- To z automatu --- odrzekłem skromnie.

--- No chyba. Szkoda, że wysechł...

Wiedziałem już, do czego zmierza. Automaty badały samoczynnie zawartość alkoholu w organizmie kupującego i na pewno nie sprzedałyby mu wina. Ja wypilem dopiero szklankę, więc miałem jeszcze szansę... Wstałem od stołu i podszedłem do szafy najeżonej guzikami. Gdy po wrzuceniu monety naciskałem guzik pod etykietą starego Bordeaux, automat wydał mi jeszcze butelkę, jakkolwiek z ociąganiem. Zamówiłem więc dla siebie jeszcze czystą bezalkoholową --- podaną mi natychmiast, skwapliwie. Wiedziałem, że mam w tej chwili mego przyjaciela w ręku i, umiejętnie dozując wino, mogę skłonić go do wielu interesujących zwierzeń.

--- Nie wiem, czy nie za dużo pijemy --- powiedziałem stawiając butelki na stole.

--- Musimy nadrobić dwadzieścia osiem lat --- zaśmiał się trochę sztucznie i pośpiesznie nalał sobie do szklanki. A co do Antartu, to masz zupełną rację. Nie topiono by funduszków w niepewnym przedsięwzięciu. Wiedzieli dobrze, co robią...

--- Myślisz, że to oni "zaopiekowali" się tą sondą?

Spoważniał.

--- Tego nie powiedziałem. Nic nie wiadomo...

--- Ale jakich korzyści spodziewał się Antart po wyprawie do Układu Procyona? Chyba chodziło tylko o pierwszeństwo w odkryciach naukowych?

--- Czasem to wystarczy. Złoto dziś ma niewielką wartość, bo byle zakład syntezy nuklearnej może je produkować w niemal dowolnych ilościach. A diamenty i inne kamienie szlachetne to i w domowym laboratorium... Lecz są wartości, których wyprodukować nie sposób, których nie można przeliczyć na jednostki pracy produkcyjnej".

--- Myślisz o twórczości artystycznej i naukowej?

--- Nie tylko! Myślę o sławie, o pierwszeństwie, o przewodnictwie i władzy. Ludzie lubią błyszczeć, pragną, aby ich podziwiano, więcej --- chcieliby niejako przedłużyć swe istnienie w nieskończoność. Chcą, aby pamięć o ich czynach przetrwała jak najdłużej.

--- Ale ta słabość ludzka często służy wspólnemu dobru.

--- Czy ja kwestionuję jej wartość społeczną? --- oburzył się mój przyjaciel. --- Jeśli żądza sławy staje się bodźcem do działalności odkrywczej, naukowej, artystycznej --- może przynieść niemało korzyści ludzkości. Może i powinna! Ale nie musi!... Wszystko zależy od ludzi! I w naszych czasach zdarzają się świnię...

--- Ale przecież zastrzegłeś, że nie posądzasz nikogo z Antartu o kradzież Bumeranga XII.

--- Ach, wcale o tym nie myślałem --- sięgnął po butelkę i nalał sobie wina. --- Nie wiem nawet, czy sympatyczna nazwa "Świnia" pasuje do takich ludzi jak Loger.

--- Co on ci zrobił, że go tak nienawidzisz?

--- Ja?! --- obruszył się gwałtownie. --- Dla mnie jego istnienie jest zupełnie obojętne! Właściwie, byłoby obojętne, gdyby nie... --- urwał i po chwili wybuchnął. --- Potrafi sobie owinać wokół palca tego durnia, Goldenę...

--- Co za Goldenę?

--- Pełnomocnika rządu Federacji Ameryki Północnej.

--- Opowiadaj po kolei, bo znów nie mogę zrozumieć, o czym mówisz.

--- O! To długa historia!... Zresztą nie wiem, czy to można słowami wyrazić. Czy uwierzysz mi zresztą? Czy w ogóle ktoś może uwierzyć, jeśli sam się nie przekona na własnej skórze? odstawił pustą szklankę i zamyślił się.

--- Mówiłeś, że leciałeś na Matterhornie --- rozpocząłem ostrożną indagację --- i jednocześnie, że byłeś członkiem ekspedycji Antartu, a nie australijskiej.

Spojrzał na mnie uważnie.

--- Najpierw chcieli mnie zaangażować Australijczycy. Dawali mi funkcję drugiego kosmonawigatora. Właściwie chciałem się zgodzić, tyle że trochę zwlekałem. Ze względu na Logera! W tym samym czasie Antart montował swoją wyprawę i zaproponował mi funkcję pierwszego kosmonawigatora. Miałem już przecież wówczas na swym koncie niemało "skoków". Jeśli chodzi o liczbę przelecianych jednostek astronomicznych, to chyba niewielu znajdzie się takich jak ja! Może pięciu, może sześciu w całym Zespole Trzech Planet Zamieszkałych!... Silver Flash --- tak się nazywał fotonowiec przydzielony Antartowi, nie wiem, czy pamiętasz... Był specjalnie przystosowany do dalekich podróży. Miał dwa silniki fotonowe wielkiej mocy, umożliwiające rozwinięcie prędkości dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy kilometrów na sekundę! To była niezła maszyna. Załoga nieduża, składała się z trzydziestu dwóch ludzi, nie licząc pełnomocnika. Właściwie to już było nieporozumieniem, aby w tak

trudnym i odpowiedzialnym przedsięwzięciu, jak spotkanie z obcą cywilizacją --- decydujący głos miał Golden, może skądinąd wybitny znawca prawa kosmicznego, ale człowiek niezdecydowany, wahający się, łatwo ulegający wpływom energiczniejszych towarzyszy.. Zresztą, gdyby wyprawa odbyła się na Silver Flash, w zespole bardzo umiejętnie dobranym przez profesora Nordena, wiesz... tego, co umarł przed dwoma laty, to Golden byłby cenną pomocą, ale niestety... Później wszystko tak pokręcono, że... ach, jeszcze dziś diabli mnie biorą. Takie piękne przedsięwzięcie! I taki wynik! --- machnął ręką.

--- Ale Silver Flash wystartował!

--- Tak. Wystartował. Zgodnie z planem. W terminie! Tydzień później, tuż przed włączeniem silników wielkiej mocy --- dowiedzieliśmy się, że za nami idzie Matterhorn i że nie my, lecz on poleci do Układu Procyona!

--- Zdaje się, że mieliście awarię?

--- Awarię? To były plotki! Plotki prasowe. W rzeczywistości chodziło o zupełnie co innego. Hindusi wystąpili z Programem

Tysiącletnim i rząd Federacji Ameryki Północnej nie chciał dać się wyprzedzić innym. A właśnie Silver Flash był statkiem nadającym się świetnie do dalekich ekspedycji, gdyż rozwijając prędkość bliską prędkości światła powodował znaczny relatywistyczny skrót czasu lotu przez wydłużenie jednostek. I tak oto już po wyruszeniu ekspedycji dowiedzieliśmy się, że zmieniono program, postanawiając skierować statek z powrotem na Księżyc do centralnych zakładów konstrukcyjnych dla przebudowy i przystosowania do lotu w okolice Cudownej w Wielorybie.

--- Mira Ceti?

--- Tak. Chodziło o zbadanie procesów zachodzących w tej niezwyklej gwiazdzie zmiennej. Naczelny dyrektor Antartu Wilson zawiadomiony był o tym, że przydział statku został cofnięty, jeszcze nim wyruszyliśmy w drogę, ale mając przyjaciół w ministerstwie spraw kosmicznych, postarał się, aby nie ogłaszano tego faktu, dopóki nie zostaną zakończone pomyślnie pertraktacje z Austrańczykami.

--- Pertraktacje?

--- Jesteś mało domyślny. Nie rozumiesz? Antartowi zależało bardzo na wyprawie do Układu Procjona. Z drugiej strony, rząd Federacji Ameryki Północnej nie chciał tracić możliwości zdobycia pierwszeństwa w przebadaniu okolic Cudownej. Wilson rozpoczął więc pertraktacje z organizatorami ekspedycji australijskiej. W wyścigu zaś do Procjona Silver Flash miał zdecydowaną przewagę nad Matterhornem. Australijczycy woleli zgodzić się na użycie Matterhorna jako fotonowca dwóch ekspedycji, a ściślej --- wspólnej ekspedycji australijsko-amerykańskiej, niż przegrać wyścig. Za ten XX-wieczny "chwyt" Wilson wyleciał później ze stanowiska naczelnego dyrektora.

--- Może również maczał palce w próbie porwania Bumeranga XII?

--- Wątpię. Co prawda, w tym czasie w Antarcie kręciło się sporo niewyraźnych typów, ale to byłaby sprawa zbyt gruba.

--- I w ten sposób przeszedłeś na Matterhorna? --- wróciłem do głównego tematu.

--- Tak. Zrobiłem głupstwo. Jeszcze dziś nie mogę sobie darować, że brałem udział w tej wyprawie. Po prostu bałem się tych pięciuset lat.

--- Jakich znowu pięciuset?

Pociągnął ze szklanki złotawego płynu i skrzywił się.

--- Mam już dość tego wina.

--- Przecież ci smakowało?

--- Już mam dość. Napiłbym się, ale czegoś innego. --- Wstał i zataczając się z lekka ruszył ku drzwiom. --- Poszukajmy innej knajpy.

--- Może jednak naprawdę już dosyć? --- powiedziałem biorąc go pod ramię. --- Może zawieźć cię do domu?

--- Jestem zupełnie trzeźwy! --- wyrwał mi rękę. --- Co jak co, ale pić to umiem! Chodź, znam tu jeszcze jeden lokal. To niedaleko. Pójdziemy piechotą.

Chwył mnie mocno za rękę i pociągnął za sobą.

Chłodne, wiosenne powietrze orzeźwiło nas trochę. Mój przyjaciel szedł pierwszy, gwizdząc fałszywie jakąś starą melodię. Mijaliśmy właśnie mały skwer, gdy niespodziewanie zboczył w aleję i usiadł ciężko na pierwszej ławce.

--- A jednak przyjemnie tu u was. Na Ziemi...

--- Ano zawsze co Ziemia, to Ziemia.

--- Pewno ciekaw jesteś, co tu będzie za pięćset lat?

--- No? Chciałbym wiedzieć.

--- A ja wcale! Mnie wystarczą nasze czasy. Te drzewa --- wskazał ręką przed siebie. --- Ta aleja... Dlatego wolałem lecieć do Procjona... Jedenaście lat to nie to samo co dwieście pięćdziesiąt... Na Silver Flash, co prawda, niecałe osiemnaście lat

lotu... Ale to nie dla mnie.

--- Mówisz o odległości Mira Ceti?

--- To chyba jasne. Nie lubię zresztą wracać, jak już gdzieś raz wyruszę w drogę. Dlatego przyjąłem funkcję drugiego nawigatora na

Matterhornie. Matterhorn był starszym statkiem od Silver Flasha. Budował go jeszcze Stuhlberger w Nowej Saksonii na Marsie. Miał on mniejszą prędkość, a więc i czas w nim bardziej się rozciągał. Jedenaście lat ziemskich trwało w rakiecie ponad dwa lata. Mniej też w nim było miejsca, no i --- ze względu na konieczne wyposażenie --- mniejsza załoga. Było nas tam wszystkiego szesnaście osób. Sami mężczyźni. Oprócz mnie, z ramienia ekspedycji amerykańskiej przeszedł na Matterhorna Golden oraz sześciu specjalistów Antartu w dziedzinie architektury i plastyki.

--- A Loger? --- zapytałem.

--- Już ci, zdaje się, mówiłem, że pełnił funkcję zastępcy dowódcy statku. Był zresztą początkowo bardzo miły dla mnie. Twierdził, że w zasadzie zwierzchnictwo Kalena, pierwszego nawigatora, nade mną jest formalne, że na Matterhornie są to stanowiska równorzędne, a poza tym, że stare nasze nieporozumienia są przebrzmiały. I powiem ci szczerze --- sądziłem, że istotnie się zmienił, że oduczył się zadzierania nosa. Później okazało się, że to było tylko maskowanie. Po śmierci Slawskiego...

--- Kto to?

--- Kapitan Matterhorna.

--- Co się z nim stało?

--- Ano... zginął przez naszą głupotę... Tam, w Układzie Procjona... Funkcję dowódcy objął Loger. Wtedy pokazał, co potrafi! Ach, jaki ja byłem głupi! Jaki głupi! --- zawołał z goryczą i sięgnął do kieszeni. Chwilę czegoś w niej szukał i wreszcie wyciągnął podłużny flakon. Odkręcił wieczko i wysypał na dłoń dwie pastylki.

--- Chcesz? --- zapytał.

--- A co to takiego?

--- CRC.

--- Co? Przecież to narkotyk!

--- No to cóż? Nieszkodliwy.

--- Nie ma nieszkodliwych narkotyków.

--- Przyzwyczailem się --- przełknął pastylki.

--- Od kiedy używasz tego świństwa?

--- Nauczyłem się tam... w przestrzeni. Nic innego mi nie pozostało...

--- Przecież się zatruwasz.

--- Wszystko mi jedno... Kiedy myślę o tym draniu...

--- Ale co on takiego zrobił?

--- Nie chodzi o mnie. Już ci raz, zdaję się, mówiłem.

--- Więc poleciałeś w załodze fotonowca Matterhorn do Układu Procjona? --- próbowałem wprowadzić rozmowę na dawny tor. Lecz widocznie narkotyk już poczynął działać, bo o ile poprzednio, mój przyjaciel, mimo wypicia sporej ilości wina, potrafił opowiadać w sposób jako tako przejrzysty, teraz język począł mu się plątać.

--- Polecieliśmy. To było piekło... To była nuda nie droga. Ocean nudy! Czas włókł się niemiłosiernie. Matterhorn to prymityw. Nie było urządzeń grawitonowych, amortyzujących wielkie przyspieszenia. Trzeba było maszynę przyspieszać przez jedenaście miesięcy i tyleż czasu hamować... Stary Golden --- miał wtedy ponad dziewięćdziesiąt lat --- zwoływał konferencję za konferencją... Żeby zabić czas! Ale i tak można było umrzeć z nudów. Wysuwano różne przypuszczenia. Pamiętam raz --- kiedy była konferencja... Zwołano konferencje nad planami prac badawczych. Było to już chyba w drugim roku podróży, dla

nas, oczywiście, bo rakieta leciała z prędkością relatywistyczną --- poczynął gubić wątek --- 295 000 km/sek. Nie licząc czasu przyspieszania --- nasza podróż w jedną stronę trwała dla was na Ziemi 11,3 roku. Dla nas było to dwa lata i miesiąc, a potem hamowanie, jeszcze przed układem... Właściwie Matterhorn był niezłym statkiem, choć trochę przestarzałym. Ale oni nie umieli organizować pracy... Sławski był frajer, Loger za mądry, a tamta paczka to tylko się klóciła.

--- Jaka paczka?

--- Aaa, ta... od tej sztuki nieludzkiej! Ciągłe tylko mełli językami! Jakby z tego mogło coś wyjść! Mówili tak albo tak... Autentyczne --- nieautentyczne... Zrobili --- nie zrobili... Przywieziemy --- nie przywieziemy... Początkowo mnie to śmieszyło. Był tam taki jeden bubek o długim nosie. Holy się nazywał. Ciągłe wykrzykiwał: "X ja wam mówię, że to wszystko nieprawda! Że Sorry'ego nabili w butelkę, bo sztuka nieludzka nie może być taka ludzka"! A drugi --- Gordon, taki starszy, gruby: "Zaraz! Zaraz! Stopień komunikatywności o niczym jeszcze nie decyduje! Nie zapominajmy! Może tu też grać rolę specyficzna konwergencja". Specyficzna konwergencja! Też wymyślił!... Konwergencja... powtórzył z uporem.

--- Pewno chodziło o podobieństwo form u istot różnego pochodzenia, wywołane podobnymi warunkami życia?

--- Coś w tym guście. Konwergencja... Ha! Ha! Ha!

--- Może jednak pójdziesz do domu? --- podparłem go ramieniem.

--- Ja ci mówię, że... Loger... Loger... Do domu? Mówisz do domu? A chodź, coś ci pokażę!

--- Gdzie mieszkasz?

--- W hotelu Pallas.

Podszedłem do automatu i wezwałem powietrzną taksówkę. Po chwili wspólnie z pilotem załadowaliśmy mego przyjaciela do wnętrza maszyny. W parę minut później helikopter wylądował na tarasie hotelu. Okazało się, że mój przyjaciel wynajął tu przed miesiącem dwupokojowy apartament na sto szesnastym piętrze.

||

W pierwszym pokoju panował straszliwy nieporządek. Później okazało się, że mój przyjaciel zabronił włączać automaty sprząające do swego mieszkania. Na podłodze leżały porozrzucone papiery, książki, taśmy filmowe i talerze z resztkami jedzenia. Jakieś podarte szkice, mapy i rysunki zapełniały wysunięty ze ściany tapczan. Nie brakło wykresów i obliczeń dokonywanych na przewróconej w kącie podręcznej maszynie matematycznej. Wszędzie poniewierały się butelki, przeważnie próżne.

Drugi pokój był zamknięty. Klucza w zamku nie było. Usunąłem z tapczanu zawalające go papiery i ułożyłem mego przyjaciela. Nie chciał jednak leżeć. Usiadł, oparł się o ścianę i zaczął gwizdać jeszcze fałszywiej niż w parku.

--- Może się prześpisz? --- zaproponowałem.

--- Nie chce mi się. Tam, w ścianie, w szafie jest butelka... Na dolnej półce. Coś mocniejszego. Napijemy się.

--- Chyba już dosyć.

--- Nie martw się. Wszystko będzie okay! Dawaj butelkę.

Nie chciałem go drażnić. Znalazłem pod papierami flaszkę i nalałem do pustych szklanek, stojących na stole. Wyciągnąłem łapczywie rękę i zręcznie pochwycił szklanę, wychylając w oka mgnieniu zawartość. Nie chciałem robić przykrości. Wypiłem również.

--- No, a teraz się prześpisz.

--- Ani mi się śni! Bardzo mi jest dobrze.

Nie wiedziałem, jak wybrnąć z sytuacji.

--- Może ja już pójdę? Przyjdę jutro...

--- Nie! Zostań! Coś miałem ci powiedzieć. Coś ważnego...

--- Może o Układzie Procjona?

--- O Układzie Procjona?... Procjon: gwiazda podwójna... w odległości 11,3 lat świetlnych. Należy do konstelacji Małego Psa... Składa się z dwóch gwiazd A i B, obiegających wspólny środek masy w ciągu lat czterdziestu. Procjon A --- recytował jak z książki. --- Jasność wizualna 0,5. Typ F 5... wielkość absolutna 2,8, a więc 5,8 razy jaśniejsza od Słońca... promień 1,7 razy większy od promienia Słońca... masa 1,8 razy większa od masy Słońca... temperatura powierzchni 6 700 stopni. Procjon B --- biały karzeł... wizualna wielkość 10,8... absolutna 13,1, a więc 0,00044 jasności Słońca... promień --- 0,007 promienia Słońca... masa --- 0,46 masy Słońca. Ekosfera Procjona A sięga od 200 do 650 milionów km. Obecność planet można stwierdzić już na podstawie spektroskopowych badań prędkości obrotu gwiazdy wokół osi. Liczba i wielkość planet nieznana. Brak dowodów istnienia życia w Układzie Procjona. Brak potwierdzenia autentyczności zdjęć przywiezionych rzekomo przez sondę międzygwiazdową Bumerang XII w roku 2068. Wyprawa statku fotonowego Matterhorn --- rok startu 2070. Brak wiadomości o losach ekspedycji! Brak wiadomości! Brak danych!... Patrz! Tam leży! Tam w kącie! Najnowsze wydanie! Encyklopedia Powszechna! Najświeższe informacje! Ha! Ha! Ha! --- zaśmiał się nienaturalnie. --- Brak danych!... Brak dowodów!... Nie ma dowodów! Nie ma! Nie ma! A Matterhorn? A ja? Nie ma? Nie ma? --- Nagle spoważniał. --- Nie ma! --- krzyknął. --- A właśnie, że jest!

Począł gorączkowo szukać po kieszeniach. Wreszcie wy dobył klucze.

--- Masz! Otwórz drzwi! Idź, zobacz!

Uczułem nieprzyjemny dreszcz. Niepewnie podszedłem do drzwi i włożyłem klucz w otwór. Drzwi rozsunęły się z cichym szmerem.

Stanąłem w progu. Był to gabinet. W przeciwieństwie do poprzedniego pokoju panował tu porządek jak w zwykłych lokalach hotelowych, jakkolwiek warstwa kurzu na meblach wskazywała, że nie sprzątało tu dawno. Na środku, na wprost drzwi, w miejscu, gdzie zwykle stoi biurko, teraz odsunięte pod ścianę, widniała duża skrzynia połączona szeregiem przewodów z drugą skrzynią --- mniejszą, prawdopodobnie aparturą zasilająco-sterującą.

Uczułem lekkie pchnięcie w plecy. Za mną stał mój przyjaciel.

--- No, nie bój się! Odsuń klapę i zajrzyj! Tam, na prawo --- guzik!

Podszedłem i bez słowa wykonałem polecenie. Zajrzałem przez niewielkie okienko kontrolne.

Wnętrze skrzyni, a ściślej komora, do której zaglądałem, miało kształt spłaszczonego walca o błyszczących lustrzanych ścianach. Średnica komory nie przekraczała pięćdziesięciu centymetrów.

Nie wiem, czyżby szklanka wypitego przed chwilą trunku zawierała taką ilość alkoholu, że zaczynało mi się mącić w głowie...

W centrum tej jasno oświetlonej przestrzeni unosiło się nieruchomo w powietrzu, a może w próżni... cudo.

Co to było w rzeczywistości nie mogłem się zorientować. Na pierwszy rzut oka przypominało prymitywny totem murzyński. Może przedstawiało jakąś istotę z innej planety, może zwierzę... Ciemna bryła o dziwnie harmonijnym kształcie



pokryta jakimś zawilgłym splotem linii i plam barwnych.

W tej plątaniu barw i kształtów nie wyczuwało się jednak chaosu.

Przeciwnie --- jakaś niezwykła harmonia przebijała przez zawilgłość plastycznego obrazu. Coś odpychało, a zarazem przykuwało wzrok do tej bryłki. Dziwna "rzeźbka" oddziaływała nie tylko wzrokowo, lecz podniecała wyobraźnię, rodziła skojarzenia, niemal halucynacje. Zdawało mi się, że elementy barwne łączą się, to znów rozdzielają, że tam odbywa się jakiś ruch, jakieś życie...

Ogarnęło mnie niezrozumiałe wzruszenie... Coś odległego, a zarazem bliskiego zdawał się zawierać ów przedmiot. Odczuwałem nieprzepartą chęć pochwycenia go w dłonie, a jednocześnie byłem przekonany, że może on sparzyć jak rozpalone żelazo.

--- Co to? --- zapytałem, nie odwracając głowy. Nie mogłem oderwać wzroku od wnętrza tajemniczej komory. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Widocznie mój przyjaciel wrócił na tapczan, bo z sąsiedniego pokoju dochodziły mnie jakieś beładnie rzucane strzępy zdań, to znów pojedyncze wyrazy, powtarzane jakby w malignie.

--- To nie tylko promieniowanie pierwotne, mój drogi, nie bądź naiwny! Tak! Tak! O to właśnie chodzi!... Więc się nie upieraj! Nie tylko promieniowanie kosmiczne!... Nieprawda! Ja już mówiłem wcześniej!... Na powierzchni są ślady!... Wyraźne ślady antycząstek! Struktura - mówisz?! Przez ultramikroskop? Nieprawda! Właśnie że potwierdza! Jesteś głupi! Jesteś naiwny! To są ślady anihilacji! Nie upieraj się! Wyraźne ślady anihilacji!!! Mówił wcześniej!... Tak! Tak! Nietrzeba było ich puszczać!... Nie upieraj się! Ty mówisz, że to, że tamto...

nie chcę!... Nie przyjmę niczego! Najpierw trzeba zbadać!... Najprzód zwiad! To nie tylko anty cząstka!... Ale jądra! Jądra!!! Neutrony!!! --- stopniowo cichł. --- Nie... Nie... --- powtórzył jeszcze parokrotnie. W końcu było słyhać tylko jego miarowy oddech.

--- Śpisz? --- zawołałem,

Nic mi nie odpowiedział.

Z wysiłkiem oderwałem wzrok od tajemniczego przedmiotu i zasunąłem klapę.

Mój przyjaciel spał.

Zastanawiałem się, co robić. Oczywiście powinienem tu pozostać.

Okoliczności układały się nad wyraz pomyślnie i nie wolno było tracić okazji, zwłaszcza że wszystkie podejrzenia, jak, dotąd, znalazły pełne potwierdzenie. Dowiedziałem się już sporo, i to prawie nie ciągnąc go za język, ale nie ulegało wątpliwości, że wszystko, co usłyszałem, to tylko prolog, że chodzi tu o sprawę znacznie poważniejszą.

Z drugiej strony --- zaufanie, jakim mnie darzył mój przyjaciel, stawiało mnie w bardzo nieprzyjemnym położeniu. Czułem, że nie wolno mi nadużyć tego zaufania, a jednocześnie wiedziałem, że jest to prawie niemożliwe... Teraz na przykład powinienem wykorzystać sytuację i choć trochę poszperać w tych pokojach. Na pewno wśród papierów, zdjęć i planów znajdzie się coś ciekawego, rzucającego dodatkowe światło na sprawę. A jednak nie mogłem zdecydować się na ten krok. "Piegowaty" wydawał mi się w tej chwili bezbronnym, słabym, chorym dzieckiem...

Chory był zresztą na pewno. Co prawda, nigdy nie unikał mocnych trunków, ale teraz widać było, że stał się nałogowym alkoholikiem, a nawet narkomanem. Trzeba jak najszybciej się nim zająć i wysłać go na kurację.

Spojrzałem na niego. Spał nerwowo, przewracając się raz po raz z boku na bok. Widocznie sny nie były zbyt przyjemne, bo mamrotał coś jakby przekleństwa, a chwilami zdawał się nawet odpychać od siebie urojonego przeciwnika.

Postanowiłem poczekać, aż otrzeźwieje. Obok tapczanu stał fotel zarzucony jakimiś książkami i papierami. Ułożyłem je na podłodze i usiadłem w fotelu. Miałem zamiar się zdrzemnąć, ale odruchowo sięgnąłem po leżące obok papiery. Perforacja

kontrolna na marginesie maszynopisu wykazywała, że został sporządzony przez automat stenotypowy z taśm magnetycznych. Strona zaczynała się od nie dokończonego zdania.

„...wprost nie do uwierzenia! A jednak Petersen miał słuszność. I gdyby go wówczas posłuchano --- Slawski żyłby do dziś. Cóż za nonsens ufać nieznanym, obcym istotom... Umieli się dobrze maskować.

A więc operują bronią jądrową! I to jeszcze jaką! Antyprotony! Tylko jeden Petersen zorientował się, że to podstęp. Golden upierał się, że nie wypada wysłać zwiadowcy. Ciekaw jestem, czy to tylko głupota? Loger uparcie popierał Goldeną w tej kwestii. To on właściwie nie dopuścił do wysłania sondy na ciasną orbitę... Czy było to tylko zaślepienie? Dlaczego z takim uporem trzymał się swych koncepcji? Nie chciał się przyznać do pomyłki? Gdyby tylko to! A jeśli?... Niełatwo w to uwierzyć.

Żał mi tylko Slawskiego... Jaki naiwny... Ale czy ja bym inaczej postąpił? Przecież wszyscy daliśmy się zasugerować. Nawet w końcu Petersen. Skąd Slawski mógł się domyślać, jak jest naprawdę, jeśli tak wybitny fachowiec jak Loger twierdził, że wszystko jest w porządku?

Slawski zbyt ufał teorii Logera ale to był twardy człowiek. Jeśli wrócimy --- na Marsie postawią mu pomnik w Alei Zasłużonych. No cóż? W układzie słonecznym powiedzieliby: „bohater”. A cóż to jest bohaterstwo? Dać się żywcem usmażyć? Gordon, Kalen, Holy i Harter zawdzięczają mu życie. Zrobił to dla nich czy może dla ratowania siebie?... Chyba jednak zdawał sobie sprawę, że tak czy inaczej --- zginie. Może właśnie dlatego się zdecydował? A jednak taka śmierć?... Czyja byłbym zdolny do czegoś...”.

Tu urywa się tekst. Sięgnąłem po następną stronę, ale nie znalazłem dalszego ciągu. Widocznie kartki były rozrzucone, a potem złożone bezładnie, gdyż następna dotyczyła innego zdarzenia. Już chciałem rozpocząć poszukiwania według numeracji (przeczytana kartka oznaczona była liczbą 1207), ale treść tej, którą teraz trzymałem w ręku, przykuła moją uwagę jeszcze silniej niż poprzednia.

„Loger nazywa to «Świątynią Słońc Procjona», ale Lang jest innego zdania. Twierdzi, że nic nie wskazuje, aby w społeczeństwie Procjonidów występowały przejawy kultu gwiazdy daytimej, zwłaszcza, że osiągnęli oni w niektórych dziedzinach techniki poziom Europy w początkach XX wieku. Holy idzie jeszcze dalej --- twierdzi, że kula może tu być emblematem «narodowym», jeśli w ogóle to słowo ma jakiś sens w świecie Procjonidów. Mnie wszystko jedno, czy to pomnik, czy świątynia, czy też amfiteatr, bo wewnątrz tej świętej piramidy chyba najbardziej podobne jest do amfiteatru lub stadionu. Gdyby nie wielka świecąca kula na środku «boiska» --- można by tam urządzać mecze piłkarskie.

Ale nie o to mi chodzi. Nie powiem --- ładne to wszystko. Zręcznie, z głową zrobione (co prawda --- gdzie oni mają te głowy?), lecz po co zaraz taki entuzjazm? Ci spece od architektury i plastyki sami wzajemnie się sugestionują, podniecają. A z Logera wyłazi mistyk. Kto się spodziewał? Niby to trzeźwy, realista, fizyk, matematyk, a tu... dziejowe posłannictwo, przeznaczenie... Bzdura... Czy można mówić o misji kulturalnej po tym, co się stało? Gdyby Procjonidzi słyszeli to, o czym się tu plecie, na pewno uznaliby nas za pomyleńców...

Dlaczego oni uciekli?... Zresztą, czy to była ucieczka? Raczej exodus! Ewakuować swe największe miasto i rozproszyć jego ludność po całym kraju --- to posunięcie, na które niełatwo się zdecydować.

Nie podzielam optymizmu Logera i Goldeną --- bierny opór jest nieraz gorszy od czynnego, zwłaszcza w takiej sytuacji jak obecnie... Oczywiście, ta kula ma jakieś szczególne znaczenie, ale nie bardzo sobie wyobrażam, aby...”

Znów nie mogłem znaleźć dalszego ciągu. Wiedziałem tyle, że kartka miała numerację dalszą (1443), a więc komentarz dotyczył wydarzeń późniejszych niż opisane na pierwszej kartce. Obok fotela leżało kilkanaście stron; niestety, wśród nich nie znalazłem kolejnych numerów. Wstałem więc i zebrałem z podłogi podobne kartki. Część ich była w strzępach, poplamiona, wygnieciona. Znalazłem ich sporo w koszu na śmieci, a nawet nie dopalone resztki --- w dużej popielniczce na stole. W sumie zebrało się trzydzieści dziewięć kartek, pochodzących z pewnością z większego pamiętnika, który zawierał ponad dwa

tysiące stron tekstu, jak wynikało z numeracji maszynopisów. Mogły więc one dawać obraz bardzo wycinkowy.

Wahałem się chwilę, co zrobić z tym materiałem --- czasu było niewiele. W żadnym wypadku nie zaszkodziłoby sporządzić reprodukcji.

Mikrokamerę miałem, oczywiście, przy sobie.

Wykonanie trzydziestu dziewięciu zdjęć nie zajęło mi wiele czasu.

Przyznaję, że postąpiłem niezbyt uczciwie. Mój przyjaciel nie upoważnił mnie do czytania, a tym bardziej do fotografowania strzępów jego pamiętników (bo to chyba były jego pamiętniki). Z drugiej jednak strony, wszystko wskazywało, że ten cenny materiał skazany był na szybką zagładę. Spodziewałem się, że może on stanowić niezwykle istotny dokument dotyczący losów ekspedycji Matterhorn.

Schowałem aparat i ułożywszy kartki według względnej kolejności, zabrałem się do czytania. Niestety, ogromna większość dotyczyła mało istotnych szczegółów podróży do Układu Procjona, a zaledwie dziewięć pobytu w tym układzie. Wreszcie ostatnia --- odbiegająca numeracją dość daleko od poprzedniej zawierała jakieś chaotyczne rozmyślenia, prawdopodobnie w czasie drogi powrotnej.

Przytoczę tu treść tych kilku kartek w całości, z wyjątkiem pierwszej (1052), gdyż zawierała ona tylko fragmenty szczegółów wizualnych i spektroskopowych obserwacji powierzchni jakiejś planety --- prawdopodobnie owej IV planety Procjona A. Był to glob nieco większy od Ziemi, krążący w odległości trzystu osiemdziesięciu milionów km od gwiazdy macierzystej. Obserwacje pozwalały sądzić, iż będzie tam można znaleźć warunki podobne do tych, jakie panują w ekosferze Układu Słonecznego. Pomiary temperatury wykazały, że jest wyższa niż na Ziemi, niższa jednak nieco niż na Wenus, a więc prawdopodobnie znośna dla człowieka nawet bez urządzeń chłodzących.

Następne dwie kartki miały kolejną numerację: 1097 i 1098. Był to fragment, jak się zdaje, opisu pierwszych prób porozumienia z Procjonidami. Na pierwszej widniała data:

*"12 października, piątek.*

Dziś znów wznowiliśmy próby. Idzie coraz lepiej. Slawski miał dobry pomysł z tymi rysunkami na niebie. Hagen okazał się nie tylko świetnym mechanikiem, ale pierwszorzędnym pilotem przestrzennym. Na swojej raketce dokonuje istnych cudów. Oczywiście, rysunki wykonuje według zaprogramowania Hartera, lecz robi to fenomenalnie. Między innymi świetnie narysował nasze postacie. Wątpię jednak, aby Procjonidzi zrozumieli, o co chodzi, jakkolwiek smugi były na pewno nocą bardzo dobrze widoczne z powierzchni planety. Niemniej są to inteligentne istoty i mają pewne pojęcie o astronomii. Nie wiem, czy my, ludzie, na analogicznym poziomie rozwoju cywilizacyjnego potrafilibyśmy tak szybko pojąć znaki innych istot.

Wiedzą już, skąd przylecieliśmy. Hagen utworzył w przestrzeni pierścień, który przez kilka minut musiał być widoczny ze "stolicy" jako aureola wokół Słońca. Następnie nakreślił schematyczny rysunek Układu Słonecznego, z zaznaczeniem orbity Ziemi. Zrozumieli... W nocy rozmieścili na wodach zatoki setki punktów świetlnych. Początkowo wyobrażały one ten obszar nieba, w którym widoczne jest Słońce, a następnie otoczyli je, tak jak my, pierścieniem świetlistym. Potem zmienili układ, pokazując nam swój układ planetarny z zaznaczeniem orbity ich planety macierzystej. My z kolei powtórzyliśmy niezwłocznie ten układ. Odpowiedzieli nam rytmicznym mruganiem, stanowiącym potwierdzenie, że widzą. A więc mamy już drugi dowód, że chociaż wiedzą, iż przybyliśmy z przestrzeni kosmicznej uważają nas za istoty podobne do nich w jakiś sposób, a nie za dobre czy złe duchy. Nie miał więc racji Golden, gdy trójkątem dymny traktował jako dowód oddawania boskiej czci naszemu statkowi, kiedy zaczęliśmy strzelać racami w przestrzeń po stacjonarnym ustawieniu Matterhorna.

Na dzisiejszej naradzie mamy rozszerzyć i zmodyfikować program nawiązania łączności. Harter jest pewny, że uda nam

się bardzo szybko opracować prosty system znaków i rodzaj słownika, który umożliwi bliższy kontakt i stworzy warunki do lądowania. Oczywiście, będziemy przestrzegać ściśle zasad Konwencji Marsjańskiej. Loger sądzi zresztą, że Procjonidzi chętnie się zgodzą na wizytę, zwłaszcza że nie są w stanie przeszkodzić nam w lądowaniu.

Poziomem technicznym dorównują chyba naszemu wiekowi XIX lub XX. Nie brak też kontrastów, jeśli chodzi o poziom życia tych istot. Większość miast, a zwłaszcza "stolica" Żółtego Kontynentu, to istne cacka urbanistyki. Bogactwo kształtów i barw jest wprost oszałamiające. Jednocześnie, na niektórych obszarach, zwłaszcza na terenach górzystych, można dostrzec budowie, o tak prymitywnym..."

Następna kartka w kolejności ułożenia --- to przytoczona już poprzednio strona 1207 ze wzmianką o tragicznej śmierci dowódcy fotonowca Matterhorn. Po niej przypada kartka oznaczona liczbą 1266. "Właściwie --- trochę przesadzam. Sam wówczas nie miałem obiekcji. Trudno się dziwić... Spektroskopowe badania już z daleka wykazywały wolny tlen. Życie miało charakter węglo-organiczny. Widzieliśmy wszyscy duże zbiorniki wody, tereny pokryte czymś w rodzaju obecnej roślinności wenusjańskiej, a te ich «miasta», to przecież niezbitý dowód stosunkowo wysokiej i starej kultury. Cóż bardziej bliskiego, niemal «swojskiego» mogliśmy spotkać we wszechświecie niż tę IV planetę Procjona A? Któż przypuszczał, że problem nie sprowadzi się tu bynajmniej do wyboru między maską tlenową a klimatyzowanym skafandrem..."

Jak to nieraz dziwnie się składa. Spór między Petersenem a Logerem wydawał się jak najbardziej teoretyczny i oderwany od naszego codziennego życia. Czyż wzór Novaka, dotyczący stosunku ogólnej masy antycząstek w  $1 \text{ cm}^3$  materii międzyplanetarnej do średniej prędkości tych antycząstek, a także temperatury kinetycznej całego gazu zawartego w  $1 \text{ cm}^3$ , jest słuszny dla każdego układu planetarnego? Czy wzór ten nie traci ważności w warunkach silniejszego pola magnetycznego planety lub gwiazdy, jak ma to np. miejsce w tutejszym układzie? Czy pole takie może działać wybiórczo, a jeśli tak --- jaki kształt i wzajemne położenie przybrałyby pierścienie radiacji złożone z cząstek i antycząstek? Może to były problemy bardzo istotne... ale co za straszliwa ślepota?... Kiedy rzeczywiście sondaż wykazał istnienie pierścieni radiacji złożonych z antycząstek --- Loger uznał się za zwycięzcę. Zbudował całą nową teorię promieniowania kosmicznego. Można byłoby śmiać się dziś z tego, gdyby to jednocześnie nie było tak ponure w skutkach. Dlaczego on..."

Z kolei kartka opatrzona numerem 1401 była prawie nieczytelna. Z tego, co można było zrozumieć, wynikało, że jest tam mowa o jakichś "niezwykłych skarbach sztuki" oraz obawa przed niespodziewanym atakiem, który może zakończyć się katastrofą.

O co chodziło, trudno było wywnioskować z fragmentów zdań i pojedynczych słów. Była tam także mowa w czasie przeszłym o walce i zniszczeniu trzydziestu czterech "cygar". Wyczuwało się tu jakieś sprzeczności, gdyż pewne określenia wskazywały jakoby walka miała charakter obronny, ale jednocześnie autor pamiętnika zarzucał Logerowi awanturnictwo i łamanie zasad prawa kosmicznego. Może po prostu mój przyjaciel uprzedzony był do Logera i wyolbrzymiał w swych pamiętnikach fakty mogące świadczyć o nim ujemnie.

Za tą zniszczoną kartką następowała druga z przytoczonych już stron (1443), na której jest mowa o ucieczce Procjonidów z miasta. Wreszcie przypadły dwie kartki, znów o kolejnej numeracji --- 1958 i 1959. Oto ich treść:

"...żadnego sensu. Nie pozwolę zabierać całej załogi. I tak zostało na statku tylko nas dwóch. Po cóż mu tyle ludzi tam, w tym przeklętym dole? I tak bryły nie ruszy, bo pola są za słabe! Kalen ma jeszcze wrzody na palcach od wzmożonej emisji. A przede wszystkim nie zgodzę się, aby to świństwo magazynować w statku! Jeszcze mi życie miłe. Jeśli spróbuje przesłać jeszcze jeden transport wyrzucę wszystko w przestrzeń! Nie będę się patyczkował! Postępują jak złodzieje i myślą, że będą razem z nimi... (zdanie się urywa).

16 stycznia.

Siedzę już trzeci dzień w służbie awaryjnej. Chyba to już koniec. Nie zostawili mi nawet wody... Widocznie Loger czeka, aż umrę z pragnienia. Chyba się doczeka... Przecież nie mam żadnych szans na wydobyć się z tej rury. Nawet światło wyłączył... Dyktuję te słowa na taśmę... Na szczęście miałem w kieszonce magnetofon. Może przypadek sprawi, że znajdzie go ktoś uczciwy i przekaże na Ziemię prawdę

Wczoraj z rana, tak jak przewidywałem, Loger przysłał nowy transport. Wyrzuciłem wszystko w przestrzeń i zniszczyłem w odległości trzydziestu kilometrów. Oczywiście widzieli to z bazy... Zrobiłem im iluminację, tym większą, że świecił tylko Procjon B. Było widno --- jakby nagle Procjon A rozświetlił niebo. Loger przyleciał z Gordonem. Wmówił Hagenowi, że zwariowałem. Wrzucili mnie tu do służby. Myślałem, że choć dadzą wody i jakichś pastylek odżywczych, ale nikt się nie zjawił. Nie zostawili nawet światła...

Nie spodziewałem się tego po Hagenie i Gordonie... Może zresztą powiedział im, że zostawia mi jedzenie?... Na pewno Loger tak powiedział. Przecież oni nie skazaliby mnie na taką podłą śmierć! Na pewno j nie wiedzą o niczym...

Dlaczego jednak nie daje nikt znaku życia? Czyżby zostawili statek zupełnie bez załogi? Co prawda centralny układ koordynacyjny czuwa i obsługa ludzka jest niepotrzebna... Ale zawsze... Na pewno zabrał

wszystkich do tej przeklętej bazy!

A oni na to jak idioci...

Wszyscy powariowali... Rozumiem można tęsknić, można wdychać za kobietą, kochanką, matką... ale za migocącą kulą?!... Dobrze, że tam nie poleciałem... Jeszcze mnie by to opętało...

Na pewno statek jest opustoszały. Na pewno zabrał wszystkich.

Przecież to jasne: żeby mi nikt nie pomógł... Żebyśmy zdechł w tej ciemności. Nawet światła mi nie zostawili!...

18 stycznia.

A jednak żyję! Na złość! Na przekór temu podlecowi! Ja żyję, a oni tam zdychają... Może jeszcze nie teraz, ale to nastąpi prędzej czy później. Nastąpi --- i nic im nie pomoże!... Procjonidzi na pewno łapą nie kiwną!... To zresztą chyba ich robota. Mądra robota. Któż by się po tych oślizgłych bydlakach spodziewał, że potrafią takiego mądralę jak Loger zamknąć w pułapce? I to jak zamknąć?... Prymitywna, niby dziewiętnastowieczna technika... A jednak --- nic tu nie pomoże wiek dwudziesty pierwszy. Nie ugryziesz zębem ani pazurem nie zadrapiesz... Możesz najwyżej --- «rozmienić się» na... fotony.

I ja im nie pomogę. Nie mogę im pomóc, choćbym nawet chciał. Właściwie... to... nawet chcę. Czy pomóc Logerowi, Goldenowi, a i niektórym innym z ich paczki --- może bym się zastanowił... Lecz po co mają ginąć za nich tacy ludzie, jak Harter, Gibson, Petersen czy Kalen?

Gdybym mógł --- na pewno zrobiłbym wszystko, aby ich wyciągnąć z tej szklanej trumny. Ale jestem bezsilny. Jestem zupełnie bezradny... To Loger ich wpędził w tę matnię.

Gdyby chociaż Kalen był na statku... Może by znalazł jakiś sposób. Ale ja --- nie potrafię nawet prostego skafandra zmontować, a cóż dopiero mówić o układach polowych... Czy zresztą tego rodzaju przyrządy, jakie budowali Kalen z Logerem, przydałyby się na coś? Czy stopiłyby tę szklistą masę? Bo przecież o działaniu mechanicznym nie ma tu mowy...

Próbowałem przekazać zadanie koordynatorowi, ale on też jest chyba bezradny. Zachowuje zupełną bierność... A przecież jemu zawdzięczam życie. Przecież to chyba on słyszał pukanie i otworzył klapy awaryjne.

Co mam robić? Co robić?... Przecież nie mogę ich tak zostawić!... Jak tylko stolica wejdzie w cień --- spróbuję nawiązać z nimi łączność świetlną. Może Petersen i Kalen coś wykombinują."

Ostatnia kartka oznaczona liczbą 2004 dyktowana była z pewnością w czasie drogi powrotnej:

"Wszystko to głupstwo, a jednak... Człowiek --- to jednak głupia maszyna... Głupio nagrana taśma. W kółko się kręci... ciągle się myśli o tym, o czym chciałoby się zapomnieć...

Właściwie... czego ja się martwię? Przecież żyję. Jestem wolny. Powrócę na Ziemię i wszystko będzie w porządku. Mam co jeść. Im też wystarczy pastylek... Czy im wystarczy?... Przecież to tylko dla mnie szybciej czas płynie!... Jedenaście i trzy dziesiąte roku!...

To w najlepszym razie dwakroć po dwanaście lat... Czy wystarczy im energii? Może wystarczy... Lecz jak wytrzymają nerwowo? Czy nie poroszarpują się jak dzikie zwierzęta? A jeśli im nie starczy energii?... Może już nie wystarczyło?... Ciągłe mi się wydaje, że widzę potworny grzyb eksplozji anihilacyjnej.... A potem... już nie jestem pewny... Raz mi się zdaje, że to "amfiteatr", w którym błyskają przyćmione światła zatopionej bazy... to znów, że tam w ogóle nie ma miasta, lecz straszliwy lej, krater o wielokilometrowej średnicy...

A przecież nie mogłem... Nie mogłem zmusić tych istot... Nie mogłem zrobić tego, czego żądał ode mnie Loger... i inni... Nie mogłem dalej brnąć w ten ślepy zaułek... Nie mogłem zabijać! Niech mnie sędzi Ziemia...

Wszędzie widzę to szkliste tworzywo... i ich cienie w oknach bazy... Czy oni jeszcze widzą gwiazdy?... Może już niesione wiatrem pyły pokryły grubą warstwą powierzchnię zastygłego jeziora? Może tam rosną kwiaty? Ich kwiaty... Purpurowe kwiaty Procjonidów... Kwiaty, których nigdy nie dotknie ręka ludzka...

Może mieszkańcy stolicy wrócili do swych siedzib? A jeśli wrócili?... Czy zdają sobie sprawę, co kryje wewnątrz ich wydrążonej piramidy?... Jak niewiele potrzeba, by zamiast miasta, w tym miejscu czerniał krater... Znów nie mogę odegnąć uczucia, że tam już wszystko się skończyło... Że ekspedycja ratunkowa nie ma sensu...

Czy wystarczy mi pastylek CRC?... A co będzie, gdy zabraknie?... Czy zacznę bić głową o ściany i..."

Na tym urywały się pamiętniki. Co właściwie stało się z załogą fotonowca Matterhorn? Dlaczego zginął Sławski? W jaki sposób uwięziono czy zatopiono bazę wyprawy na powierzchni IV planety? Dlaczego mój przyjaciel nie mógł pomóc towarzyszom? I dlaczego nie chciał przyjąć ładunku wysłanego przez dowództwo wyprawy? Może pozował tylko na obrońcę moralności? Może kryła się za tym jeszcze jakaś inna, ponura przyczyna? Jaki był naprawdę Loger?

Wszystkie te pytania cisnęły mi się na usta.

Czułem, że muszę dojść prawdy.

Uniosłem głowę znad maszynopisu i spojrzałem w stronę tapczanu. Oczy moje spotkały się z oczyma mego przyjaciela. Nie spał. Patrzył na mnie z powagą.

### III

--- Czytałeś! --- powiedział wskazując wzrokiem i ruchem głowy na maszynopis.

Zmieszałem się. Wiedziałem, że zaprzeczenie nie ma sensu.

--- Próbowałem posprzątać i przypadkowo wpadły mi w ręce te kartki --- zacząłem niezręcznie się tłumaczyć. --- A że zaciekawileś mnie bardzo, więc...

Uśmiechnął się ironicznie.

--- Wymyśliłem nowe przysłowie. Nie wpuszczaj dziennikarza do domu, choćby nawet wmawiał ci, że jest na emeryturze... --- rzucił zgryźliwie.

--- Bardzo cię przepraszam --- bąknąłem. --- To chyba już pójdę...

--- Nie! Teraz nie wyjdiesz! Siadaj! --- rozkazał tonem nie znoszącym sprzeciwu. --- No cóż, jak już przeczytałeś te strzępki, musisz poznać wszystko. Całą prawdę! Abyś zrozumiał...

Było mi trochę nieswojo, lecz jednocześnie miałem ułatwioną sytuację.

--- To wszystko jest takie jakieś... że chwilami aż człowieka dreszcz przechodzi --- podjąłem ostrożnie. --- Toś ty dyktował? --- wskazałem na maszynopis.

--- Tak. O co ci chodzi?

--- Właściwie... o wszystko. Chciałbym jakoś uporządkować sobie

w głowie tę całą historię. W jakiejś chronologicznej kolejności... Mógłbyś mi opowiedzieć...

--- Nie mam chęci na opowiadanie. W głowie mi szumi. Właściwie dobrze byłoby się czegoś napić, ale wszystko, co tu znajdziesz, to świństwo, i do tego resztki. Nie lubię wypijać resztek. W ogóle nie chce mi się gadać. Zwłaszcza opowiadać z jakimś ładem --- składem... Głowa mnie trochę boli. Jeśli chcesz, to pytaj, jeżeli nie chcesz --- nie pytaj... Ja cię zabawiać nie będę.

Wyciągnął się na tapczanie, podkładając ręce pod głowę.

Byłem zdezorientowany.

--- Sam mówiłeś, że chcesz mi coś opowiedzieć... --- odrzekłem z lekkim wyrzutem. --- Ależ nie chcę cię bynajmniej męczyć. Może się jeszcze prześpisz?

--- Cóż za Wersal? Jedź prosto z mostu, bo się rozmyślę.

--- Z tego, co dotychczas rozumiałem --- przeszedłem od razu do konkretów --- po przybyciu do Układu Procjona wprowadziliście Matterhorna na stacjonarną orbitę wokół IV planety Procjona A i próbowaliście się porozumieć z jego mieszkańcami. Czy kontakty te dały chociaż jakiś rezultat praktyczny?

--- Nie rozumiem, o co ci chodzi? Były to próby porozumienia metodami optycznymi. Kreślenie świecących śladów w przestrzeni. Procjonidzi to bardzo inteligentne istoty. Szybko domyślili się, o co nam chodzi. Już drugiego dnia poczęli reagować na nasze sygnały w sposób logiczny, po czterech dniach, jak wynikało z odpowiedzi, chwytali już ich sens, zaś po tygodniu stanęła sprawa bezpośrednich kontaktów.

--- I przez ten tydzień nie lądowaliście?

--- Nie. Prawo kosmiczne zabrania lądowania na planetach zamieszkałych przez istoty rozumne bez ich zgody. Poza tym konieczne są obserwacje wstępne. Trzeba się trochę poznać wzajemnie.

--- Jak wyglądają ci Procjonidzi?

--- Jak odwrócone przecinki. Lepkie, oślizgłe stwory. Cielsko okrągłe jak kula czy jajko, sześć odnóży, wszystkie chwytne.

--- A głowa?

--- W ogóle nie mają głowy. Przynajmniej w naszym rozumieniu. Narząd wzroku osadzony na ruchomych czułkach, a otwory chłonne i wydalnicze w kończynach chwytnych.

--- Nie masz zdjęcia?

--- Owszem. Pokażę ci później.

--- Czy masz zachowany kompletny egzemplarz twego pamiętnika?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

--- Nie. Nie mam. Zniszczyłem wszystko. A raczej prawie wszystko. Zniszczyłem także mikrozapis magnetyczny... Zniszczyłem wszystko! --- powtórzył.

--- Dlaczego?

--- Tak lepiej --- odrzekł wymijająco.

--- Czego się boisz?

--- Ach, nie ma czym się chwalić. Oni... --- rozpoczął i nagle zmienił

temat. --- Pytałeś o lądowanie? Od tego zaczęło się wszystko!... Kiedy udało nam się wytłumaczyć Procjonidom, że chcielibyśmy im złożyć wizytę, zaraz wyrazili zgodę. W delegacji miał lecieć Slawski jako dowódca, Kalen jako nawigator i mechanik, Gordon i Holy jako znawcy sztuki i architektury nieludzkiej, a także Harter --- lingwista i cybernetyk.

Wszyscy byliśmy zadowoleni, że tak gładko idzie, tylko jeden Petersen był niespokojny. Twierdził, że najpierw trzeba wysłać automat. Że ta szybka zgoda może oznaczać podstęp. Chodziło o to, że stwierdziliśmy występowanie w otaczającej przestrzeni znacznej liczby antycząstek i nie ulegało wątpliwości, że ma to jakiś związek z badaną planetą. Petersen był zdania, że nie mamy jeszcze dostatecznych podstaw do oceny poziomu techniki Procjonidów. Możliwe, mówił, że wielki przemysł mieści się pod ziemią, że już dysponują techniką jądrową, a owe antycząsteczki są produktem ich eksperymentów. Wysunął nawet sugestię, aby przy ocenie sytuacji brać zawsze pod uwagę możliwość ataku. Loger wyśmiał go jednak, twierdząc, że występowanie większej liczby antycząstek wiąże się z pewnego rodzaju selekcją promieniowania kosmicznego, która dokonuje się rzekomo w silnym polu magnetycznym planety IV.

Już w czasie drogi, a zwłaszcza w ostatnim półroczu, obserwowaliśmy w niektórych obszarach pewien wzrost liczby antycząstek o znacznej energii, jak sądziliśmy, pochodzenia pozagalaktycznego. Część tych cząstek była, zdaniem Logera, wychwytywana i zatrzymywana w Układzie Procjona. Spór był zresztą bardzo teoretyczny --- każdy uzasadniał wzorami swoje tezy, ale dyskusję przeciął Golden. Stwierdził on autorytatywnie, że zwiadowcy wysłać nie można bez zgody mieszkańców planety. A prosić teraz o zezwolenie --- nie wypada, bo się zorientują, że im nie wierzymy. Co prawda, z tym ostatnim to on nie miał racji, bo wysłanie automatu można było łatwo uzasadnić koniecznością zbadania warunków, a zwłaszcza mikroorganizmów, aby nie spowodować wzajemnych zakażeń. Ale wtedy wszystkim nam się spieszyło do lądowania, więc zakrzyczeliśmy Petersena, który w końcu zgodził się z tym, iż mieliśmy przeprowadzić jedno sondowanie w strefie wolnej, tj. powyżej 1000 km od powierzchni planety. Automat stwierdził wówczas istnienie pierścienia radiacji złożonego z antycząstek, co zdawało się potwierdzić teorię Logera, że chodzi tu o zjawisko naturalne.

--- A jednak to był podstęp. I Slawski zginął?

--- Ano zginął... Tak jak ustalono poprzednio --- polecieli w piątkę. Na początku wszystko było w porządku. Pilot-automat prowadził maszynę po zaprogramowanej orbicie. Slawski, Gordon, Holy, Harter i Kalen siedzieli w kabinie pasażerskiej obserwując ekran. Powierzchnia rakiety, jak każdego statku kosmiczno-atmosferycznego, chroniona była przed nagrzaniem powodowanym zderzeniami z cząstkami zjonizowanej atmosfery metodą magneto-hydrodynamiczną. Pole samowzbudzone stanowi tu znaczną ochronę zarówno przed zjonizowanymi cząstkami, jak i antycząsteczkami, których tory ulegają zakrzywieniu tak, iż nie docierają do ścian statku. Oczywiście, pewna ilość cząstek o większej energii przenika przez takie pole, ale nie sądzono,

aby mogło to być zjawiskiem groźnym. Toteż kiedy nagle rozległ się sygnał alarmowy, oznaczający gwałtowne nasilenie promieniowania ---

nikt się nie przejął. Pomyśleli, że to po prostu pierścień radiacji --- wyliczony teoretycznie przez Logera i potwierdzony przez robota. Takie same pierścienie występują wokół Ziemi, tyle że ten zawierał niemal wyłącznie antycząstki. Ale nasilenie promieniowania rosło. Stracili też łączność radiową ze statkiem.

Slawski kazał siedzieć kolegom na miejscach, a sam poszedł do kabiny pilota, bo robot alarmował coraz natarczywiej i mógł lada chwila samorzutnie dokonać zmiany toru. Widocznie Slawski pomyślał, że trzeba jak najszybciej wyjść z pierścienia radiacji, bo wydał robotowi polecenie skierowania maszyny wprost w dół ku planecie. Sądził, że niżej, jak to przewidywał Loger, znajdzie pierścień złożony z protonów. A to było właśnie samobójstwem. Dozymetry oszalały!



Nasilenie promieniowania gamma było tak ogromne, że w parę chwil później liczniki przestały dawać wskazania. Jednocześnie zaczęła płonąć powierzchnia rakiety. Spektrografy wskazywały, że zamiast oczekiwanych protonów rakietę napotyka tylko antyprotony i że nasilenie strumienia rośnie... Sławski wydał robotowi polecenie wykonania skrętu, lecz robot odmówił posłuszeństwa. Widocznie nasilenie promieniowania gamma spowodowało jakieś zaburzenia w elektronicznej części automatu. Sławski musiał przejść na pilotaż ręczny.

Maszyna wykonała skręt, ale jeszcze przez pewien czas wchodziła coraz głębiej w atmosferę planety. Płonęła... Płonęła! - -- powtórzył mój przyjaciel drżącym nerwowo głosem. --- Pole ochronne Wysiadło. Wiesz, co się dzieje, gdy zderza się cząstka z antycząstką? Patrzyliśmy ze statku, jak powierzchnia pocisku staje się czerwona, potem żółta... wreszcie --- biała... Byliśmy przekonani, że potwierdziły się przewidywania Petersena, że Procjonidzi zaatakowali rakietę strumieniem antyprotonów. Loger chciał nawet zarządzić włączenie silników i przenieść statek na dalszą orbitę, lecz nie pozwoliliśmy. Przecież to oznaczałoby pozostawienie tamtych na łasce losu. Bo rakietę, chociaż płonęła, zmieniła kierunek, oddalała się od tej przeklętej planety! Na szczęście silniki nie zawiodły. Co prawda, Sławski już nie żył, gdyż jak później wykazały badania, temperatura w kabinie pilota doszła do ośmiuset stopni, ale po wyjściu rakiety z atmosfery i słabnięciu promieniowania gamma robot przejął prowadzenie. Nie mógł jednak doprowadzić rakiety do Matterhorna, gdyż zupełnie oślepl.

--- Kto oślepl?

--- Mówię przecież, że robot! Wszystkie zewnętrzne urządzenia rakiety, a zwłaszcza głowicy, uległy stopieniu. Kiedyśmy dotarli do niej, była jeszcze jasnoczerwona. Na szczęście kłapa śluzy puściła. Harter, Kalen, Gordon i Holy żyli, ale byli nieprzytomni. Kabina pasażerska znajdowała się w środku kadłuba i nie miała okien --- temperatura nie przekroczyła tam stu stopni. Sławskiego nie udało się już, niestety, przywrócić do życia.

--- Więc jednak Petersen miał rację?

--- Zależy, jak to rozumieć. Miał rację, że należało najpierw przeprowadzić dokładny zwiad. Ale to nie był podstęp. Procjonidzi nie chcieli nas zabić! Oni zresztą nie mieli jeszcze zielonego pojęcia o fizyce jądrowej.

Byłem zupełnie zaskoczony.

--- A więc co się stało?

--- To był antyświat --- powiedział mój przyjaciel cicho, lecz z naciskiem.

Zapanowało milczenie.

--- Myślisz o świecie zbudowanym z antymaterii? --- zapytałem po chwili, chcąc się jeszcze upewnić, czy się nie przesłyszałem.

--- Tak! --- skinął głową. --- Wiesz chyba, co to znaczy? U nas wokół dodatnich jąder krążą ujemne elektrony. Tam... wokół ujemnych jąder krążą dodatnie elektrony --- pozytony. Zamiast protonu mamy antyproton, zamiast neutronu --- antyneutron o przeciwnym momencie magnetycznym. Zetknięcie się cząstki z antycząstką daje w efekcie...

--- ...anihilację --- dokończyłem czując nieprzyjemny skurcz w okolicy żołądka.

--- Tak! Anihilację --- powtórzył głucho. --- Unicestwienie dotychczasowej postaci materii, całkowitą zamianę masy w energię. Nic dziwnego, że żaroodporna powierzchnia rakiety płonęła jak słoma na wietrze.

--- Ale czy to możliwe, aby Procjon?... Tak blisko Słońca? Załedwie jedenaście lat świetlnych.

--- Cóż znaczą wszystkie teorie wobec faktów? --- zaśmiał się sztucznie mój przyjaciel. --- Trzeba będzie zrewidować hipotezy kosmogoniczne. Trzeba będzie powtórzyć nowe teorie, a stare wyrzucić na śmietnik. Tak, "Zielone Oko" --- na śmietnik!

--- Jeszcze nie chce mi się wierzyć!

--- I my też nie chcieliśmy wierzyć. Nawet Petersen nie wierzył! Przecież według dotychczasowych obliczeń, gdyby w

Galaktyce przypadało średnio na dziesięć milionów cząstek więcej niż jedna antycząstka, już spowodowałyby to naruszenie równowagi termodynamicznej! Koncentracja antymaterii w pyle międzygwiazdowym jest tak mała, że wszyscy zgodnie wykluczali możliwość powstania w Drodze Mlecznej gwiazd zbudowanych z antymaterii.

--- Może ten antyświat przywędrował z innej galaktyki?

--- To również wydaje się mało prawdopodobne wobec stosunkowo niedużej prędkości Procjona względem Słońca.

Widocznie jednak zbyt mało jeszcze wiemy o wszechświecie... Byliśmy zupełnie zaskoczeni tym odkryciem.

--- Ale przecież w czasie wchodzenia w głąb układu powinniście się byli zorientować...

--- W głąb układu wchodzi się w okresie hamowania, zaś działanie silnika fotonowego, a ściślej produkty zachodzących w nim reakcji przekreślają całkowicie wartość pomiarów prowadzonych w bezpośrednim sąsiedztwie statku.

--- Więc poza śladami antymaterii w przestrzeni międzygwiazdowej oraz w pobliżu planety IV nie zauważyliście niczego? Czy to możliwe?

Patrzył na mnie chwilę, jakby zastanawiał się, o co pytam.

--- Nie zapominaj --- powiedział wreszcie --- że antymateria zewnętrznie nie różni się fizycznie i chemicznie niczym od materii. Właściwie jest to zupełnie taka sama materia jak nasza, tyle że zbudowana odwrotnie. Dla Procjonidów nasze podręczniki fizyki i chemii są tak samo użyteczne jak dla nas. Opisują takie same prawidłowości, takie same reakcje zachodzące między takimi samymi pierwiastkami. Tylko że dla nich nasza materia jest antymateria. To tylko kwestia, z której strony patrzeć. Ale na odległość nie można wykryć różnic. Fotony są takie same. Dopiero przy bezpośrednim spotkaniu...

--- I wtedy, po tej katastrofie, zorientowaliście się, że to jest antyświat...

--- Gdyby tak było... --- westchnął ciężko mój przyjaciel. --- Niestety, nawet nam to przez głowę nie przeszło. Byliśmy zasugerowani podejrzeniami Petersena. Zresztą, któż mógł uwierzyć, że to planeta zbudowana z antymaterii? Loger, który natychmiast po śmierci Slawskiego objął dowództwo, oświadczył, że na zbrodniczy podstęp musimy odpowiedzieć demonstracją naszej wysokiej techniki. Że musimy pokazać, iż nasze rakiety, jeśli zechcemy, dotrą do powierzchni planety. Sprzeciwiłem się temu, uważając, iż nie ma sensu zaostrzać sytuacji. Loger może by ze mną się nie liczył, lecz poparł mnie Golden, Kalen,

a później i inni. Loger uparł się jednak, żeby wysłać z akceleratora w kierunku planety strumień antycząstek. Chciał pokazać, że my również to potrafimy. Oczywiście nie było żadnego efektu. Ale jeszcze wówczas byliśmy jak ślepi. Petersen sądził, że strumień mogli odchylić jakimś polem. Golden zaproponował, aby posłać robota wyposażonego w możliwie potężne pole ochronne jako parlamentariusza. Jako cel Loger wybrał wyspę o średnicy około półtora kilometra z wznoszącą się na niej wysoką budowlą, przypominającą ściętą piramidę aztecką, tyle że o podstawie w kształcie równobocznego trójkąta.

Nie próbowaliście dogadać się przy pomocy sygnałów świetlnych?

--- Próbowaliśmy, ale nic z tego nie wyszło. Golden usiłował przekazać pewnego rodzaju oświadczenie, że wobec złamania przez Procjonidów umowy, zniszczenia naszej rakiety i spowodowania śmierci człowieka --- domagamy się satysfakcji dyplomatycznej. Widocznie było to zbyt zawile jak na ubogi "wspólny język", gdyż Procjonidzi nic z tego nie zrozumieli i tylko raz po raz, zaniepokojeni, powtarzali serię sygnałów, które uprzednio odczytaliśmy jako zgodę na lądowanie. Loger zarządził więc wysłanie rakiety-roboty. Tak długo, jak poruszał się wśród zjonizowanej antymaterii --- pole chroniło go niezłe. Kiedy jednak wszedł w gęściejsze warstwy atmosfery i stracił szybkość, proces anihilacji począł się gwałtownie wzmacniać. W odległości pięćdziesięciu km od powierzchni planety świecił już osłepiającym blaskiem. Byliśmy przekonani, że Procjonidzi chcą go zniszczyć i usiłowaliśmy zmienić kierunek lotu, ale aparatura sterująca już nie działała. Wreszcie nastąpiła eksplozja. Robot nie zawierał ładunku wybuchowego, a tym bardziej jądrowego, tymczasem eksplozja przypominała do złudzenia wybuch bomby wodorowej. Wówczas dopiero Petersen i Loger zrozumieli,

że to był antyświat. Rakietę miała blisko sto kg masy. Część materii uległa anihilacji w atmosferze, ale z powierzchnią wody zetknęło się co najmniej pięćdziesiąt kilo masy. Pocisk spadł obok wyspy, w morze. Przez długie godziny chmura radioaktywna unosiła się nad oceanem, sięgając aż do wybrzeży oddalonych sto dziewięćdziesiąt kilometrów od wyspy.

--- A Procjonidzi?

--- Na wyspie było ich prawdopodobnie niewielu. To była jedyna pociecha, bo wyspa została dosłownie starta z powierzchni morza. Natychmiast po stwierdzeniu, że mamy do czynienia z antymaterią, przekazaliśmy Procjonidom ostrzeżenie, by opuścili teren zagrożony zasięgiem chmury radioaktywnej. Sądzę jednak, że nie brakło wypadków śmiertelnych także poza wyspą. Byliśmy wszyscy przybici tym, co się stało. Wspomnienie niedawnej śmierci Sławskiego jakby przybladło. Nawet Loger wyglądał na załamanego. Bo też on był dowódcą i na niego spadała przede wszystkim odpowiedzialność.

--- Co za głupia, bezsensowna, a zarazem potworna historia powiedziałem, głęboko wstrząśnięty opowieścią.

--- Tak. To było straszne uczucie... Nie wiedzieliśmy zupełnie, jak wybrnąć z sytuacji... Loger chciał nawet od razu wracać do Układu Słonecznego, ale Golden przekonał go, że to też nie miałoby sensu. Mówił, że trzeba wszystko jakoś załagodzić. A poza tym ekspedycja musi wykonać swe zadanie. Tymczasem Procjonidzi zupełnie opacznie zrozumieli ten wypadek. Uznali go za wypowiedzenie wojny. Nie ma się im zresztą co dziwić!...

--- Oczywiście próbowaliście wyjaśnić nieporozumienie?

--- Niestety. Procjonidzi nie znali pojęcia jądra atomowego, nie mówiąc o antymaterii --- nie zrozumieli więc, o czym usiłujemy ich przekonać. A może po prostu przestali nam wierzyć! Dość, że od tej chwili już ani razu nie odpowiedzieli na nasze sygnały. Po tygodniu bezowocnych usiłowań złapania kontaktu Loger zdecydował, że dokonamy jeszcze próby bezpośredniego nawiązania łączności. Co prawda, o wylądowaniu człowieka na powierzchni planety zbudowanej z antymaterii nie było mowy...

Dostrzegłem niezgodność opowiadania z pamiętnikiem mego przyjaciela.

--- Przecież pisałeś... --- podjąłem, lecz nie dał mi dokończyć.

--- Czeka! To był dopiero początek!... Widocznie niewiele skorzystałeś z tych strzępów --- wskazał na maszynopis --- jeśli nie wiedziałeś nawet o antymaterii ani o skafandrach polowych.

Sięgnął po kartkę i patrzył na nią machinalnie.

--- O skafandrach coś tam było... Ale nie domyślałem się. Czyżby?...

--- Ach! Na wszystko znajdzie się sposób! Nawet na antymaterię!...

Na początku chodziło tylko o robota. O ludziach jeszcze nikt nie myślał. Procjonidzi nie odpowiadali na sygnały, poza tym zachowywali się normalnie. Obserwowaliśmy ich przez teleskopy, robiliśmy zdjęcia i pomiary. Od czasu do czasu płytkie sondowanie. Wreszcie, po jakichś pięciu tygodniach, Loger, Petersen i Kalen zakończyli budowę dwóch robotów, które mogły wylądować w antyświecie, przekazywać obrazy i dokonywać z bliska obserwacji telewizyjnych.

--- Ale przecież chodziło tu o antymaterię niezjonizowaną, nie podlegającą działaniu pól. Przecież każda cząstka powietrza, która zetknie się z powierzchnią aparatu...

--- Otóż właśnie! --- przerwał mi mój przyjaciel. --- Chodziło o to, żeby nie dopuścić do zetknięcia! Loger i Petersen wpadli na pomysł, aby otoczyć robota płaszczem zjonizowanej antymaterii, utrzymywanym na odległość przy pomocy potężnych pól. Jonizacja powodowana była anihilacją cząstek, które zdołały przeniknąć przez pole. Wzrost liczby cząstek przenikających przez płaszcz powodował wzmożoną jonizację, a tym samym wzmacniał płaszcz ochronny, zmniejszając anihilację. Zachowana więc była pewnego rodzaju równowaga. Pole ochronne nie zabezpieczało przed anihilacją, tylko ją niezmiernie zwalniało. Robot zaopatrzony był w dwa silniki jonowe. Jeden raketowy, na plazmę produkowaną z własnych

zapasów materii --- pracował w pustce kosmicznej, gdzie nie trzeba było włączać pola ochronnego. Drugi --- typu zewnętrznego, przepływowego --- działał właśnie przy włączonym polu, w atmosferze antymaterialnej.

--- Jak to możliwe?

--- Owo pole nie tylko odrzucało zjonizowane cząstki antymaterii i w ten sposób chroniło przed zetknięciem się antymaterii z materią, ale mogło odrzucać te cząstki w ściśle wyznaczonym kierunku. Powodowało to, oczywiście, odrzut całego aparatu w kierunku przeciwnym. Można było kierować działaniem pola w ten sposób, aby zmieniając kierunek odrzutu manewrować swobodnie maszyną. Był to niewątpliwie udany wynalazek. Aparat miał tylko dwa poważniejsze braki: grzał się niemiłosiernie i trzeba było stosować bardzo intensywne chłodzenie, a ponadto antymateria w postaci stałej, działając ze znaczną

siłą na niedużą powierzchnię, mogła przeniknąć przez płaszcz i spowodować eksplozję. Ale to wówczas nie wydawało się istotne. Kalen.

wpadł jeszcze na wariacki pomysł skonstruowania chwytacza magnetycznego, umożliwiającego przeniesienie na orbitę satelitarną antymaterialnego przedmiotu z żelaza, co byłoby nie tylko nie lada wyczynem, lecz otwierałoby również perspektywy zbudowania robota ze stałą antymaterialną osłoną.

--- I taki zaopatrzony w pola robot mógł lądować?

--- W ścisłym tego słowa znaczeniu --- nie. Unosił się tylko nad powierzchnią planety w antymaterialnym powietrzu. Pierwszego robota tego typu prowadził sam Loger. Jednocześnie nadaliśmy ostrzeżenie, aby mieszkańcy planety nie próbowali atakować maszyny. I to chyba był błąd.

--- Nie rozumiem.

--- Dla Procjonidów stanowiło to potwierdzenie ich obaw, że chcemy zawładnąć planetą. Powitali robota czymś w rodzaju ognia zaporowego. Poziom techniczny --- gdzieś koniec XIX początek XX wieku na Ziemi. Prymitywne pociski o napędzie odrzutowym eksplodowały jak szrapnele w powietrzu nad miastem, które Loger wybrał jako cel pierwszego lotu. Tylko przypadek i szybki refleks Logera sprawiły, że nie doszło do katastrofy. Wzniósł maszynę na wysokość dwudziestu kilometrów i zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej. Wówczas po raz pierwszy Loger pokazał swe prawdziwe oblicze. Większość załogi uważała, że należy wycofać się i ponowić próby kontaktu optycznego.

Loger wysłuchał tych uwag, a potem zarządził coś wręcz przeciwnego, nie dopuszczając do dalszej dyskusji. Wiesz, jakie ma uprawnienia dowódca statku kosmicznego?... Jaka ma władzę poza Strefą Trzech Planet Zamieszkałych przez ludzi. Tak być musi. Ale tym razem to było po prostu awanturnictwo. A nawet coś gorszego... Nakazał Kalenowi zainstalować na drugim robocie automat szybkostrzelny. Miał on służyć za ochronę pierwszego robota. Tego drugiego robota miałem pilotować ja...

Urwał i nerwowo zgniótł w dłoni kartkę maszynopisu.

--- Chyba nie mieliście zamiaru atakować tych istot? --- podjąłem po chwili, lecz pytanie widocznie nie dotarło do świadomości mego przyjaciela, bo nawiązał wprost do poprzednich słów.

--- Ten rozkaz to była perfidia z jego strony!... Chciał się na mnie odegrać. Należałem do największych przeciwników uzbrajania robota.

--- A jakie było w tej sprawie stanowisko pełnomocnika Goldeny? Przecież prawo kosmiczne przewiduje, że lądować można tylko za zezwoleniem mieszkańców planety. Chyba więc...

--- Jesteś bardzo naiwny, "Zielone Oko"! --- przerwał z ironią mój przyjaciel. --- Decyduje człowiek, nie samo prawo. Prawo zawsze można obejść. Oprócz prawa konieczne jest sumienie... Mówiłem ci już, że Golden łatwo ulegał wpływom. Rozumiem zresztą trochę Logera: chodziło tu o sprawę zasadniczą, o wyjście w jakiś sposób z impasu. Wszyscy byliśmy

wówczas zgodni, że absolutnie nie ma mowy o powrocie, że trzeba jak najszybciej doprowadzić do porozumienia i rozpocząć prace badawcze. Różnice polegały tylko na doborze środków prowadzących do tego celu. I tu właśnie problem nabierał charakteru zasadniczego... Golden poparł Logera, oświadczając, że wysłanie robota nie jest lądowaniem, lecz środkiem nawiązania łączności z mieszkańcami planety. Zresztą Procjonidzi nigdy nie nadali sygnałów, które można by interpretować jako cofnięcie zaproszenia... Oczywiście to była sofistyka: ostrzelanie robota niewątpliwie należało traktować jako sprzeciw. Loger nie dopuścił jednak, jak mówiłem, do dyskusji.

--- I pilotowałeś tego robota?

--- Cóż miałem robić? Zgodnie z instrukcją prowadziłem maszynę w odległości trzydziestu kilometrów od robota Logera.

W razie niebezpieczeństwa miałem zrobić użytek z broni...

--- Czy to w ogóle było możliwe? W świecie antimaterii?

--- Automat szybkostrzelny to coś w rodzaju dawnego karabinu maszynowego, wyrzucającego pociski o programowej masie. Pociski mogą

być różnego rodzaju, do jądrowych włącznie. Tu wystarczyła zwykła materia i niewielkie samo wzbudzone pole magnetyczne. Mówiłem ci już, że tego rodzaju pocisk o dużej energii kinetycznej może przeniknąć bez trudu przez pole ochronne. Rzecz jasna, natychmiast zderza się z cząstkami gazów atmosfery i zaczyna ulegać anihilacji. Przy zetknięciu z ciałem stałym lub ciekłym następuje eksplozja, którą można porównać z wybuchem maleńkiej bomby anihilacyjnej. Broń ta była więc dość groźna mimo niewielkiej masy pocisków. To także pomysł Logera.

--- No i?...

--- Wtedy właśnie zaczęło się --- powiedział patrząc ponuro przed siebie. --- Loger skierował swego robota tym razem ku obszarom pokrytym niską roślinnością, gdzie zabudowań było niewiele i, jak się wydawało, nie mogły kryć machin wojennych. Bez przeszkód dotarł prawie do powierzchni planety i prowadził maszynę na niewielkiej wysokości w kierunku najbliższego miasta. Mój robót tkwił na wysokości dwudziestu pięciu kilometrów, skąd obserwowałem teren. Właśnie Loger znalazł się nad miastem, gdy na ekranie radarowym zauważyłem w odległości osiemdziesięciu kilometrów jakieś dwie duże maszyny powietrzne, zdążające w kierunku miasta.

--- Procjonidzi mieli samoloty?

--- Raczej były to maszyny przypominające kształtem sterowce.

Długie cygara z otworem pośrodku. Niejako skrzyżowanie kolportera ze sterowcem. Cygara szły w kierunku miasta z prędkością ponad 100 km/godz. i należało przypuszczać, że są to prymitywne maszyny bojowe. Ostrzegłem Logera, ale on zauważył właśnie na dachu najwyższej budowli miasta długi pręt, który wydał mu się z żelaza, i chciał koniecznie sprawdzić, czy nie da się go pochwycić elektromagnesem. Rozkazał, abym zatrzymał te dwa "cygara" możliwe jak najdłużej, oczywiście, unikając starcia. Tymczasem sytuacja przybrała nieprzewidziany, i to niezmiernie groźny obrót. Dostrzeżony przez Logera pręt był umocowany na stałe w dachu budowli. Zawierał on istotnie żelazo, toteż udało się go uchwycić polem pierścieniowym, lecz o uniesieniu w górę nie było, rzecz jasna, mowy. Loger wyłączył chwytacz, mimo to rakietą nie mogła wznieść się w górę.

--- Uszkodzenie?!

--- Nie. Pręt wystający z dachu stanowił sam pewnego rodzaju elektromagnes, a przepływ jonów w osłonie robota powodował drogą indukcji powstanie siły przyciągania. A przecież do zsunęcia pola pierścieniowego z pręta i wzniesienia się w górę potrzeba było właśnie odrzutu jonów w dół...

--- Niesamowita historia...

--- To był przypadek, ale winę ponosił Kalen, że nie przewidział takiej możliwości. Sytuacja stała się tragiczna: robot nie

mógł wystartować, a tymczasem "cygara" dążyły na pomoc miastu. Niestety, o zatrzymaniu ich nie było mowy. Na widok mego robota "cygara" poczęły oddalać się od siebie, przy czym jedno z nich usiłowało okrężną drogą dotrzeć do miasta, drugie szło wprost na spotkanie ze mną. Z odległości mniej więcej trzech kilometrów otworzyli do mnie ogień. Zanim jednak ich pociski raketowe dotarły na wyznaczoną odległość i eksplodowały --- zdażyłem "podrzucić" robota dziesięć kilometrów w górę. Powiedziałem sobie, że nie będę niszczył tych maszyn, lecz czułem,

że wepchnięty jestem w ślepy zaułek... Robot Logera nie mógł wystartować i na pewno lada chwila będzie zaatakowany. Anihilacja rakiety oznaczała zaś zagładę miasta. A przecież załoga "cygar" nie mogła zdawać sobie sprawy z sytuacji i dążyła w kierunku miasta właśnie w celu zniszczenia kosmicznego intruza. Było rzeczą zupełnie wykluczoną, abyśmy zdażyli wytłumaczyć mieszkańcom planety, na czym polega niebezpieczeństwo, zanim dojdzie do katastrofalnego ataku. Wydało mi się, że zwariuję. Przeklinałem Logera i Kalena, a zarazem uświadamiałem sobie, że w tej chwili jedynym ratunkiem dla miasta jest zniszczenie obu statków powietrznych. Tymczasem maszyny zbliżały się coraz bardziej do miasta, ostrzeliwując mego robota przy każdej próbie zatrzymania ich w drodze do celu...

Nerwowy skurcz przebiegł mu przez twarz. Uczułem, że i mnie coś ściska za gardło.

--- I zniszczyłeś te sterowce? --- zapytałem z wysiłkiem.

Skinął wolno głową, nie patrząc mi w oczy. Potem wyciągnął dłoń po szklanę, ale była pusta, więc tylko uniósł ją w górę i postawił z taką siłą na stole, że plastik rozprysł się na kawałki.

--- Wiem; że wtedy nie było innego wyjścia... --- wyrzekł po chwili cicho. --- Nie jestem miękkim człowiekiem, widziałem już wiele, ale nie potrafię zabijać... Nie potrafię nie myśleć... Jeszcze dziś nie mogę wyzbyć się uczucia, że wtedy mogło być inaczej. I dlatego nie chciałem później powtórzyć... jeszcze raz...

--- Nie obawialiście się, że uwięziony robot może być zaatakowany przez mieszkańców miasta? --- usiłowałem wrócić do tematu.

Znów przez chwilę patrzył na mnie, jakby nie rozumiejąc, o co pytam. Wreszcie odrzekł już nieco spokojniej.

--- Była pewna szczęśliwa okoliczność, wykluczająca atak z dołu. Dach tej budowli stanowił rozległy, wklęsły taras, tak iż robot nie był widoczny ani z okolicznych domów, ani z dołu. Mogli go zaatakować tylko z powietrza, ewentualnie dostać się jakimś przejściem na dach. Widocznie nikt się nie odważył na tego rodzaju spotkanie. Pojedynczy Procjonidzi zawsze uciekali przed naszymi maszynami. Nie ma się zresztą co dziwić.

--- Nie ponowiły się ataki z powietrza?

Uśmiechnął się gorzko.

--- To był dopiero początek... Zniszczone zostały jeszcze trzydzieści dwie maszyny powietrzne, zanim wreszcie Procjonidzi pojęli, że ataki nie mają sensu. To już, niestety, była wojna. Niepotrzebna, pozbawiona jakiegokolwiek logiki... Najgorsze było to, że nie mogliśmy przerwać działań, dopóki nie przygotowano narzędzi umożliwiających uwolnienie robota. Petersen i Kalen robili, co mogli. Ale dopiero po czterech tygodniach udało im się zakończyć montaż trzeciego robota. To było konieczne, bo drugi robot musiał bronić pierwszego. Trzeciego robota zaopatrzone tym razem w akcelerator wyrzucający wąski strumień protonów o dość znacznej energii. Wywołując tym strumieniem anihilację odcięto wreszcie ów nieszczęsny słup... Ten miesiąc zrobił ze mnie szmatę... Byłem zupełnie załamany psychicznie. Gdy w końcu wszystkie trzy roboty wróciły na Matterhorna, rozkleiłem się do reszty. Dosłownie byłem do niczego. Dopiero po dwóch miesiącach Gibson --- nasz lekarz pokładowy --- postawił mnie na nogi. Wówczas było już jednak za późno... Chociaż?... Czy ja wiem?... Może to tylko moja głupota? Może nie trzeba było się patyczkować, tylko palnąć w łeb Logerowi albo...

--- O czym mówisz? --- zapytałem, czując, że znów zaczyna przeskakiwać wydarzenia i plątać wątki.

--- Bo to widzisz --- rozpoczął z wyraźnym przymusem --- w następnych miesiącach zamiast sprawę rozplątać, zamotano ją do reszty. Loger i jego klika! Klika maniaków i awanturników!... Bo to widzisz --- powtórzył --- było tak: już zdjęcia sondy Bumerang XII, które dawały tylko bardzo ogólne wyobrażenie o architekturze i urbanistyce Procjonidów, zrobiły silne wrażenie na ludziach. Ale to, co pokazały kamery robotów, to już były istne cuda! U tych istot plastyka i architektura odgrywają jakąś szczególną, dominującą we wszystkim rolę. Na-

wet owe nieszczęsne maszyny wojenne o kształtach cygar były dziełami niezwykłego kunsztu artystycznego. Nie można z nimi porównać nawet naszych galeon z okresu odrodzenia i baroku. To były wytwory o jakiejś dziwnie łatwo przemawiającej do człowieka formie plastycznej. Nasi spece od sztuki po prostu potracili głowy. Oglądając z bliska miasta Procjonidów, jakby oszaleli. Udzieliło się to Goldenowi i Logerowi, ba! nawet Kalen i Petersen nie byli obojętni, chociaż sztuka ich nie interesowała. I wówczas, wbrew nie tylko prawu kosmicznemu, wbrew jakiemukolwiek sensowi i logice, mimo iż w dalszym ciągu nie było żadnego porozumienia z Procjonidami, rozpoczęto znów wysyłać roboty na powierzchnię planety, do miast i większych osiedli. Zaczęło się filmowanie, mierzenie, katalogowanie, klasyfikacja... Zaczęły się wzdychania i żale, że to antymateria... że nie można tego ujrzeć z bliska, na własne oczy. Choćby tylko przez szybę skafandra...

--- A Procjonidzi?

--- No cóż... Czyż mogli nas inaczej traktować niż jako wrogów?

Czasem dochodziło do starć. Co prawda, nie próbowali już atakować robotów, ale zagradzali im ogniem drogę do niektórych obiektów, miast czy wysp.

--- A wy?

--- Początkowo Loger wydał wyraźny zakaz atakowania Procjonidów i nakazał wycofywanie się w razie ataku z ich strony.

Ale później bywało różnie...

--- I nie mogliście im wytłumaczyć, że to tylko nieporozumienie, tragiczny zbieg okoliczności! Przecież chyba łatwiej porozumieć się w drodze bezpośredniego kontaktu niż na odległość, kreśląc obrazy na chmurach.

--- Złudzenie... Decydują nie środki łączności, lecz sens informacji. To może wydawać się paradoksem, ale "wspólny język" w przenośni jest ważniejszy niż "wspólny język" w dosłownym tego słowa znaczeniu Procjonidzi na pewno właściwie pojmowali sens przekazywanych im obrazów. Świadczy o tym to, że wykonywali niektóre polecenia prawidłowo, a zwłaszcza stosowali się do ostrzeżeń. Uważali nas jednak za wrogów, za napastników, a co najmniej za intruzów, których jeśliby tylko mogli, przepędziliby ze swej planety. Ani razu od wybuchu konfliktu nie odpowiedzieli na nasze próby nawiązania łączności.

--- Czy nie uważasz, że był to pewnego rodzaju bojkot?

--- Chyba tak. Możliwe zresztą, iż wiązał się z jakąś zasadą postępowania obowiązującą ich we własnym świecie.

--- Czy jednak uczyniliście wszystko, co było w waszej mocy, aby naprawić stosunki?

--- Otóż to! --- podchwycił gwałtownie. --- Gdybym mógł powiedzieć, że uczyniliśmy wszystko... Gdyby tak było... Ale kóż miał to robić? Czy ci zwariowani historycy sztuki, których nic nie interesowało poza plastyką i architekturą Procjonidów? Może Petersen, dla którego fakt spotkania antyświata oznaczał rewizję wielkiej teorii, nad którą pracował całe życie i chyba... nic więcej? Może Kalen, którego ogarnęła szaleńcza pasja konstruowania coraz nowszych, niezwyklejszych urządzeń, umożliwiających nam działanie w świecie antymaterii? A może Golden lub Loger, którym przede wszystkim zależało na wykonaniu planu ekspedycji?!...

--- Chyba nawiązanie łączności i stosunków należało do pierwszoplanowych zadań?

--- Tak. Lecz nie zapominaj, że dzieliły nas trzydzieści cztery zniszczone statki powietrzne i półtorakilometrowa wyspa, starta z powierzchni morza! Nawiązanie bliższych kontaktów oznaczałoby ograniczenie, a być może przerwanie

bezpośrednich badań. Czy Procjonidzi wyraziliby zgodę na ich kontynuowanie znając prawdę? Nawet okazując maksimum dobrej woli, czy mogli narażać siebie, swe miasta, swe dzieła sztuki na nieustanne niebezpieczeństwo anihilacji?

--- Chcesz więc powiedzieć, że nikt z waszej ekspedycji nie był zainteresowany w przerwaniu stanu wojennego? Przecież to podłość, przestępstwo!

--- Nikt nikogo za rękę nie złapał. Nikt niczyich myśli nie czytał. Golden potrafiłby ci wszystko uzasadnić zgodnie z kanonami prawa kosmicznego. Przesadą jednak byłoby twierdzenie, że wszyscy myśleli tak samo. Gibson otwarcie domagał się przerwania badań, Harter popadał często w konflikt z Logerem, usiłując przedstawić Procjonidom zbyt otwarcie sytuację.

--- To ten lingwista-cybernetyk?

--- Tak. Harter przede wszystkim zajmował się łącznością z Procjonidami. Stanowił zupełne przeciwieństwo Logera i Goldena... Chwilami wydawało się, że trzyma stronę nie nas, ludzi, lecz tych potworków. Że są mu bliższe... Ja na to zdobyć się nie mogłem. Dla mnie były zawsze obcymi istotami. Ale wracając do tematu, również Kalen, zwłaszcza w późniejszym okresie, był przeciwny metodom stosowanym przez Logera. Nie mógł sobie darować, że zbudowane przez niego narzędzia mogły służyć... grabieży. Bo to była grabież! W naszych czasach! Któż upoważnił ich do zabierania czegokolwiek z powierzchni planety? Tu nie chodziło tylko o żelazo do budowy układów izolujących. Co innego próbki antymaterii czy proste surowce, a co innego wytwory sztuki tych istot...

Coś mi zaświtało w głowie.

--- Czy... w tamtej skrzyni... to właśnie...? --- nie dokończyłem, wskazując oczyma na drzwi sąsiedniego pokoju.

Zawahał się. Popatrzył przez chwilę w moje oczy, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią.

--- W pewnym sensie... tak. To właśnie z tamtego okresu --- odpowiedział cicho. --- Później Loger z Kalenem i jeszcze dwóch mechaników zaczęli budować pojazd przestrzenny, umożliwiający wylądowanie na planecie, a nawet coś w rodzaju skafandrów. Antymaterię, głównie żelazo, obrabiano zdalnie w przestrzeni przy pomocy pól. W ten sposób powstały niezbyt grube powłoki antymaterialne, oddzielone polami od powłoki właściwych skafandrów czy rakiet. Aparaty mogły lądować na powierzchni stałej, i to bez chłodzenia, a skafandry indywidualne, przypominające nieco kształtem dzwony, umożliwiały poruszanie się w pewnych granicach w świecie antymaterii. Dla mnie to w ogóle był nonsens. Przesadne ryzykowanie. Bez potrzeby narażano i siebie, i Procjonidów. Przecież wystarczy chwilowe zakłócenie w pracy aparatury...

Niech gdzieś pole "puści", a człowiek czy statek przemieni się w bombę anihilacyjną. Ale oni już nie zwracali uwagi na niebezpieczeństwo. ---

Zamyślił się chwilę. --- Może zresztą niepotrzebnie ci to wszystko opowiadam?... Na pewno czytałeś w moich notatkach?

--- Nie, nie. Mów dalej. Jest tam tylko wzmianka o jakimś skarbie w świątyni i ucieczce mieszkańców miasta. Ale właściwie... nie wiadomo, o co chodzi.

--- O! To już było jakieś trzy miesiące później! Najpierw Loger wmówił sobie, że ma do spełnienia misję dziejową. Że trzeba na planecie założyć placówkę cywilizacji ludzkiej, która pełniłaby rolę ośrodka kierującego przemianami w społeczeństwie Procjonidów. Jak można jednak było mówić o wpływie cywilizacyjnym, kiedy Procjonidzi z reguły uciekali na widok naszych maszyn i chowali się w swych domach... Do wnętrza budowli na ogół nie można było się dostać, gdyż istoty te są znacznie mniejsze od nas. Właściwie nie był to żaden kontakt kulturalny, lecz tylko jednostronne obserwacje i badania.

--- Często dochodziło do starć?

--- W zasadzie badania ograniczały się do niewielkiej strefy o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych, a przede wszystkim do większego miasta, położonego w centrum tej strefy. Tu można było poruszać się dość swobodnie, ale w niektórych punktach globu próbowano nie dopuścić do lądowania naszych maszyn. Rosnące zaniepokojenie, a nawet agresywność poczęli Procjonidzi przejawiać wówczas, kiedy dla dokonania dokładnych badań i pomiarów zaczęto



wydobywać niektóre przedmioty z głębi budowli i innych miejsc trudno dostępnych dla automatów i ludzi w skafandrach polowych. Do otwartego starcia doszło na przykład w czasie badania struktury długiego elementu plastycznego, zdobiącego wąskie przejście między dwiema budowlami. Gordon próbował element ten oddzielić od ściany i został obrzucony kamiennymi kostkami. Oczywiście nie zrobiły mu żadnej krzywdy, gdyż nieduże pociski odbijały się od pancerza. Gdyby jednak miały większą masę lub prędkość --- mogłyby stać się niebezpieczne.

Innym razem tłum Procjonidów próbował spalić Logera we wnętrzu dużej, niskiej budowli. Loger zburzył im tę budowlę z zemsty, wystrzałem z pistoletu... Później tłumaczył się, że go poniosły nerwy, ale fakt pozostał faktem. Harter nie miał właściwie już czego wyjaśniać Procjonidom... Gdzież tu można było mówić o zaufaniu wzajemnym? Odtąd Procjonidzi nie próbowali nam się już czynnie przeciwstawiać... Aż dopiero... gdy doszło do historii ze świecą kula... Wiesz, w tej świątyni... w mieście, które nazywaliśmy "Stolicą Żółtego Kontynentu"... Loger uparł się, aby zabrać do Układu Słonecznego tę cudaczną kulę. Ja w tym udziału nie brałem. Ani razu nie polecałem na planetę.

--- Dlaczego?

--- Widzisz... --- zawahał się. --- To nie takie proste. Nie myśl, że chodziło tu tylko o to, iż nie miałem zaufania do skafandrów polowych. Ostatecznie... taka śmierć jest najlepsza. Oczywiście pod warunkiem, że pole puści nagle, a nie będzie powoli słabło, przepuszczając coraz więcej cząstek... Ale widzisz, to wszystko było coraz bardziej bezsensowne. Byłem przeciwny badaniom. Potem, gdy przeniesiono bazę do tej niby stolicy... --- i zmieniając nagle temat powiedział: A z tą kulą była naprawdę dziwna historia. Właściwie prawie wszystkie przedmioty, które oni wytwarzają, wywołują u wielu ludzi jakieś niezrozumiałe przyjemne uczucia. Może zresztą występuje tu zbiorowa sugestia... Nie wiem. W każdym razie ta kula miała w sobie coś, co działało na ludzi szczególnie silnie. I to chyba na wszystkich... Lang i Gribson przypuszczali, że chodziło tam o pewnego rodzaju oscylacje elektromagnetyczne, wywołujące w drodze indukcji takie zmiany w rytmach prądów czynnościowych ludzkiego układu nerwowego, które odczuwamy jako szczególnie przyjemne.

--- Ale chyba Procjonidzi nie wywoływali tych zjawisk celowo?

--- To był przypadek. Lang, Harter, Petersen i Kalen badali tę kulę. Chodziło o jakieś drgania kryształów, związane ze zmianami stanu elektrycznego. Oni znają wiele zjawisk elektrycznych. Potrafią wytwarzać zimne światło. Właśnie świecenie tej kuli miało taki charakter. Nie wiadomo, czy chodziło tylko o wrażenia odczuwane przez Procjonidów, czy też kula służyła jeszcze jakiemuś innemu celowi. Istniały podejrzenia, że odbierają oni znacznie szerszy zakres fal elektromagnetycznych niż człowiek... Nasze wyczulenie na te oscylacje miało z pewnością charakter przypadkowy.

--- To bardzo ciekawe zjawisko. Przecież odczuwanie piękna jest procesem złożonym --- począłem się głośno zastanawiać. --- Smak estetyczny nie jest dyspozycją wrodzoną, lecz nabytą. Wrażenie, które byłoby z gruntu, całkowicie nowe, nie może wywoływać wzruszeń estetycznych. Dopiero kiedy kojarzy się, niekoniecznie zresztą świadomie, z podobnymi wrażeniami utrwalonymi już w pamięci --- wówczas zaczyna się "smakowanie piękna".

--- Tak. Z tym uzupełnieniem, że to podobieństwo wrażeń niekoniecznie musi być ścisłe. Może tu chodzić o zupełnie luźne elementy. Gdy słuchamy nowej piosenki, już przy pierwszej zwrotce możemy stwierdzić, że się nam podoba, jeśli zawiera elementy, choćby tylko pojedyncze, które kojarzą się nam z czymś znanym.

--- Jak więc wytłumaczyć działanie tej kuli? Przecież przed przybyciem do Układu Procjona nikt z ludzi podobnej kuli nie widział?

--- Odczuwanie przyjemności, a więc i wzruszeń estetycznych wiąże się ściśle z charakterystycznymi oscylacjami elektrycznych prądów czynnościowych w korze mózgowej. Niektóre wrażenia zmysłowe są w stanie wywoływać takie oscylacje, przy czym siła ich rośnie prawdopodobnie drogą rezonansu, gdy odbierane wrażenia zbliżone są do utrwalonych

już w mózgu innych wrażeń. Nie znaczy to jednak, iż takich przyjemnych oscylacji nie można wywołać w sposób sztuczny, już nie tylko za pośrednictwem zmysłów, ale przez indukcję elektromagnetyczną. To, co ciągnęło ludzi do tej kuli, nie polegało więc, przy-

najmniej w działaniu pierwotnym, na jakimś "rozsmakowaniu się estetycznym". Raczej kula pociągała ludzi, jak płomień ciągnie do siebie ćmy...

--- I dlatego założono bazę tam, w tej świątyni?

--- Nie, nie --- zaprzeczył pośpiesznie mój przyjaciel. --- Działanie nie było aż tak silne, abyśmy stracili rozsądek. Z bazą była inna sprawa. Najpierw Loger próbował wytłumaczyć Procjonidom, aby przenieśli tę kulę na platformę transportową. Ale oni uciekli. Jednej nocy!... Całe miasto, mające chyba kilka milionów mieszkańców.

--- Świetnie musieli być zorganizowani.

--- Tak. To są bardzo zdolne potwoki. Gdyby dysponowali naszą techniką --- sytuacja mogłaby być bardzo nieprzyjemna. Loger, zakładając bazę, wybrał miejsce otoczone szczególną czcią Procjonidów, a zarazem przypominające trochę ukształtowaniem twierdzę. Początkowo wydawało się nieprawdopodobne, aby oni porzucili na zawsze tak wielkie, bogate miasto. Tymczasem minęły dwa tygodnie, a nikt nie wracał. Próby kontaktu, jak wiesz, nie dawały rezultatu.

Procjonidzi wyraźnie stosowali bierny opór. W tym czasie na dnie "amfiteatru" Loger z Petersenem zainstalowali pawilon i stamtąd robiono wypady w głąb miasta. Była tam niezliczona ilość dzieł sztuki. Niektóre lżejsze, przede wszystkim te? które nie były przymocowane do podłoża, udawało się przenieść do bazy za pomocą rakiety transportowej. W opustoszałym mieście obawiano się prowadzić badania pojedynczo. Mogło dojść do ataku, a wówczas... Jeśli badany przedmiot był bardzo ciężki lub silnie połączony z podłożem, sprawa

się komplikowała. Pola skafandrów czy robotów były za słabe, zaś o skonstruowaniu robotów z antimaterii, kierowanych zdalnie drogą radiową, tak jak to planował Loger, nie było mowy bez pomocy Procjonidów. Wreszcie Goldenowi przyszło do głowy, aby niektóre mniejsze, lecz bardziej interesujące przedmioty przetransportować w górę na orbitę Matterhorna. Tego było już za wiele, jak na moje nerwy. Oświadczyłem, że nie przyjmę ani jednego transportu i kiedy, mimo mego ostrzeżenia, przesłano kilka takich przedmiotów, zniszczyłem je, wywołując anihilację.

--- Czytałem o tym. Potem zamknął cię w śluzie?

--- Niewiele brakowało, a zdechłbym w tej dziurze z głodu i pragnienia. Uratował mnie robot-koordynator, otwierając właz awaryjny.

--- Jak to było możliwe?

--- Sam nie jestem pewny... Myślę, że po prostu coś mu się nie zgadzało wewnątrz statku. Miał on między innymi za zadanie czuwać nad bezpieczeństwem. Konstruktorzy nie wykluczali jakichś niespodziewanych wypadków, awarii, izolacji. Koordynator interweniował wówczas w taki sposób, aby przywrócić stan normalny. Widocznie moja kilkudniowa obecność w śluzie i dobijanie się do drzwi były dla koordynatora stanem nienormalnym.

--- Czy jesteś pewny, że Loger zamykając cię w śluzie chciał w ten sposób... --- nie dokończyłem.

Pokręcił przecząco głową.

--- Początkowo tak myślałem. Ale zdaje się, on nie miał zamiaru mnie wykończyć. Chciał mnie tylko izolować, uwięzić, abym nie wszedł w kontakt z Kalenem, Gibsonem i Harterem. Bał się buntu. Gdybyśmy mieli za sobą dwie trzecie załogi, Loger musiałby ustąpić. Dlatego trzymał tamtych wszystkich przy sobie w bazie... Mnie się bał najbardziej... Ale chyba nie chciał mnie zabijać. To był przypadek... Nie przewidział, że nie będzie mógł powrócić na statek.

--- I wszyscy oni zostali na planecie? Jak to się stało?

--- Ach, głupia sprawa. Potwornie głupia... Dali się żywcem pogrzebać! Sami wleźli w pułapkę. Gdy po raz pierwszy spojrziałem przez teleskop --- aż mi się zimno zrobiło... Baza stała na dnie "amfiteatru", tuż obok kuli. I niby wszystko było na miejscu, ale całe wnętrze świątyni, aż do brzegów ściętej piramidy, wypełniała jakaś szklista, przezroczysta masa. W pierwszej chwili myślałem, że to woda, ale to nie była woda.., Zakrzepłe szkliwo. A oni byli tam, w głębi... jak owady zatopione w bursztynie. Wszystkie roboty, nawet proste narzędzia skonstruowane w ostatnich dniach przez Petersena były tam na dnie zgromadzone wokół kuli, która przez ten kryształowy blok błyskała swymi wielobarwnymi światłami...

--- Co się właściwie stało?

--- Loger postanowił oderwać kulę od cokołu. Ściągnięto wszystkie roboty. Lecz kiedy udało się ją poruszyć, z otworu pod nią buchnęły od razu strumienie jakiegoś płynu. Pokrył on w parę sekund dno "amfiteatru", krzepnąc bardzo szybko. Ludzie z trudem zdołali schronić się do wnętrza pawilonu i połączonej z nim rakiety. Ale rakieta nie mogła już wystartować. Ta kleista substancja wypływała nie tylko z dołu. Płynęła również z kilku otworów bocznych, których istnienia nikt się nie domyślał. W kilka minut wnętrze świątyni było pełne.

--- I tyś na to wszystko patrzył?!

--- Nie. Porozumiewaliśmy się sygnałami świetlnymi, bo radio nie działało. Wtedy dowiedziałem się wszystkiego. Gdyż oni tam, w tej zatopionej bazie... żyli. A ja im pomóc nie mogłem --- dodał, jakby się usprawiedliwiając. --- Nie mogłem... Nie dysponowałem żadnymi narzędziami, żadnym środkiem transportowym zaopatrzonym w pole ochronne. Loger wszystkie rakiety połowę ściągnął tam, na planetę. Procjonidzi wybrali właściwy moment! Musieli nas stale obserwować. Bardzo dobrze wiedzieli, jak bezsilni stajemy się otoczeni stałą antymaterią...

--- A z wnętrza pawilonu? Nie można było?

--- Mówię ci przecież, że wszystkie narzędzia zostały zatopione! Unieruchomione w szklistej masie. W jaki sposób można przebić się przy pomocy pól przez antymaterię? Najwyżej stosując anihilację. A przecież to było niemożliwe. To oznaczałoby śmierć! Przede wszystkim promieniowanie gamma. Próbowali topić to tworzywo poprzez wzmożony nacisk pól, ale nic z tego nie wychodziło! Trzeba bardziej wysokich temperatur, a więc i chłodzenia. Tymczasem oni nie mogli szastać energią, nawet jeżeli wykorzystano by aparaturę chłodzącą silnik rakiety. Przecież gdyby zabrakło prądu, gdyby tylko na krótki moment nastąpiła przerwa w dostawie energii z reaktora --- cała baza zamieniłaby się w jedną superbombę anihilacyjną!

Umilkł, a ja tak byłem wstrząśnięty jego słowami, że nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu.

--- Nie wiadomo, czy jeszcze żyją --- podjął po chwili, patrząc w podłogę. --- Nie pamiętam, na jaki okres mogło starczyć energii robotom. Dość przecież, aby u jednego puściło pole. Tylko u jednego!... W ostatnich tygodniach roboty zużywały sporo energii... Jeśli chodzi o bazę i raketę --- to myślę, że Petersen mógł dać sobie radę. Mógł nawet stworzyć jakiś reaktor anihilacyjny, łączący naszą materię z antymaterią planety. Lecz ja im pomóc nie mogłem. Nie mogłem pomóc... Nie mogłem zabijać! --- wyrzucił z siebie głosem drżącym z jakiegoś wewnętrznego podniecenia. --- Bo Loger chciał, abym zmusił Procjonidów do uwolnienia bazy. A jak mogłem ich zmusić? Tylko niszcząc...

Uniósł głowę i patrzył mi długo, uporczywie prosto w oczy.

--- Powiedz! Czy mogłem inaczej?

--- Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Relacja jego, choć przekonywająca, była bądź co bądź jednostronnym spojrzeniem na wydarzenia tak niezwykle, że wymykały się one jakiegokolwiek próbie oceny przez analogię.

--- No, powiedz! --- nacierał mój przyjaciel. --- Czy ty... Ty byś postąpił inaczej?

--- Nie wiem... Chyba nie... --- powiedziałem niepewnie.

Przechylił Się gwałtownie przez tapczan i chwycił mnie za rękę, ściskając ją aż do bólu.

--- A więc tak... A więc myślisz, że trzeba było... że można było inaczej?

--- Nic nie myślę! --- zaprzeczyłem trochę szorstko, wyrывая dłoń

Z jego uścisku. --- Trudno tu wygłaszać jakieś kategoriyczne zdanie. Nie znam wszystkich okoliczności, nie znam możliwości technicznych, jakimi dysponowałeś...

--- Nie miałem żadnych możliwości... Mogłem tylko zabijać! Mogłem niszczyć... Więc ty sądzisz, że należało zmusić Procjonidów siłą?

--- Tego wcale nie powiedziałem. Czy próbowałeś im jednak wytłumaczyć tymi obrazami świetlnymi, że jeśli nie uwolnią twoich towarzyszy --- doprowadzą prędzej czy później do eksplozji anihilacyjnej, a więc starcia ich stolicy z powierzchni globu?

--- Wiedziałem, że zadasz to pytanie... --- odrzekł z goryczą. ---

Wszyscy pytacie tak samo... Jakby to zmieniało sytuację... A jeśli ich uwolnili, jaką masz gwarancję, że Loger nie zechciałby się mścić! Nie bój się zresztą --- starałem się im wytłumaczyć, jak sprawy stoją. Może ich zresztą uwolnili... Kto wie?... --- spojrział na mnie jakoś dziwnie. --- Tak. Na pewno ich uwolnili... Na pewno...

Byłem zaskoczony tą uwagą.

--- Co ty mówisz?! Przecież przed chwilą twierdziłeś, że...

--- Założmy, że oni nigdy nie byli uwięzieni --- powiedział, zmieniając głos. --- Że w ogóle nie było żadnej pułapki!...

Czyżby majaczył? Nie. To nie było nieprzytomne bredzenie. On to mówił zupełnie naturalnym tonem. Wydało mi się, że na jego wargach zaigrał na moment uśmiech, ale mógł to być również nerwowy grymas. Nagła myśl przebiegła mi przez głowę.

--- Więc to nieprawda, że baza została zatopiona?

--- Może... --- znów jakby się uśmiechnął.

--- Więc dlatego?... Dlatego nie bierzesz udziału w ekspedycji?

Wyraźnie pobladł. Oczy jego rozszerzyło zdziwienie. Ale obok tego zdziwienia nietrudno było dostrzec inne jeszcze uczucie --- lęk.

--- Co wiesz o ekspedycji? --- wyrzucił z siebie zdławionym głosem.

--- Wiem... Wiem, że za pięć dni fotonowiec SF 37 Mołnia ma wystartować z bazy specjalnej na Erosie. I wiem, że celem ekspedycji jest... Układ Procjona. Teraz wiem również, że jest to ekspedycja ratunkowa...

Podniósł się z tapczanu i stanął przede mną zaciskając pięści. Myślałem, że się na mnie rzuci.

--- Ty... ty... --- zachrypiał. --- Udawałeś... Cały czas udawałeś, że nic nie wiesz... Oszukiwałeś mnie! Więc nawet ty?! Nawet ty... Kanalia!

--- Ależ... Nie unoś się --- usiłowałem go uspokoić. --- Nie mam zamiaru wykorzystać tego, co tu od ciebie usłyszałem. Sądzę, że...

--- Wiem, że całe to spotkanie ze mną było komedią --- przerwał mi gwałtownie --- że to była gra obliczona na wyciągnięcie ze mnie jak najwięcej! Więc ta cała historia z emeryturą to było mydlenie oczu? A ja głupiec myślałem, że... po prostu tak jak wtedy... przed laty...

Czułem, że konieczne są szczere wyjaśnienia.

--- Nie okłamywałem cię, mówiąc że jestem na emeryturze. Pół roku temu wycofałem się z dziennikarstwa i nie mam zamiaru wracać. Na starość chcę się zająć wyłącznie pracą pisarską...

--- A jednak? --- spojrzał na mnie podejrzliwie.

--- Zwrócono się do mnie trzy dni temu... Stary kolega. Nie mogłem odmówić... Wiedział, że byliśmy przyjaciółmi. Zresztą... nie chciałem odmawiać. Chciałem zobaczyć się z tobą. Przypomnieć sobie dawne czasy...

--- Jesteś naiwny, jeśli myślisz, że ci uwierzę po tym wszystkim! Ty...

--- Jeszcze nie skończyłem! --- przerwałem ze spokojem. --- Nie przeczę, że koledze memu --- naczelnemu redaktorowi pewnego teledziennika --- chodziło o zdobycie bliższych informacji o anglo-rosyjskiej ekspedycji do Układu Procjona. Jak dotąd, nie wydano żadnego komunikatu w tej sprawie. Coraz uporczywiej powtarzały się też plotki o powrocie fotonowca Matterhorn. Mój kolega dowiedział się, że z tą zagadkową sprawą wiąże się twoje nazwisko.

--- Co znaczy "wiąże się"?

--- Mówiono, że ktoś, na kogo bardzo liczą --- odmówił udziału w wyprawie. I padło wtedy twoje nazwisko jako właśnie tej osoby... Kolega mój wiedział, że znałem przed trzydziestu laty astronautę o tym nazwisku. Prosił mnie więc, abym wszedł z tobą w kontakt i dowiedział się, jak rzeczywiście sprawy stoją. Była przy tym informacja, że tę poszukiwaną osobę można ostatnio spotkać dość często w Muzeum Sztuki Nieludzkiej. Okazało się, że informacje były ściśle, a że istotnie owym astronautą byłeś ty, więc...

--- I dlatego myszkowałeś po moim pokoju? I dlatego utrwaliłeś skrupulatnie na mikrofilmie treść wszystkich tych strzępków? --- powiedział z ironią, wskazując na maszynopis.

Znów czułem się jak smarkacz schwytyany na gorącym uczynku.

--- A więc widziałeś? --- zapytałem bez sensu.

--- Widziałem --- zaśmiał się sztucznie. --- Obserwowałem cię przez

cały czas. Nie myśl, że jestem taki głupi... naiwny... Od początku cię podejrzewałem.

--- Zaraz przy tobie zniszczę filmy.

--- Nie trudź się. Jeśli chcesz, możesz przekazać twemu koledze te zdjęcia z pozdrowieniem ode mnie. A może nagrałeś całą naszą rozmowę na taśmę?

--- Nie.

--- To szkoda. Trzeba było zabrać magnetofon. Miałbyś gotową audycję...

--- Ależ... Nie mam zamiaru ogłaszać treści naszej rozmowy.

--- Proszę bardzo! Możesz ogłaszać! Jeśli ci tak szalenie na tym zależy...

Czułem wyraźnie ironię w jego głosie. Nie wiedziałem, jak zareagować na tę dziwną zmianę w zachowaniu się mego przyjaciela.

--- Dlaczego? Nie bardzo rozumiem, dlaczego się zgadzasz? Przecież jeśli nie ogłoszono dotąd żadnej wiadomości, to chyba informacje te są poufne? Jeśli zależałoby ci na ich ogłoszeniu, miałeś dość okazji...

Przyjaciel mój, stojący dotąd przede mną --- usiadł ponownie na tapczanie. Znów przez dłuższą chwilę patrzył mi z uporem w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, o czym myślę.

--- Pytasz, dlaczego już nie zabraniam ci publikacji tego, o czym się tu dowiedziałeś? --- wycedził wolno. --- Wydaje ci się dziwne? Może masz i rację, to wygląda dziwnie. Coś się tu nie zgadza! Ostatecznie, można uwierzyć w to, że jestem jedynym członkiem załogi Matterhorna, który powrócił na Ziemię, że ta wyprawa niezbyt piękną zapisała kartę w rozwoju astronautyki. Można uwierzyć, choć z punktu widzenia naszej nauki wydaje się to bardzo mało prawdopodobne, że Układ Procjona zbudowany jest z antymaterii. Można nawet jakoś uzasadnić,

dlatego całą sprawę trzyma się w tajemnicy. Przecież tego rodzaju --- najłagodniej mówiąc --- skandaliczny konflikt jest nie tylko niezmiernie przykry z punktu widzenia moralnego dla nas samych, ale może pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje polityczne. Cóż. na to powiedzą mieszkańcy Układu Syriusza, z którymi tak pomyślnie układała się współpraca? Czy nie będzie to przeszkodą w rozwoju stosunków międzyświatowych? Można więc uznać za rzecz zrozumiałą, że trzeba całą sprawę zlikwidować w zarodku, zanim fama o wyczynach ludzi w Układzie Procjona rozniesie się po układach planetarnych najbliższych gwiazd. Trzeba wysłać drugą ekspedycję, która zbada wszystko dokładnie na miejscu. Wiele punktów może zresztą budzić wątpliwości. Choćby to, czy słusznie postąpił jeden z uczestników owej nieszczęsnej wyprawy, pozostawiając swych towarzyszy w tamtym świecie, może na pewną śmierć. Nawet niezależnie od intencji, którymi się kierował... W to wszystko łatwo było ci uwierzyć. Ale nie możesz pojąć, dlaczego tak chętnie godzę się na opublikowanie... A może nietrudno to zrozumieć? --- zaśmiał się nieprzyjemnie.

--- Więc?

--- A jeśli wszystko jest... kłamstwem?

Poruszyłem się niespokojnie. Co mogły oznaczać jego słowa? Czekałem na dalsze wyjaśnienia, ale on znów milczał.

--- Co miałoby być kłamstwem? --- odezwałem się wreszcie.

--- Powiedzmy... wszystko!

--- Ale przecież ekspedycja Matterhorn poleciała rzeczywiście do Układu Procjona. A teraz Molnia...

Nie o tym mówię. Lecz choćby taka drobna sprawa --- jaki masz dowód, że brałem udział w ekspedycji Matterhorn? --- kpił w żywe oczy.

To można ostatecznie sprawdzić w materiałach archiwalnych...

--- A to wszystko, o czym ci opowiadałem... Czy masz w ręku jakikolwiek dowód?...

--- Przecież mówiłeś, że masz zdjęcia Procjonidów!...

--- Owszem, mówiłem. Ale czyś je widział?

--- No... a te kartki? --- wskazałem na leżące obok fotela maszynopisy.

--- Myślisz, że tylko ty jeden chcesz pisać powieści?... --- znów zaśmiał się sztucznie.

--- Nie wierzę! Teraz kłamiesz! A zresztą w tamtym pokoju.

--- Ach! Jeśli o to chodzi... --- wstał z tapczanu i otworzył drzwi.

Uczułem nieprzyjemny skurcz w gardle: „A jeśli on jest obłąkany?”

--- Chodź tu! I patrz! --- podszedł do stojącej na środku pokoju maszyny i odsunął klapę.

We wnętrzu komory, tak jak poprzednio, tkwił nieruchomo w przestrzeni tajemniczy przedmiot.

Przyjaciel mój uniósł dłoń i ujął palcami jeden z kilkudziesięciu przełączników umieszczonych na tablicy sterowniczej.

--- Nie! --- Chwyciłem go kurczowo za ramię.

Pokręcił przecząco głową.

--- Nie obawiaj się. Nie jestem samobójcą ani tym bardziej mordercą...

Przekręcił wyłącznik. Okienko kontrolne rozjaśnił ostry błysk. W miejscu, gdzie przed chwilą unosiła się „rzeźbka”, widniał obłoczek niebieskawego dymu, rozplywający się szybko we wnętrzu komory.

--- Co to było? --- zapytałem zaskoczony.

--- Kopia. Wąsko wyspecjalizowany automat odtwarza zapisy.

--- Kopia czego?

Na to pytanie nie otrzymałem odpowiedzi. Mój przyjaciel spojrział w okno i rzekł:

--- Już świta. Czas zabrać się do roboty.

Zrozumiałem, że chce zostać sam. Postąpiłem parę kroków ku drzwiom i zawahałem się. Czułem, że nie powinniśmy tak się rozstać.

--- Kiedy się zobaczymy? --- zapytałem niepewnie.

--- Nie wiem. Może znów za dwadzieścia parę lat...

--- Wyjeżdżasz?

--- Tak. Chyba jeszcze dziś.

--- Na Erosa?

--- Może... --- odparł wymijająco, odprowadzając mnie ku wyjściu.

--- Nie będę o tym pisał --- powiedziałem już w drzwiach. --- Może

kiedyś... W dalekiej przyszłości...

Położył mi rękę na ramieniu i uściśnął mocno, tak jak w tamte, dawne lata.

**Bogdan Lekszycki**  
**SZKARŁATNA IGLICA**

Chelsea, londyńska dzielnica na lewym brzegu Tamizy, tonęła w gęstej, żółtawej mgle. Już w promieniu wyciągniętego ramienia napotykały oczy jakby nieprzenikniony mur, poza którym nie było widać nic. Ustał wszelki ruch kołowy, a nieliczni przechodnie wlekli się noga za nogą przesuając ręce --- jak ślepcy --- po murach mijanych kamienic.

Państwo Crafford, oboje w nieszczęśliwych humorach z uwagi na brak licznych zazwyczaj o tej porze dnia klientów, oglądali w swym zasobnym sklepie korzennym ogromny obraz przyniesiony na sprzedaż przez maleńkiego, zbiedzonego staruszka. Zastanawiali się, jakim cudem ten stary, wycieńczony człowiek zdołał przytaskać w czasie podobnie nieprzeniknionej mgły taki ciężar i dlaczego przydźwigał go akurat właśnie tu?

--- Przydałby się do naszego salonu, nad otomanę --- szepnęła Mrs Crafford. --- Co o tym sądzisz, Oliverze?

--- Ba! --- wieloznacząco odrzekł kupiec i skrzywił się z wyraźną dezaprobatą.

--- Ma piękne, złocone ramy, jakby umyślnie dostosowane do naszego umeblowania.

--- I jest bardzo ponury, o wiele za ponury, powiedziałbym.

--- Cóż z tego? Za to niezmiernie oryginalny! Nigdy jeszcze nie widziałam malowidła, które wywierałoby na mnie tak silne wrażenie.

--- Hm! Ty się chyba lepiej znasz na tym, Kate. Co do mnie... Cóż, jestem przecież zupełnym profanem, jeśli chodzi o sztukę, i nie mam, jak wiesz, żadnych ambicji w tym kierunku.

Poczerniałe ze starości malowidło nie było opatrzone podpisem swego twórcy, ale na pewno nie należał on do bezimiennej rzeszy tuzinowych malarzy, sprzedających swoje obrazy w cenie od szylinga do półtora gwinei za sztukę, zależnie od stopnia zainteresowania kupującego.

Z płótna wiała niepojęta groza, choć treść obrazu na pozór tego nie usprawiedliwiała. Był to pejzaż marynistyczny: wzburzone morze, oblegające samotną skałę, wynurzającą z głębin swe brunatne, poszarpane i spękane cielsko. Ciężkie, ołowiane niebo zwisało tuż nad ostrą iglicą skały i zdawało się sprzymierzać przeciw niej z rozszalałymi falami. Wysoko, w chmurach, złocił się wężyk piorunu, którego grot wymierzony był w iglicę. Wszystkie żywioły sprzysięgły się przeciw samotnej grudce skruszałego kamienia, aby roznieść ją w kawałki, rozbić w proch i pograć w odmętach.

--- Co oznacza ten obraz? --- zapytała Ars Crafford.

Kiedyś, przed wielu laty, na wystawie w Southwark zatytułowany był: Przeznaczenie --- odrzekł staruszek, bezbarwnym głosem. --- Może dlatego... --- zawahał się, gorliwie wycierając przybrudzoną chusteczką załzawione oczy.

--- Mów pan śmiało --- zachęcał kupiec.

--- Może dlatego, mister, że obraz ten posiada pewną niezwykłą właściwość. Oto skała zmienia barwę z brunatnej na szkarłatną, gdy w rodzinie posiadacza malowidła ma zdarzyć się jakieś nieszczęście. Ściślej: gdy w rodzinie ma ktoś umrzeć. Obraz przepowiada śmierć z tak bezwzględną trafnością, jakby rzeczywiście symbolizował nieubłagane przeznaczenie...

--- Co to za głupstwa! --- oburzyła się Mrs Crafford wzruszając pełnymi ramionami. --- Czy pan chodzi do kościoła?

--- Chodzę, mistress --- szepnął zmieszany staruszek. --- Co prawda niezbyt regularnie, ale...

--- To właśnie jest powodem, że wierzy pan w takie brednie. Gdyby pan częściej, przynajmniej w każdą niedzielę uczęszczał do kościoła i uważnie słuchał kazań naszego niezrówanego Mr Thetwaya, na pewno dusza pańska dostąpiłaby łaski poznania odwiecznych prawd.



--- Ciekawym, czy i panu obraz przepowiedział nieszczęście? --- zapytał Mr Crafford z dobrotliwą ironią, kryjąc uśmiech pod krótko przyszytym wąsem.

--- Niestety, przepowiedział. I dlatego wierzę w niepojętą moc tego malowidła. Dlatego właśnie, nie z innego powodu.

--- Cóż panu przepowiedział, jeśli wolno zapytać?

--- Na parę godzin przed tragiczną śmiercią mojej żony, mister, skała przybrała tak jaskrawo szkarłatną barwę, że zdawała się płonąć. I proszę mi wierzyć, że od tej pory straciłem na zawsze połowę własnej duszy...

Ból dźwięczący w głosie staruszka wzruszył Mrs Crafford. Zamrugła szybko powiekami, których rzęsy musiały kiedyś zwracać powszechną uwagę londyńskich młodzieńców swą niezwykle długością. --- Na pewno był to tylko zbieg okoliczności, nic więcej --- rzekła łagodnie. --- Sądzę, że nie zdarzyły się panu inne nieszczęścia, które potwierdziłyby pańskie mniemanie o niepokojącej właściwości obrazu.

--- Nie, nie zdarzyły się, mistress. Eve była jedyną istotą, jaką posiadałem na tym przesmutnym świecie.

--- I teraz pragnie pan sprzedać obraz, który tak trafnie przepowiedział panu jej śmierć...

--- Jestem już stary i niewiele pozostaje mi życia. Nie chciałbym, ażeby po mojej śmierci malowidło wydarte zostało z ram i uległo zniszczeniu. A łatwo mogłoby się to zdarzyć, gdyby dostało się w niewłaściwe ręce.

--- Na ileż pan ocenia swoją własność? --- zapytała Mrs Crafford, której próżność, właściwa większości ludzi, mile polechtana została słowami staruszka, choć szczególna intonacja, z jaką były one wypowiedziane skłaniała raczej do zastanowienia.

--- Pięć funtów, mistress. Tyle właśnie...

--- Sądzę, że możemy zapłacić tę sumę, Olivierze, jak myślisz? Co "tyle właśnie"? --- zwróciła się do staruszka.

--- Jeżeli pragniesz koniecznie nabyć ten obraz, Kate...

--- Ucieszy się nim nasz drogi Jack, zobaczysz! Wiesz, jak on lubi widoki morza, szczególnie wzburzonego.

--- Tyle właśnie będzie kosztował mój skromny pogrzeb, mistress.

--- Pański pogrzeb? Ale pan... pan jest chyba... --- z trudem powstrzymała się od nakreślenia na czole kółka. Biedny staruszek! Chyba trochę zbzikował po stracie swojej Eve...

Posępne płótno, symbolizujące przeznaczenie, zawisło tegoż wieczora w salonie państwa Crafford, doskonale harmonizując swymi złoconymi ramami z umeblowaniem tego zbyt kornie, choć może niezbyt gustownie urządzonego pokoju.

\*

W pół roku później --- było to skwarne lato --- kupiec ze swą małżonką w radosnym nastroju spożywali lunch. Mieli poważne powody do zadowolenia: nie tylko obroty tego dnia w sklepie były niebywale wysokie, ale ponadto udało się im niezwykle korzystnie nabyć znaczną partię towarów kolonialnych. Zysk sto na sto! Takie okazje nie zdarzają się co dzień.

Mr Crafford ocierał właśnie usta serwetką, gdy nagle z przyległego salonu dobiegł ich uszu cichy syk, przypominający prychnięcie rozdrażnionego kota.

--- Skąd tu wzięło się jakieś obrzydłe kocisko? --- zawołała Mrs Crafford wybiegając z pokoju.

--- Co tam, Kate? --- zapytał kupiec tłumiąc śmiech, wiedział bowiem, że małżonka czuje nieuzasadnione uprzedzenie do kotów, którego on wcale nie podzielał. Przeciwnie, lubił te puszyste, przyjemne, mruczące stworzenia, choć zresztą nigdy nie próbował nakłonić żony, aby zgodziła się przyjąć do domu jedno z nich.

--- Chodź, zobacz sam...

Już od progu spostrzegł, że samotna iglica na obrazie płonie intensywnym szkarłatem. Zdawała się żarzyć jak kawał

rozpalonego metalu i rozświecać całą powierzchnię malowidła, które przybrało rdzawe zabarwienie jak niebo przed gwałtowną burzą gradową.

--- To jakaś chemiczna sztuczka... --- rzekła z przekonaniem Mrs Crafford. --- Nic innego.

--- Chyba nie spotka nas nieszczęście, Kate? --- zażartował mąż odpinając nieznacznie guzik kamizelki, uciskającej go dotkliwie.

--- Ach, nie myślę nawet o tym! Ciekawi mnie jednak, na czym naprawdę polega ta nagła zmiana zabarwienia i to dziwaczne syczenie. To, że to tylko sztuczka, nie mam żadnych wątpliwości.

Iglica tymczasem przygasła i po chwili przybrała zwykły kolor. Małżonkowie powrócili do swych codziennych zajęć i zapomnieli o obrazie, ruch bowiem w sklepie bardziej jeszcze wzrósł po przerwie południowej.

Wieczorem w domu kupca zapanowała żaloba: nadeszła depesza z kancelarii pułkowej, że jedyny ich syn, ukochany Jack, przypadkowo zginął na manewrach wskutek przedwczesnego wybuchu granatu zaczepnego.

--- Starzec mówił prawdę... --- szlochał załamany cierpieniem ojciec. --- A tak beztrosko żartowaliśmy z jego słów...

--- Obraz?... Och, nie, nie, Oliverze! Nie mów tak. Nam, chrześcijanom, nie wolno wierzyć w takie rzeczy. Przypomnij sobie nauki wielebnego Thetwaya. Cóż obraz? To tylko zbieg okoliczności, nic więcej. Kochany, najdroższy Jacku, dlaczego odszedłeś od swoich starych rodziców? Czyż nie lepiej byłoby, aby raczej twoja biedna matka, nikomu niepotrzebna...

Reszta słów Mrs Crafford utonęła w rozpaczliwym łkaniu.

\*

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Życie w starej kamieniczce na Chelsea znowu płynęło zwykłym, utartym torem. Mr Crafford przesiadywał w sklepie, jego żona częściej krzątała się po domu, w handlu bowiem panował zastój.

Późną wietrzną i dżdżystą jesienią przebudził małżonków wśród nocy ten sam cichy syk, który usłyszeli niegdyś w czasie lunchu. Crafford spostrzegła z zaniepokojeniem, że iglica wyobrażona na starym malowidle płonie w ciemności pokoju jak szkarłatny neon, rzucając złowróżbne refleksy na meble i tapety.

Małżonkowie bezsennie oczekiwali świtu, wzajemnie kryjąc przed sobą trwogę, która ich nurtowała. Mimo woli przypominali sobie tragiczną wieść otrzymaną po pierwszym rozbłyśnięciu iglicy.

I oto o szarym, zamglonym brzasku posłaniec doręczył im depeszę, zawiadamiającą o zgonie matki Mr Crafforda, którą oboje niezmiernie kochali za jej niezmaçoną pogodę i dobroć. Staruszka odwzajemniała ich uczucia, nie robiąc żadnej różnicy między swym synem a jego żoną, jak to często się zdarza innym matkom. Mieszkała w maleńkiej farmie w jednej z podlondyńskich wsi, nie chcąc opuszczać domu, w którym długie lata szczęśliwie spędziła z mężem i w którym wychowała swoich dwu synów. Wraz ze starą Brygidą, która wypiaستowała obu jej chłopców, hodowały rasowy drób i uprawiały niewielki warzywnik. I oto odeszła.

Od tego czasu małżonkowie z trwogą spoglądali na złowróżbny obraz. Mrs Crafford, której wrażliwe sumienie --- pod wpływem krasomówczych kazań pastora, Mr Thetwaya wyrzucało poddawanie się przesądom, codziennie przy sprzątaniu skrupulatnie oglądała ze wszystkich stron malowidło, daremnie usiłując poznać jego tajemnicę.

\*

Któregoś wieczora rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Pora była już późna, małżonkowie więc, zamierzający właśnie udać się na spoczynek, spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Któż to mógł być? Może posłaniec z depeszą... Czyż znowu jakaś tragiczna wiadomość? Ale chyba nie, bo skalna iglica...

Mr Crafford zajrzał z pewnym wahaniem do salonu, a upewniwszy się z niezmierną ulgą, że obraz nie zmienił barwy, pospieszył, aby otworzyć spóźnionemu gościowi.

Na korytarzu stał jakiś mężczyzna w szarym prochowcu. Twarz jego wydała się kupcowi dziwnie znajoma, ale nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie i kiedy ją widział. Otwierał już usta, aby rzucić pytanie: "Czym mogę panu służyć, mister?", gdy smutny uśmiech, wypływający na zwiędłe wargi przybysza, uświadomił mu, kim jest nieznanemu.

--- Jimmy, to ty?! --- wykrzyknął. --- Och, Boże, jak bardzo się zmieniłeś! Chodźże. Ty chyba musisz być poważnie chory...

Jim Crafford, jedyny brat kupca, rzeczywiście był chory. Ucałował drżące ręce bratowej i z głębokim smutkiem spojrzawszy w jej pociemniałe oczy dowlókł się do fotela i bezsilnie opadł na siedzenie.

--- Przyjechałem pożegnać się z wami, kochani... --- rzekł z wysiłkiem. Głos jego, dawniej dźwięczny i zdradzający niewyczerpane siły życiowe, był cichy i bezbarwny. --- Już nigdy więcej nie zobaczymy się...

--- Nie mów tak, Jimmy, na Boga! --- zawołała Mrs Crafford. --- Nie wolno ci tak mówić, słyszysz? --- W głosie jej dźwięczała taka rozpacz, że mąż spojrzął na nią zaskoczony.

"Więc jednak kocha go nadal" --- pomyślał. --- "Kochała go zawsze, cały czas, pozostała wierna swojej miłości przez tyle długich lat..." Serce ścisnęło mu się z żalu, że to nie on, Oliver, posiada jej uczucia, że nie posiadał ich właściwie nigdy...

Wiedział, że jego żona jako młoda dziewczyna gorąco kochała Jima. Nigdy się z tym nie kryła. On jednak zawsze był wobec niej uprzejmy, obojętny: kobiety nie odgrywały żadnej roli w jego życiu, które bez reszty poświęcił nauce. Jima pasjonowała jedynie fizyka, a szczególnie jej najmłodsza i najbardziej obiecująca latorośl --- atomistyka. Po ukończeniu studiów, które pochłonęły całą część jego schedy po ojcu, Jim wyjechał do jakiejś małej miejscowości w pobliżu Birmingham, gdzie otrzymał korzystną posadę przy budowie cyklotronu i tam już pozostał, niestrudzenie pogłębiając dalej swoją wiedzę. Do Londynu nie

przyjeżdżał nigdy; nie był nawet na pogrzebie matki, choć kochał ją bardzo. Listy od niego przychodziły niezmiernie rzadko i odznaczały się niezmierną lakonicznością. I teraz zjawił się niespodzianie --- szary, wychudły, wyniszczony i niewątpliwie poważnie chory...

--- Co ci właściwie jest, Jimmy? --- zapytał kładąc rękę na ramieniu brata.

--- Tak zwana choroba popromieniowa --- odrzekł bezdźwięcznie fizyk. --- To skutki działania promieni gamma. Zbyt wielką ilość rentgenów wchłonęło moje ciało, abym mógł dłużej pożyć niż kilka miesięcy. Wypadły mi już niemal wszystkie zęby --- otwarł usta demonstrując bezzębne, sinawe szczęki. --- Poza tym --- złośliwa anemia. Pakują we mnie olbrzymie dawki witamin i antybiotyków, przetaczają krew, ale doskonale zdają sobie sprawę, że wszystko to na nic.

Mrs Crafford przypadła z jękiem do jego stóp. Już nie dbała o utrzymanie pozorów, było jej wszystko jedno, co pomyśli o tym mąż. Nie jest zresztą chyba tak ograniczonym głupcem, aby nie domyślał się, że tylko dla jego ludzającego podobieństwa do brata zgodziła się wyjść za niego za mąż.

--- Ty nie umrzesz, Jimmy! Będziesz żył! Musisz żyć!

Fizyk potrząsnął głową i położył wychudłą dłoń na puszystych włosach bratowej, które nic jeszcze nie straciły ze swego dawnego uroku.

--- Przebacz, Kate, i ty, Oliverze... Przebaczcie oboje, że w tak egoistyczny sposób zakłócam wasze spokojne i zrównoważone życie, ale to pierwszy i ostatni raz. Musiałem pożegnać się z wami przed wyruszeniem w drogę, z której już nie ma powrotu, której kresem jest tylko nicość i mrok. Raz jeszcze proszę cię o przebaczenie, mój bracie, ale muszę to wypowiedzieć. Widzisz, ja wiedziałem, że Kate mnie kocha, i wiem, że miłość jej do mnie nie wygasła do dziś. Gdy zrozumiałem, że nie ma już dla mnie ratunku, poczułem głęboki żal,

że to nie ja jestem mężem Kate, że może moje życie byłoby pełniejsze, gdyby... Cóż, każdy człowiek wybiera sobie swój los,

ale jakkolwiek wybrałby --- zawsze u kresu życia będzie miał wątpliwości, czy wybrał trafnie...

Urwał dla zaczerpnięcia głębszego haustu powietrza.

Mrs Crafford klęczała nieruchomo u jego nóg tuląc w dłoniach zapłakaną twarz. Jej mąż chodził po pokoju tam i z powrotem, z boleśnie ściągniętymi brwiami. Doznawał bardzo skomplikowanych uczuć, w których nie umiał się zorientować.

--- Nie, Jimmy, nie mam żalu do ciebie ani do Kate --- rzekł wreszcie przystając przed bratem. --- Jestem tylko zwykłym kupcem o niewielkim wykształceniu, ale wiem przecież, że są uczucia silniejsze od człowieka, uczucia, które mogą przesłonić cały świat. Pozostaje tylko kwestia, czy takie uczucia czynią człowieka szczęśliwym, czy też napełniają go goryczą, bo przecież wszystko co ludzkie zawsze jest niedoskonałe i niepełne. Zawsze!

Mrs Crafford opuściła ręce i spojrzała w twarz męża wyrażającą głęboką rozterkę. Takiego Olivera dotychczas nie знаła. Czy to ten sam jej mąż, dla którego zdawało się nic nie istnieć poza handlem i wygodami domowego ogniska. Więc i on myślał, może nie tymi kategoriami co Jimmy, ale jednak myślał...

A fizyk powstał nagle z fotela i wymijając wciąż jeszcze klęczącą bratową wszedł do salonu. Przez otwarte drzwi pokoju, w którym Mr Crafford zapomniał zgasić światło, dostrzegł obraz i teraz stał przed nim głęboko zadumany.

--- Szczególne malowidło --- rzekł wreszcie. --- Cóż za napięcie grozy! Ten malarz był geniuszem...

Usłyszawszy o osobliwej własności starego płótna, potrząsnął głową.

--- Nie sądzę, ażeby miało to coś wspólnego z chemią, Kate. Raczej z fizyką, z elektroencefalografią. Istnieją wprawdzie substancje chemiczne zmieniające swoje zabarwienie pod wpływem zmian w nasileniu światła, ciepła czy stopnia wilgotności powietrza, ale tu przecież czynniki te nie wchodzą w rachubę. Nie, przypuszczam, że chodzi tu o coś nierównie bardziej interesującego --- o siłę myśli ludzkiej, szczególnie intensywnej w chwili konania, chociażby nawet człowiek umierał bez przytomności. Gdzież kierują się ostatnie myśli konającego? Myślę, że do ludzi najbardziej kochanych, których nie zobaczy się już nigdy więcej...

--- Ależ cóż, na litość Boga, ma z tym wspólnego iglica?

--- Może jest odbiornikiem fal myślowych? Kto to wie... W elektroencefalografii zaczynamy dopiero raczkować.

\*

I raz jeszcze w domu państwa Crafford rozbłysła upiorna iglica. Stało się to w kilkanaście miesięcy po śmierci matki Mr Crafford, tuż przed powrotem małżonków z wizyty u sąsiadów, wesołych i gościnnych państwa Thomasów.

Na widok przygasającego już szkarłatnego blasku, Mrs Crafford krzyknęła rozpaczliwie:

--- Jimmy nie żyje!

Wieczorem wiedzieli już na pewno, że fizyk umarł. Depesza dyrekcji cyklotronu spod Birmingham nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

\*

--- A więc jesteśmy już sami, zupełnie sami, Olivierze... --- szepnęła żałośnie Mrs Crafford, stając w drzwiach salonu. Jej postarzała twarz mogła budzić najgłębsze współczucie. --- Straciliśmy wszystkich, których kochaliśmy i obraz nie przepowie już nam żadnego nieszczęścia... Powiedz mi, dlaczego Mr Thetway zaprzecza tak oczywistym faktom? Tak bardzo, tak głęboko zawsze wierzyłam w nieomylną prawdę jego nauk i oto teraz...

--- Nie wiem, Kate, dlaczego pastor jest niepoprawnym ignorantem, to wszakże wiem, że nie ścierpię tego obrazu w naszym domu dnia dłużej --- rzekł stanowczo kupiec.

--- Ależ dlaczego, Oliverze? --- zdumiała się kobieta. --- Przecież...

--- Pomyśl, że jest nas jeszcze dwoje. Czy chciałabyś, aby pewnego dnia znowu zapłonęła ta straszliwa iglica zwiastując ci moją śmierć? Czyż nie oczekiwałabyś z niepokojem tego momentu? Przecież już tylko ja ci pozostałem, Kate --- podkreślił z pewną goryczą. --- Nie potrafiłbym znieść myśli, że w każdej chwili to upiorne malowidło może rozbłysnąć szkarłatem i... Nie, nie! Po stokroć wolę nic nie wiedzieć! Nie mógłbym spać spokojnie, nie mógłbym przełknąć łyżki stawy, lękałbym się zajrzeć do salonu, gdy powracam wieczorem ze sklepu. Nie chcę dłużej widzieć tego obrazu!

--- Masz słuszność, Oliverze... Co z nim zrobimy?

--- Sprzedam obraz Mr Smithowi, dam mu go darmo wreszcie, jeżeli nie zechce kupić.

--- Sprzedaj... Może tak będzie lepiej.

Spojrzała na męża i w sercu jej obudziło się jakieś cieplejsze uczucie dla tego dobrego i --- mimo wszystko --- kochającego ją człowieka.

\*

Nazajutrz obraz zawisł wśród innych malowideł w mrocznej antykwarni Mr Smitha. Niedługo czekał na nabywcę: w kilka dni później kupił go za wysoką kwotę jakiś nie znany antykwariuszowi cudzoziemiec, wyglądający na zeuropeizowanego Hindusa.

--- Choć może był to Indonezyjczyk albo Birmańczyk? Kto by tam rozpoznał tych brunatnych diabłów! --- mówił wzruszając chudymi ramionami Mr Smith. --- Jedno mnie tylko trochę zastanowiło. Ten brunatniak stał przed obrazem i wpatrywał się w niego jak sroka w kość, coś tam mrużąc po ichniemu. Co otwarł oczy --- skała na obrazie zaczynała czerwono świecić, co przymknął powieki --- skała gasła. Jakiś magik, fakir czy co? Oni takie rzeczy podobno potrafią. Nic mnie to zresztą nie obchodzi, ale warto było popatrzeć.

I z błogim uśmiechem zadowolenia wciągnął w olbrzymi nos porcję tabaki.

**Konrad Doberschütz**

## ESPERANTA

Przewody krzyżowały się w różnych kierunkach, tworząc nad białą plamą łoża misterną sieć. Rozwarta paszcza reaktora rzucała ultrafioletowe światło na nagą postać. Olbrzymie kondensatory, stojące w rogu sali, pracowały bez przerwy sygnalizując wzrost energii. Doktor Rosario spojrział powtórnie na skalę. Za przejrzystą cykloidową ścianą komory stała w bezruchu grupa lekarzy. Strzałka sygnalizatora drgała bez przerwy, nie przekraczając jednak jałowego pola „0”. Wzrok lekarza ześliznął się powoli po żółtym przewodzie, aż zatrzymał się na piersi leżącego mężczyzny. Między drugim a trzecim zębem, gdzieś

w okolicy serca przewód się kończył. Różowe pasma leukoplastru zalepiały szczelnie otwór, przez który przepływały nieustannie strumienie energii.

Impulsator krwi nie pracował już, czerwony wskaźnik stał nieruchomo na linii „4,2”, nie przepuszczając więcej życiodajnego płynu.

Już od kilku godzin skóra leżącego zaczęła lekko różowieć. Wolno, bardzo wolno znikwały szare plamy na udach i piersi. Jednocześnie na prawej łydce i wzdłuż szyi wystąpiły obrzmienia. Doktor Rosario włączył eliminator napięcia, ściągając przy tym z czoła megaton. Przesuwając ręką wzdłuż obrzmienia łydki mówił coś powoli i dobitnie. Mała, czarna tarcza

megafonu wchłaniała najdrobniejszy dźwięk.

\*

Sala telewizyjna na dwudziestym trzecim piętrze Akademii Zdrowia zapełniona była tego dnia do ostatniego miejsca. Pierwsze rzędy zajęli najwybitniejsi chirurdzy Esperanty, wśród których odznaczał się długą zwichrzoną brodą doktor Ontario. Wszyscy w napięciu patrzyli na płótno telewizora. Rosario wskazywał właśnie obrzmienie łydki. Eliminator pracował. Powoli obrzmienie ustępowało. Z ekranu płynął spokojny, opanowany głos lekarza. Teraz należało włączyć neur-atom, czyli atomowy kondensator wstrząsów --- i długoletnie badania Akademii wokół teorii Rosario będą sprawdzone w praktyce.

Chirurg sprawdził jeszcze raz działanie neur-atomu. W cykloidowym cylindrze przebiegły wzdłuż błękitne iskry. Tak, teraz można. Czuł, że to, co teraz zapowie przez megafon, może go pogrążyć w rozpacz. Siły nagle zaczęły go opuszczać.. Tyle lat obrony własnej teorii i naraz, kiedy jest o krok od ujawnienia tajemnicy śmierci, kiedy wystarczy tylko wyciągnąć rękę --- znużenie przytłacza go i ciąży u nóg i rąk.

Wszystko to trwa sekundę. Czarny hebel opada. Iskry krzyżują się nad leżącym ciałem, które jednak pozostaje nieruchome. Jeszcze raz do góry --- i nagle w dół. Zdaje się, że w tym ruchu lekarz zamknął całą nadzieję. Czy Ontario go zrozumie?

Nagle ciało drgnęło. Pod zaróżowionym naskórkiem zaczyna pulsować krew. Znowu hebel do góry i raptem w dół. Syk iskiek, trzask rozładowanej elektryczności i naraz... tak, tak, to nie złudzenie. Pierś leżącego niedostrzegalnie unosi się i opada...

Iskry nikną. Lekarz przypada do nagiej piersi. W stetoskopie odzywa się teraz dalekie, lecz regularne bicie serca.

\*

W monotonny szmer deszczu wdziera się głuche dudnienie. Jaskrawe błyski rozdierają co chwilę ciemną jak atrament noc. Dudnienie na moment niknie i równocześnie wysoki metaliczny dźwięk rozsadza ciemności. Wreszcie wszystko cichnie. Pozostaje tylko szmer spływającego po ścianie deszczu. Ale i ten rozplywa się powoli w lepkiej przestrzeni. Ciemność ustępuje szarym plamom, które wirują z zawrotną szybkością. Plamy nabierają kolorów. Od ciemnego fioletu poprzez niebieskie, zielone, pomarańczowe. Krażą już z mniejszą szybkością, aż raptem giną w powietrzu. Znowu ten plusk deszczu, a równocześnie ucisk w okolicy serca. Ciężkie powieki otwierają się wolno.

Człowiek unosi głowę. Plusk dochodzi gdzieś z tyłu. Głowa obraca się wolno, ciężka, senna, lecz w tej chwili wzrok dostrzega białe postacie. Lekarze stoją nieruchomo jak rzeźbione figury. Człowiek siada na łóżku, rozgląda się zdziwiony po otaczających go twarzach jak obudzony z głębokiego snu. Co tak szumi w głowie? Czemu oni tak badawczo patrzą?

Jeden z lekarzy, ten z rozwichrzoną brodą, podchodzi do niego. Co to wszystko ma znaczyć i gdzie on się w ogóle znajduje? Czyżby wypadek? Jakim językiem mówi do niego ten dziwny człowiek... Ni to hiszpański, ni to... zaraz, zaraz, przecież to esperanto, tak, tak, ale co to wszystko ma znaczyć? Ach, jaki straszny ból. Lekarz pochyla się nad nim. Wargi mu drżą.

--- Witaj nam obywatelu z tamtego wieku.

--- Z tamtego wieku? Z tamtego wieku? --- Człowiek stara się zebrać myśli. Co za okropny ból w czaszce. Ręka opada. Dziwna ręka. Niby jego, a nie jego. Jakby zamiast ramion miał wkręconą protezę. Co znaczą te nacięcia na przegubach? Jeszcze raz wzrok zatacza półkole. Dziwny pokój. Cały ze szkła. Dziwne obrazy. Dziwni ci ludzie. Czemu stoją tak nieruchomo? Zaraz, zaraz, gdzie już tak na niego patrzono? Aha, wtedy też leżał... Tak, właśnie w tej pozycji... Ale co to

wtedy było...

Nagle człowiek zrywa się jak oszalały, aż ból pęcznieje w czaszce. --- Ja umarłem! --- krzyczy --- ja umar...

Krzyk zamiera. Człowiek opada bezsilnie. Lekarze pochylają się nad nim. Doktor Rosario przykłada ucho do piersi.

\*

Tański czekał zniecierpliwiony. Ontario już od godziny powinien znajdować się u niego. Czyżby go znowu zatrzymali w Akademii? Podszedł do telemagnetofonu, nastawił tarczę na falę 248,3. Na płótnie ukazała się twarz lekarza. Z mikroflośnika popłynął śpiewny akcent Esperanty.

--- Przepraszam, Richard, ale jestem jeszcze zajęty. Za godzinę będę wolny. Chciałem właśnie dać ci znać, żebyś czekał na mnie.

--- Wiesz, lepiej spotkamy się nad Urwistą.

--- Dobrze, niech będzie nad Urwistą, za godzinę. Zwiedzimy Słoneczną Stację...

Płótno zgasło. Tański zapalił papierosa. Poprzez szerokie balkonowe drzwi wyszedł na zalany słońcem taras. Nisko, u podnóża tej góry-willi huczało morze. Skłębione bałwany biły wściekle o skały. Gdzieś już widział podobny obraz. Aha, to było na Rozewiu, jeszcze wówczas, kiedy żył tym "pierwszym życiem" na Wielkim Łądzie.

Skrzywił się. Teraz żyje po raz drugi. Wówczas umarł. Kiedy to było? Przeszło sześćdziesiąt lat temu... To był 1956 rok.

Pamięta pochylone głowy kolegów-marynarzy, chyboczącą się kajutę. Płynęli wówczas wokół Afryki. A potem to już zwykła ceremonia. Owinięto go z pewnością w żaglowe płótno i z życia jego pozostała tylko zwiędła notatka pierwszego oficera, że na którymś tam stopniu szerokości geograficznej pożegnano na zawsze bosmana Ryszarda Tańskiego. Tak zwykle było.

Wyrzucono go prawdopodobnie gdzieś między 40 a 50 stopniem szerokości, a więc wyspa ta musi się znajdować gdzieś na tej wysokości. Rosario mówił, że fale wyrzuciły go na brzeg Esperanty. Od tego czasu przeszedł w "ręce" lekarza. Przez sześćdziesiąt lat wstrzykiwano mu nitrocurol, cudowny środek doktora Ontario. Dzięki niemu, choć martwy, zachował nie zniszczony organizm. A potem to już tylko te pochylone postacie lekarzy. Dziwne --- tutaj czas jakby zatrzymał się w miejscu. Jest tu dopiero pół roku, to znaczy żyje dopiero od sześciu miesięcy, a wydaje się, jakby cały wiek tutaj przeżył. Czyż znowu ciągnąć go będą na konsultacje? Jest jeszcze ciągle osłabiony.

Dziwne, że ukrywają przed nim, gdzie się znajduje. Czy mają kontakty z Wielkim Łądem? Ze słów Picario wynikało, że nie. Ontario zwierzył mu się nawet wczoraj: "Zapomnij o Wielkim Łądzie. Stąd jeszcze nikomu nie udało się wydostać. Zresztą nikt tego jeszcze nie próbował".

Tański poddał twarz działaniu słońca. Czy oni znowu wywołują deszcz? Przydałby się. Właściwie jest tu całkiem przyjemnie. I jaki wzorowy porządek. Żeby nie tęsknota za Rozewiem, za bielejącymi w słońcu wydmami, wśród których spędził dzieciństwo... Ciekawe, czy stoi jeszcze chata Franka Kubały. Sześćdziesiąt lat. Ileż tam musiało zajść zmian? Może Rozewie jest dziś wielkim miastem? Ciężko było się przyznać, ale tęsknota za Wielkim Łądem była tak silna od pierwszych chwil jego "drugiego życia", że odtąd żył tylko nadzieją powrotu. Ani Ontario, ani Rosario nie potrafili wyzwolić go z tej nostalgii.

Ciekawe, czy tamci z Wielkiego Łądu wiedzą o wyspie. O ich dziwnych mieszkańcach, których każde imię kończy się melodyjnym: "rio".

I znowu jak w ciągu tych sześciu miesięcy spjrzały na niego oczy, w których przeglądać się zdawał szmaragd Bałtyku spod Rozewia. Annario. Czuł przyspieszone bicie serca. Co Rosario myślał, przedstawiając go córce? Przedstawił go: oto

"człowiek wyrwany śmierci".

"Człowiek wyrwany śmierci" czyż nie trafniej by było: "człowiek przywrócony życiu"? Znowu te oczy oszłamiające, śpiewny akcent, który tak głęboko zapadł mu w serce. Czy to wszystko ma sens?

Rosario był zdolnym lekarzem, ale kiepskim psychologiem --- i nie widział, że oboje polubili się, kiedy jeszcze leżał w szpitalu Cichej Przystani. Annario --- imię za którym kryło się tyle przyjacielskiego uczucia i serdeczności. To właśnie ona podsycala w nim nadzieję powrotu. Bał się o tym powiedzieć Rosario. Lekarz tyle serca mu okazał, że byłoby niewdzięcznością wspomnieć o opuszczeniu wyspy. Wielka Rada nie zgodziłaby się na to. Zresztą jego życie nie należało właściwie do niego, lecz do Rosario, do Wielkiej Rady...

Spojrzał na zegarek. Już czas pojechać nad Urwistą.

\*

Nad Urwistą czekał już z niecierpliwością Ontario.

--- Dzisiaj zwiedzimy Słoneczną Stację --- powiedział. --- Zobaczysz sztuczne słońce. Już wiesz, że nie jesteśmy zdani na kaprysy pogody. Sami ją regulujemy.

Szli w górę szeroką szosą, wzdłuż której przemykały bezszelestnie dziwaczne pojazdy, podobne do samochodów z Wielkiego Łądu. Jakaś grupa młodych Esperian przejechała, śpiewając wesołą piosenkę. Ontario. wziął go pod rękę. --- To już nowe pokolenie --- wyjaśnił, wskazując przejeżdżających.

Tański czas jakiś milczał, lecz wreszcie ciekawość zwyciężyła.

--- Słuchaj, Ontario --- przystanął --- jestem już tutaj pół roku, i jeszcze wciąż nic o was nie wiem. Skąd wzięliście się na tej dziwacznej wyspie? Czy rzeczywiście nikt z was nie myśli o jej opuszczeniu?

Lekarz uśmiechnął się zagadkowo, Tański ciągnął dalej. Ruszyli właśnie pod górę.

--- Czy przedstawiłeś moją prośbę Wielkiej Radzie? A może chcecie mnie tu więzić do końca życia?

W połowie drogi między Bramą Starego Świata a PrzedSIONKIEM Meduzy skręcili w prawo i już pieli się wygodnymi, acz stromymi stopniami. Wreszcie występ skalny skończył się i przed Tańskim wyrosła nagle potężna stożkowata baszta, na której szerokim szczycie zwisło, jak potworny dysk --- olbrzymie lśniące koło. U podnóża stała grupa wartowników uzbrojonych w broń podobną do rewolwerów o długiej lufie.

Widząc Ontario pozdrowili go.

Lekarz oparł rękę na ramieniu Tańskiego.

--- Richard, musisz zapomnieć o powrocie na Wielki Łąd. Wielka Rada nie zgadza się. Widzisz, o nas nikt nie wie na Wielkim Łądzie. Nawet nie wiedzą o istnieniu naszej wyspy. My tu żyjemy sami dla siebie, spokojni, z dala od waszego świata. Skądżeśmy się wzięli?

Jesteśmy produktem uczonych --- zaśmiał się. --- Tak, kilkadziesiąt lat temu trzy potężne mocarstwa Wielkiego Łądu wypędziły ze swych granic kilku uczonych fizyków i chemików. Naukowcy, w tajemnicy przed rządami swych państw, pracowali wspólnie nad wykorzystaniem energii jądrowej do celów wojennych. Wykrycie spisku wywołało na całym Wielkim Łądzie niebywałą sensację i oburzenie. Mocarstwa przepędziły naukowców, którzy po długiej tułaczce odkryli tę oto wyspę i nazwali ją Esperanta. Ostatni uczoney Belario (prawdziwych nazwisk niestety nie dowiedzieliśmy się) umarł trzy lata temu.

Ale

działa ich przetrwały. To oni stworzyli nam Słoneczną Stację, Stację Fal Radioaktywnych, to oni dali początek takim słowom jak: Rosario, Picario, Suenario...



Kiedy uczeni tu przybyli, wyspa podobno liczyła ósmusetubylców, ludzi spokojnych, o śpiewnym akcencie. Obecnie Esperanta liczy sześć tysięcy mieszkańców. Tubylcy rządzą się sami, zostawiliśmy im całkowitą swobodę. Całą politykę my prowadzimy. Oni pracują na roli, zajmują się rzemiosłem, uczą się, łowią ryby w obrębie czterech kilometrów od lądu --- a my dbamy o resztę, by kultura Wielkiego Łądu nie zniszczyła naszej kultury i nie zamąciła spokoju Esperanty. To jest nasz testament.

Tański uśmiechnął się pobłaźliwie.

--- Słuchaj, ale to są mrzonki, żebyście mogli przetrwać nie zauważeni. Przecież ktoś wreszcie natrafi na was, jeśli w ogóle nie wiedzą już o waszym istnieniu. Sam twierdziłeś, że wyspa ma ponad dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych. Wreszcie jakiś statek odkryje ją.

--- Nie, nie odkryją nas, a jeśli odkryją, tym gorzej dla nich. Widzisz, słusznie powiedziałaś, że nic o nas nie wiesz. Jeszcze nie znasz całego misternego mechanizmu tej wyspy. Kiedy odbędziesz kwarantannę...

--- Jak długo? --- przerwał Tański.

--- Cztery lata. Po czterech latach będziesz wiedział znacznie więcej. Kto wie, czy nie zasiądziesz sam w Wielkiej Radzie. Stali już dłuższą chwilę na skalnym występie, pod nimi szalało rozhukane morze.

Ontario wskazał palcem na wysunięty cypel, wijący się półkolisto niby obronne ramię.

--- Widzisz, to jest Przystań Śmierci. Przypatr się dobrze, a dojrzysz kilka statków, stoją nieruchomo przy lewym brzegu.

Tański zauważył je już w drodze na Słoneczną Przystań.

--- Ten pierwszy, z tamtej strony, to Szwed. Zawitał do nas rok temu --- zaśmiał się gorzko --- przyholowaliśmy go do Przystani Śmierci. Tamte dwa...

--- A załoga? ---przerwał Tański.

Ontario wzruszył ramionami. --- Cóż, załoga już nie żyła. Przez statek przeszła śmierć. Od tego dnia nikt z Esperian nie był jeszcze na nim.

--- Toście ich po prostu zlikwidowali!

--- Sami się zlikwidowali. Wiesz, wyspa nasza otoczona jest niewidzialnym polem radioaktywnym, szerokości pół kilometra i nikt nie może żywy przedostać się do nas ani też stąd wydostać się na zewnątrz. U podnóża Wysokiej Skały mieści się Stacja Fal Radioaktywnych.

--- No dobrze, ale pole to może się przecież przesunąć na skutek działań atmosferycznych?

--- Otóż to. Pole utrzymuje w miejscu nasze sztuczne słońce. A my sami regulujemy także pogodę. Chodź, zobaczysz....

Zbliżyli się do stóp szerokiej baszty. Stała tu grupa uzbrojonych wartowników. Wąska winda zawiozła ich na sam szczyt stacji. Tu czekał na nich jakiś człowiek. Lekarz zamienił z nim kilka słów i za chwilę wpuszczono ich do olbrzymiej sali. Przez jej środek przechodziła wąska luneta. Tamten człowiek podszedł do niej, zaczął manipulować i naraz cała sala zaczęła się obracać ruchem rotacyjnym. Nad olbrzymimi kondensatorami zapaliły się czerwone światełka.

--- Widzisz, jeśli nie ma słonecznej pogody --- wypożyczamy ją z naszych kondensatorów, w których w ciągu upałów magazynujemy nadmiar cieplnej energii. W ten sposób regulujemy pogodę. Czy nie zauważyłeś, że u nas pogoda jest raczej wyrównana? Nie ma nadmiernych upałów, ale też przez cały rok nie ma zimy. Pracujemy właśnie nad wyeliminowaniem nocy nad Esperantą, ale to jeszcze żmudna praca. Widziałeś nasze pojazdy? To są heliosauty, porusza je energia słoneczna. Ze Stacji Słonecznej część energii przekazujemy stacjom przydrożnym, skąd heliosauty pobierają już energię bezpośrednio. Energia tej

Stacji potrzebna nam jest także do celów obronnych. W tej soczewce możemy skoncentrować dwa miliardy volt. Rozumiesz, co to znaczy? Część tej energii pozwala nam na utrzymanie w

określonym miejscu fal radioaktywnych, wytwarzanych przez Stację u podnóża Wysokiej Skały. O, widzisz, tym przyrządem regulujemy utrzymanie fal. Tu, na strefometrze masz dokładną wysokość i szerokość pola oraz odległość od brzegu. Wystarczy przesunąć hebel tej rączki, a pole zmieni kierunek, ale tylko w obrębie morza, bo ten tu oto przyrząd zabezpiecza przed przesunięciem fal na wyspę.

--- Kiedy potrzebny jest deszcz --- ciągnął dalej lekarz --- potrafimy go wywołać. W tej komorze wytwarza się burze przez sztuczne rozładowanie elektryczności... Richard, sądzę, żeś się pożegnał z myślą opuszczenia nas, co?

Tański drgnął.

--- Nic mnie nie ciągnie do Wielkiego Łądu --- skłamał szybko.

--- To pięknie, to pięknie --- lekarz poklepał go po plecach. --- Widzisz, oni ciebie jeszcze potrzebują. Teoria Rosario wywołała zwrotny punkt w dziejach Esperanty. Obecnie cała Akademia pracuje nad powszechnym stosowaniem regeneracji. Ty stałeś się jakby pionierem nowego życia...

Szli szeroką szosą do miasta, mijały ich grupy Esperian. Wszyscy mieli na sobie barwne, tęczowe stroje. Tański szedł jak lunatyk. Słoneczna Stacja obsługiwana była przez jednego człowieka. Tutaj byłoby łatwiej się dostać niż do Wielkiej Skały. Zrodziła się błyskawiczna decyzja: ucieknie. Ucieknie za wszelką cenę. Pomówi z Annario. Ona musi mu pomóc.

Tego wieczora wstąpił do Rosario. Annario powitała go w ogrodzie. Chwila była korzystna. Tański zwyczajem tubylców ujął jej oba ramiona.

--- Annario, muszę z tobą pomówić.

Dziewczyna zauważyła jego drżenie.

--- Richard, co z tobą...

Uśmiechnął się boleśnie. Poszli w głąb ogrodu, gdzie na tle ciemnych, półkolistych krzewów tryskały fontanny. Tański usiadł. Annario przysunęła się do niego i łowiła każde słowo.

\*

Tański posuwał się z boczem. Księżyc oświetlał teraz wschodnią stronę wzgórza. Nie było obawy, aby go ujrano. Liczył, że Annario powinna za godzinę wejść do baszty. Czy przepuszczą ją? Od tego zależało jego życie.

Na lewo rozciągało się długie ramię Przystani Śmierci, a więc tutaj gdzieś, tak... Tuż u brzegu kołysała się smukła łódź. Serce zabiło przyspieszonym tętnem. Czyżby to wszystko miało się tak szczęśliwie zakończyć?

Zanurzył wiosła. Gdzieś od strony miasta jakiś tubylec zaśmiał się beztrudno i śpiewnie. To obudziło w nim czujność. Łódź bezszelestnie odbiła od brzegu. A może jednak wrócić? Pozostać na Esperancie? Co mu tu brakuje? Annario...

Na jej wspomnienie ogarnął go smutek. Dzielna, wspaniała dziewczyna. Żeby tylko wpuszczono ją do baszty. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba dojść do strefometru. Czy dobrze jej wyjaśnił działanie? Co będzie, jeśli się pomyli?

Wy pływał już z zatoki. Fale biły teraz gwałtowniej; czarny półkolisty masyw brzegu oddalał się coraz bardziej. Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia minut Annario wejdzie do baszty. Zanim przemierzy kilkadziesiąt stopni, zanim odwróci uwagę kierownika Stacji --- może upłynąć dalsze dziesięć minut, a więc dokładnie za pół godziny powinien znajdować się na linii fal radioaktywnych. Annario robi wszystko, by skierować fale na wschodni brzeg morza...

To wszystko jest jednak bezsensowne. Przed kim właściwie uciekał? Fale biją coraz wścieklej. Łódź tańczy po grzywiastych łbach, które rzucają nią jak piłką. Ale marynarskie dłonie zaciskają się twardo na wiosłach.

--- A jeśli Annario... Nie --- stara się odepchnąć podejrzenie --- Annario nie zdradzi...

Jeszcze osiem minut i dziewczyna znajdzie się w baszcie. A jeśli wartownicy jej nie przepuszczą? Przepuszczą, przepuszczą --- uspokaja siebie.

Jeszcze sześć minut, jeszcze cztery... Kiedyż wreszcie zrówna się z lewym zboczem wyspy na tej wysokości, gdzie działają fale radioaktywne?

Jeszcze dwie minuty, jeszcze jedna...

Już, już, ma teraz Esperantę w całej okazałości przed sobą. Gdzieś tu, w pobliżu czyha śmierć. W tej chwili Annario rozmawia ze strażnikami. Strażnik robi zdziwiony wyraz twarzy, mierzy ją znudzonym wzrokiem, po czym kiwa ręką. Annario wchodzi na stopnie. A jeśli wyda mu się coś podejrzanego? Podejdzie do magnetofonu...

A więc to wszystko ma trwać dziesięć minut. Ciekawe, czy Annario zapali światło. Nie powinna.

Czemu trwa tak długo! Już, już! Nie, lepiej zaczekać chwilę, a nuż jeszcze się nie udało.

Z daleka na moment bije silny strumień światła. Tański rzuca się w łodzi jak oszalały. Wargi poruszają się bezdźwięcznie. Chwyta wiosła. Żegnaj, Annario.

\*

Pierwszy oficer motoratomowca "Lewiatan" przykłada ponownie szkła do oczu. Rzeczywiście na fali kołysze się wątła łódź. Jakiś człowiek pochyla się do przodu i do tyłu.

Pierwszy oficer oddaje szkła kapitanowi.

--- Tak jest, panie kapitanie. Zaraz dam rozkaz spuszczenia szalupy.

Za chwilę sześciu marynarzy pruje fale w kierunku samotnego żeglarza. Rozbitek jest półprzytomny i marynarze przenoszą go do szalupy. Nie upływa dwadzieścia minut i na okręcie ukazuje się twarz rozbitka. Podtrzymuje go dwóch dragali.

Z rozbitka nie można nic wydobyć. Ma gorączkę i powtarza w kółko niezrozumiałe słowo: Esperanta... Annario... Ontario... Gdynia...

Kapitan zorientował się --- i decyduje w obcym języku: wysadzimy go po drodze w Polsce, w Gdyni.

Na dźwięk wyrazu "Polska" rozbitek podrywa się.

--- Gdynia... Rozewie... Polska --- powtarza.

Oficerowie wychodzą wzruszając ramionami.

**Konrad Doberschütz**  
**TAJEMNICA KWIATU KSIĘŻYCOWEGO**

Profesor Zalisz jeszcze raz spojrział na roślinę, której żółty liść lodygi, otoczony pasmami wąskich liści, strzelał ponad kartonowe opakowanie, i ponownie przeniósł wzrok na kartę papieru.

*...Poza tym chciałbym, żebyś odwiedził Wajdę. A jak z Twoją pracą? Stale jeszcze tkwisz nad orchideami cattiea? Przy okazji przesyłam Ci tutejszą egzotykę. Kwiat Księżycy --- jak tubylcy nazywają nieznaną mi roślinę. Sądzę, że Ciebie szczególnie ten okaz zainteresuje. Muszę tutaj wyjaśnić, co mnie skłoniło do takiej przesyłki. Otóż wyobraź sobie...*

Zalisz przerzucił w zniecierpliwieniu kilka stron, po czym zatrzymał się na ostatnich zdaniach.

*...Pozdrów panią Lucynę. Miewa jeszcze zawroty głowy? Pisz do mnie na ostatni adres.*

*Paweł*

Profesor odłożył kartkę papieru. Dziwne pomysły ma Paweł. Przysłać mu z dalekiej Burmy tę żółtą lodygę! Ładną trasę musiała przebyć. Trzy przesiadki samolotem. Profesor dotknął palcami piasku. Był wilgotny. Czyżby troskliwość Pawła sięgała tak daleko, czy też po prostu stewardesa zaopiekowała się mizerną rośliną? Swoją drogą, ciekawy okaz. Niby zbliżona do Crotona hybryde, choć liście jak na ten gatunek zbyt długie i wąskie. W tej chwili, kiedy nieruchomo zwisają, wyglądają jak długie palce. Z czułością wyjął z kartonu nieznaną roślinę. Tak, najlepiej będzie tu na stoliku, na wprost okna. Jutro zajmie się nią. Dziś ma jeszcze do sklasyfikowania rodzinę aracea, na którą czeka Akademia. Wieczorem odczyta jeszcze raz dokładnie list Pawła i dowie się, co skłoniło go do przesłania mu kwiatu.

Zalisz całe popołudnie przesiedział w cieplarni nad orchideami? Wieczorem pokuśtykał do Wajdy. Lucyna, kobieta w sędziwym wieku, przywitała go serdecznie.

--- Profesorze, co za niespodzianka...

Przesiedział z nimi do wieczora. Na pierwsze danie poszedł oczywiście list Pawła. Wajda, ilekroć była mowa o jego byłym asystencie, zwykł wzruszać ramionami. --- Jakie licho zagnało go aż do Burmy? Było to powiedziane z pewnym odcieniem zazdrości. Czyż Instytut nie powinien jego wysłać zamiast tego smarkacza? Podniecona zazdrością wyobraźnia rysowała "epokowe" dzieło mgra prof. Pawła Jurtysza z zakresu roślin egzotycznych, zajmujące honorowe miejsce na półkach Domu Książki. Gratulacje z Instytutu, odznaczenie Akademii, wieczorny bankiet w "Polonii", toasty. Wszystko to denerwowało Wajdę. Zalisz wiedział o tym doskonale. Zdawało się, że Paweł nie dymyślał się niczego, kiedy przesyłał pozdrowienia dla swego profesora i Lucyny.

Późnym wieczorem profesor Zalisz wrócił do swego mieszkania. Przeszedł uśpiony ogród, minął cieplarnię, wreszcie znalazł się w swoim pokoju. Przedtem jednak zabrał machinalnie z hallu kartkę papieru, którą pani Urbanowa zwykła zostawiać, gdy się nie mogła doczekać profesora. Przyjdzie posprzątać w poniedziałek. Pokój Zalisza był typowy dla starego kawalera-naukowca. Porozrzucane w nieładzie książki, koślawo wiszące półki z naukowymi dziełami, witryny z zeszcłymi

liśćmi, gąbłoty.

Przed położeniem się do łóżka pchnął ciężkie okiennice. Wdarło się zimne, czyste powietrze. Błada poświata zalała ogród odbijając się zimnymi smugami w szybkach cieplarni. Profesor spojrzął na księżyc i w tej chwili przypomniał sobie Kwiat Księżyca. Stał tak, jak go zostawił na stoliku, przy oknie. Poświata mieniła się dziwnym, żywym refleksem na poskręcanych, wąskich liściach. Żalisz pochylił się nad kiścią lodygi. Kwiat zdawał się wydzielać lekki zapach.

Położył się, podciągając pod brodę puchową kołdrę. Ściana z krzywo wiszącą półką tonęła w bladym świetle. Kwiat Księżyca --- dziwna nazwa --- pomyślał. Kwiat znajdował się teraz tuż przy jego głowie. Egzotyczny przybysz. Jakże inaczej teraz wyglądał! Jakby ożył; rozwarł się lekko ukazując różowe płatki kwiatu. Pociągnął kilka razy nosem, gdyż zdawało mu się, że pokój wypełnia mdławo-słodkawy zapach.

W ostatni przeblysłk świadomości wdarł się daleki, charakterystyczny stukot "elektrycznego", przejeżdżającego wiaduktem do Prokocimia. 23,15 --- stwierdził podświadomie.

\*

Biegł oglądając się co chwilę. Tamci byli tuż za nim. Ich przeraźliwy gwizd rozsadzał mu czaszkę. Był bez kapelusza i marynarki. Pot strugami spływał po szyi. Kapelusz spadł przy tamtym zakręcie. Spadł? Kiedy zakręcał, kącikiem oczu zauważył, że kapelusz wyrzucony siłą odśrodkową zawisł początkowo nieruchomo w powietrzu, a potem lekko opadł w dół. Dusił się, biegł ciężko, jakby nogi miał z ołowiu. Tamci deptali mu po piętach, czuł ich gorące oddechy. Gdyby nie ten paralizujący strach... Goniłwa trwała już wieczność. Czy tylko Pawłowi udało się dobiec do Matadora? Gwizd stawał się nie do zniesienia. Gdzieś z boku, w ciemną przestrzeń wzbijał się szerokoskrzydły cień pocisku.

"Odjeżdża"! --- stwierdził z przerażeniem i osłabły mu nogi. Podniósł rękę, krzycząc, jak mógł najgłośniejszy. Dziwnie lekko mu to poszło. Oł, ręka sama rwała się do góry, lecz kiedy opuszczał ją, jakaś siła zdawała się ją przytrzymywać. Przy ruchach nóg i rąk czuł wprost fizyczny ból. Ten ból nie pozwalał mu rozwinąć właściwego tempa. Do pagórka, na którym wyrastało dziwne drzewo, brakowało kilkadziesiąt metrów. Zanim zdał sobie sprawę z niezwyklego kształtu drzewa, fala dziwnych istot dopadła go z głuchym gwizdem. Stanęli jednak kilka kroków od niego, jakby zdziwieni.

Spojrzął na błyszczące głowy i po raz nie wiadomo który wzdrygnął się. Cyklopi? W środku olbrzymich, łysych głów przeświecały dwa otwory. Jeden, ten nad czołem, to oko fosforyzujące zielonym światłem, drugi, poniżej, wielkości kurzego jaja, to chyba usta, które wydawały ten charakterystyczny gwizd. Byli krępi i poruszali się skacząc na dwóch potężnych nogach, podobnych do skoków kangura. Teraz zrozumiał, dlaczego tak prędko go dopadli.

Psiakrew, a wszystko przez Pawła! Gdyby skierował Matadora w kierunku Słońca, dojechaliby najwyżej do planety Wenus i wrócili szczęśliwie na Ziemię. Zachciało mu się zbliżyć do komety Arend-Rollanda. Już od godziny stwierdzili, że przyciąganie Ziemi słabnie z każdą minutą. Sami nie zdali sobie sprawy, jak to prędko poszło, gdy nagle znaleźli się nad bladym, pagórkowatym terenem. Czyżby znaleźli się nagle w strefie wpływu komety i pędzą porwani fantastyczną siłą jej pędu? Wszystko na to wskazywało, gdyż krajobraz jakby stanął naraz w miejscu. W tej odległości od Słońca kometa pędzi z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na sekundę --- wyjaśnił wówczas Paweł.

Matador wyraźnie zwolnił tempo. Wskazówki tachometrów, ulegając niewytłumaczonej sile i prawu, drgały raz w jedną, raz w drugą stronę. Należało za wszelką cenę lądować, zanim dojdzie do katastrofy. Wyłączyli elektro-akcelerator. Nagły wstrząs. Jakby zawiśli na chwilę w próżni. Jakiś czas pocisk krążył wolno nad upiornym terenem.

Kiedy zniżyli się na trzy tysiące metrów, Żalisz rozpoznał dziwne budowle ciągnące się wzdłuż prawego krańca komety. Przypominało mu to miasto, tyle, że oświetlone dyskretnym, zielonym światłem księżycy, którego anemiczna tarcza

emanowała przed nimi. Stąd podłużne cienie, nadające krajobrazowi Arend-Rollanda upiorne wrażenie.

Wylądowali na zboczu potężnego wąwozu. Błada tarcza księżyca zwiększała się, przybierając niepokojące rozmiary. Wąwóz zalany był światłem.

Kiedy otworzyli drzwi Matadora, fala gorącego i dusznego powietrza omal nie powaliła ich z nóg. Maski z tlenem nie były jednak potrzebne. W przestrzeni panowała idealna cisza. Paweł dotknął go ręką. Zalisz odwrócił się. Tamten widocznie coś mówił, ale z przerażeniem obaj stwierdzili, że usta ich poruszały się bezdźwięcznie. Żaden głos nie zakłócał ciszy. Byli przejęci niezwykłym wypadkiem lądowania na komecie, a równocześnie opanowani lękiem. Paweł zabrał się do przeglądu maszyny, on tymczasem oddalił się na chwilę od pocisku, chcąc zapoznać się z terenem.

Ziemia była twarda i skrzęca się miejscami jak fosfor.

Dalsze wypadki nastąpiły wprost błyskawicznie. Kiedy doszedł do małego wzgórza skapanego w blasku księżyca, gdzieś z boku dobiegł go początkowo słaby gwizd, wreszcie po chwili za nasypem ukazała się falanga dziwnych istot. Biegli wprost na niego, podrzucając śmiesznie nogami. Było za późno, by cofnąć się do Matadora. Żeby tylko zamknął się w kabinie na czas, zanim tamci zawładną pociskiem! Strach poderwał go do ucieczki.

Za późno, schwytali go. Teraz popychali go, zapelniając przestrzeń gwizdem. Pomyślał, że to może halucynacja, ale zaraz zaprzeczył sobie.

Wychodzili właśnie z wąwozu na zalaną zielonkawym światłem drogę. Tłumy kangurzych istot rosły. Zbiegali się od strony rzekomego miasta, którego dziwaczne budowle zauważył z Matadora. Starał się do nich mówić, ale głos nie wychodził mu z krtani. Krzyknął. Nic... Cisza. Od chwili zetknięcia się z nimi nie usłyszał żadnego głosu poza tym charakterystycznym gwizdem. Czyżby to była ich mowa?

Ten z olbrzymim okiem i łysą, olbrzymią czaszką wydawał z siebie niski gwizd, wskazując ręką na niego. Inni wtórowali mu skacząc dziwacznie acz zręcznie na swych kangurzych stopach. Ich blade ciała opięte były w biodrach pasami jasnozielonego materiału. W czasie drogi Zalisz stwierdził dziwne zjawisko. Choćby teraz, kiedy zbliżali się do dziwnych budowli, grupa kangurzych istot pozostająca w cieniu zajaśniała nagle na tle ciemnego bloku dziwnym, dyskretnym światłem. I znowu --- kiedy wyszła z cienia --- światło momentalnie przestało emanować. Czyżby ciała ich fosforyzowały?

Tłumy mieszkańców dziwnego miasta wciąż się powiększały. Dokąd go prowadzą? Zauważył, że przyglądają mu się ciekawie i badawczo, nie przestając wydawać oszalamiających gwizdów i świstów. Błyszczące jedynym okiem łyse głowy raz po raz migały zielonym ogniem. Stwierdził, że kolor zielony dominuje na Arend-Rollandzie.

Dochodzili do pierwszych budowli. Był już mocno zmęczony. Tubylcy poruszali się żywo i swobodnie, ale jemu każdy ruch sprawiał niemal fizyczny ból. Postawienie nogi czy opuszczenie ręki wymagało dużego wysiłku.

Gmach przed nim wzniesiony z potężnych brył piaskowca przypominał mauzoleum. Postawiony w środku wieńca niskich budynków, których wieżyczki otoczone balkonikami wypełniały gromady mieszkańców --- stanowił ponury widok. Wstępowali właśnie po szerokich schodach do wnętrza rzekomego mauzoleum.

Zalisz stwierdził, że tłumy zostały za nim, na ulicy. Prowadzili go teraz trzej strażnicy. Ten z olbrzymim okiem jednym przeciągłym gwizdem uciszył tłum i ruszył podskakując ku schodom. Dwaj potężni cyklopi szli tuż za nim. Minęli ogromny, pusty hall, jakieś dwie sale pełne słoje, próbek i laboratoryjnych przyrządów, wreszcie stanęli przed masywnymi drzwiami, które po chwili otworzyły się bezszelestnie.

Weszli. Pokój był pusty. Dziwaczną wnękę zakrywała gęsta firanka. Tamci zniknęli. Był sam. Nic z tego nie rozumiał, ale przeczuwał coś strasznego. Z sufitu sączyło się blade, seledynowe światło. Podeszedł do drzwi. Zamknięte. Uderzył pięścią. Nic. Krzyknął, ale żaden głos nie zamącił ciszy. Strach ścisnął go za gardło.

Jak zahipnotyzowany podeszedł do firanki i rozchylił ją. Krew w nim zastygła. W kącie stały dwa potężnych rozmiarów

słoje. W jednym, zapełnionym płynem, w dziwnej pólśiedzącej pozycji spoczywały zwłoki mężczyzny. Podszedł bliżej i naraz usta wykrzywiły mu się w bezgłośnym jęku. To był Paweł!

Gdzieś z tyłu otworzyły się nagle drzwi i do pokoju weszła niska, kangurza istota w białym kitlu. W ręku cyklopa zabłysła długa igła; podszedł do pustego słoja, zdjął szklaną pokrywę, po czym powoli odwrócił się w stronę Zalisza.

Był już blisko. Zalisz poczuł gorący oddech na swojej szyi --- i nagle przejmujący ból przeszył mu czaszkę. Do bólu dołączyły się głuche uderzenia...

\*

Zalisz jakiś czas leżał nieruchomo. Uderzenia, które rozsadzały mu czaszkę, zamieniły się powoli w rytmiczny stuk "elektrycznego". Zerwał się z łóżka. Dochodziła szósta. Niebieski pas wagonów zniknął właśnie pod wiaduktem. Nad Warszawą wisiła mgła. Wrócił do łóżka nie mogąc przyjść do siebie po upiornym śnie. Pomyślał o Pawle. Ręka odruchowo sięgnęła po kartę leżącą na stoliku pod misternym koszykiem Kwiatu Księżycowego.

Przy okazji przesyłam Ci tutejszą egzotykę... --- odszukał wzrokiem ostatnie zdanie. Czytał:

*Muszę wyjaśnić, co mnie skłoniło do przesłania tej rośliny. Otóż wyobraź sobie, że --- jak twierdzą tubylcy --- przy pełni księżyca Kwiat Księżycowy wydaje podobno oszałamiającą woń, atakującą komórki mózgu w podobny sposób, w jaki działa opium, ale o wzmożonej sile. Sprowadza to rzekomo fantastyczne wizje. Sam nie jestem o tym przekonany, sądzę jednak...*

Zalisz odłożył kartkę. Ze stolika zwisały lekko pożółkłe liście Kwiatu Księżycy. Poskręcane różowe płatki schnąc przybierały powoli ziemistą barwę.

Do licha! --- pomyślał --- zwiądl.

**Jan Jerzy Groński**  
**ATOMOWA ŚMIERĆ ATLANTYDY**

Wprawdzie wyprawa w Himalaje, na szczyt Dhaulagiri w 1946 roku nie zakończyła się sukcesem, lecz jej ostateczny efekt był bardziej sensacyjny niż ewentualne zdobycie szczytu.

Oto fragment relacji kierownika himalajskiej wyprawy, dra Camare'a:

"...28 maja. Z bazy na lodowcu Maysugi wyruszyliśmy do ostatniego etapu naszej wspinaczki. Po ośmiu godzinach pokonywania ściany osiągnęliśmy taras, do którego zdołała tylko dotrzeć wyprawą szwajcarską w 1938 r. Po pierwszej próbie dalszej wspinaczki Reed osuwa się i łamie rękę. Zakładamy mu tymczasowy opatrunek. Reed prosi, byśmy go tu zostawili.

Wyruszamy w dalszą drogę. Od tego miejsca jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy dotykali tych skał. Po dotarciu do następnego tarasu przekonaaliśmy się, że ściana, którą w tej chwili mamy do pokonania, a która, kiedy oglądaliśmy ją przez lornetkę z lodowca, wydawała się możliwa do przebycia, wyglądała jak zewnętrzna płaszczyzna szklanki. To pokrzyżowało plany. Postanowiliśmy obejść ścianę po gwałtownie zwężającym się tarasie i próbować ją zdobyć po północnej stronie co zajęło nam dodatkowo ponad pięć godzin.

Po sforsowaniu ściany, szczyt rysował się wyraźnie na tle nieba i wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, aby go dotknąć.

Błyskawicznie dokonaliśmy obliczeń. Do zdobycia szczytu potrzebowaliśmy jeszcze trzech godzin. Zmrok zapadał szybko. Do całkowitej ciemności brakowała najwyżej godzina. Sprawdziliśmy ilość tlenu w zbiornikach. Spojrzeliśmy na siebie. Zrozumieliśmy, że Dhaulagiri odparł atak ludzi jeszcze i tym razem.

Aby oszczędzić tlenu, który potrzebny był na drogę powrotną, szybko ułożyliśmy się w śpiworach, starając się zasnąć. Obudziliśmy się skostniali z zimna. Mały taras nie pozwalał na zrobienie kilku kroków dla rozgrzewki. Przywarci do siebie czekaliśmy, aż się dostatecznie rozwidni.

Bob, wychylając się poza krawędź tarasu, żeby wyszukać miejsce dla wbicia haka, zawołał:

--- Patrz, patrz, co to może być?

Zająłem jego miejsce i przytrzymywany, głęboko wychyliłem się. Trzy metry pod nami, na skalnym występie zwisały jakieś białe strzępy. Do drzewca flagi, którą mieliśmy zatknąć na szczycie Dhaulagiri, przymocowaliśmy hak i w ten sposób udało się zdjąć zauważony przedmiot. Nie było czasu na oglądanie. Zaczęliśmy schodzić na taras, na którym pozostawiliśmy poprzedniego dnia rannego Reeda..."

Tajemniczym przedmiotem, odnalezionym przez wyprawę dra Camare'a, okazał się balon meteorologiczny używany powszechnie do mierzenia siły wiatru.

Z początku nie uświadamiano sobie ważności odkrycia.

Dopiero ogłoszenie przez prasę ocalałych fragmentów treści notatki, napisanej na powłoce balonu, wywołało prawdziwą burzę w świecie naukowym.

"...IDUJĘ SIĘ ...JEJ WIĘCEJ ...8 ...I ...DY WIE ...UDNIE OD STARO

...TN... ...KLA ...2 ... .. ...ADEM ... .. --- ... BRL ...CY ZGINĘLI A I JA ...

NIE... .. ...TOWA... ..IN ...7".

Przez kilka miesięcy gazety całego świata pełne były domysłów na temat pochodzenia balonu i autorstwa notatki. Wreszcie sprawa ucichła, nie rozwiązana.

Dopiero drobna informacja zamieszczona w początkach 1952 roku na łamach kwartalnika "Archeologia świata" nieoczekiwanie przypomniała tajemnicę sprzed sześciu lat. Informacja dotyczyła nowej wyprawy archeologicznej, którą podjął Instytut Naukowy C.C.B.M. w głąb Afryki pod kierownictwem znanego etnografa i archeologa --- prof. dra A.W. Dherniera. Końcowy ustęp informacji zawierał wiadomość, że w wyniku rozwiązania tajemnicy napisu na balonie meteorologicznym znalezionym w Himalajach wyprawa ta, zdaniem uczonych, powinna dać odpowiedź na nurtujące ludzkość od setek lat pytanie.

Dla przeciętnego czytelnika treść informacji była równie tajemnicza jak treść napisu na balonie...

Jednak nie tylko przeciętny człowiek, ale i większość uczonych, z wyjątkiem najbliższego otoczenia prof. A. W. Dherniera nie umiała znaleźć powiązania między planowaną wyprawą a napisem na balonie...

## II

W 1946 roku jedynym człowiekiem, który natrafił na właściwy trop, był właśnie prof. Dhernier, chociaż publicznie nie zabierał on w tej sprawie głosu. Zdając sobie sprawę z wagi dokonanego odkrycia, ze względów czysto ambicjonalnych nie chciał się dzielić zdobytą tajemnicą z innymi uczonymi przed jej ostatecznym rozwiązaniem.



Prof. Dhernier był wychowankiem zaginionego w bliżej nie znanych okolicznościach w 1937 roku kierownika katedry archeologii w Sorbonie --- prof. dra J. Heinesa.

W 1937 roku prof. Heines zorganizował zakonspirowaną wyprawę w głąb Afryki. Po roku oficjalny komunikat Instytutu Naukowego C.C.B.M. stwierdził, że mimo usilnej akcji ratowniczej nie udało się natrafić na ślad zaginionej ekipy prof. Heinesa.

Prof. Dhernier bezpośrednio przed tą tragiczną wyprawą był asystentem prof. Heinesa. Nie został jednak przez niego wtajemniczony w jej cel. Z zasłyszanych rozmów między profesorem a uczestnikami wyprawy domyślał się, że wiązano z nią nadzieję na rozszyfrowanie jednej z wielkich zagadek antycznego świata. Dhernier przeczuwał wielkość zamierzeń swego profesora i bardzo przeżywał pominięcie go w wyprawie.

Gdy treść napisu na balonie dotarła do rąk Dherniera, zwrócił on uwagę na datę i litery, które najprawdopodobniej należały do nazwiska autora notatki. Zrodziło się w nim przekonanie, że autorem był prof. Heines.

Jednak było to tylko przekonanie --- brakowało dowodów.

Aby je zdobyć, Dhernier rozpoczyna działać, zachowując taką samą tajemniczość jak i jego poprzednik. Pierwsze kroki kieruje do spadkobiercy zaginionego. Spodziewa się bowiem, że wśród zachowanych po profesorze osobistych notatek i książek znajdzie przynajmniej najmniejszą wskazówkę.

Rodzina Heinesa, bezpośredni spadkobiercy, nie potrafiła mu udzielić informacji. Willa, w której mieszkał i pracował profesor, została sprzedana z całym umeblowaniem jeszcze przed wojną. Rodzina podzieliła się pieniędzmi, nie troszcząc się o pamiątki po profesorze. Nie był lubiany. Wskazano jednak Dhernierowi adres osobistej sekretarki Heinesa, która podobno pieczołowicie zabezpieczyła po zaginionym, co się dało.

Staruszka przyjęła Dherniera bez entuzjazmu i dopiero wprowadzenie nastroju wspomnień o Heinesie usposobiło ją przyjaźnie. Zgodziła się, by Dhernier przejrzał przechowywane przez nią pamiątki. A nawet zgodziła się --- gdy jej proponował --- na wypożyczenie interesujących go notatek, książek pełnych podkreśleń i uwag na marginesach.

Stopniowe zapoznawanie notatek rozczarowywało Dherniera. Zawierały one brudnopisy opublikowanych już prac Heinesa i kilkanaście fotokopii tablic z Wyspy Wielkanocnej, pokrytych znakami przypominającymi hieroglify.

Kiedy zjawił się znów u staruszki, odnosząc wypożyczone pamiątki, ta zaprosiła go na herbatę. Dhernier zwierzył się z bezowocności swoich poszukiwań. Zaczął wypytywać, czym był Heines najbardziej zajęty bezpośrednio przed wyprawą.

--- Jak to czym? Cały świat zjeździł. Grzebał się we wszystkich muzeach.

--- A nie wie pani, czego szukał profesor?

--- Wie pan, dokładnie sobie nie przypominam. Ale zaraz, przechowuję przecież terminarz, w którym notował kolejne etapy swojej wędrówki.

Dhernier przerzucał kartki terminarza. Pod datami znajdował: Leningrad, Tokio, Niolejk, Columbia, Los Angeles...

--- Zaraz, zaraz --- szeptał Dhernier --- Niolejk? Tokio? Leningrad?

I w tym momencie przypomniał sobie o fotokopiach tablic.

--- A może te wyjazdy miały jakiś związek z tablicami z Wyspy Wielkanocnej? --- zapytał.

--- Z tablicami? Rzeczywiście, przywoził je z każdej wyprawy. Przysyłali mu. Odwiedzał go nawet w sprawie tablic ten badacz z Niolejk, który zajmował się ich odczytaniem...

--- Przepraszam --- Dhernier wstał od stołu i zaczął przeglądać leżące na biurku fotokopie.

Zdjęcia wiernie odtwarzały powierzchnie drewnianych tabliczek, pokryte pasami drobnych znaków.

--- Proszę pani --- zwrócił się do staruszki --- czy pani wie, co kryją w sobie te tablice? Z nich najprawdopodobniej można odczytać zagadkę wyprawy prof. Heinesa. Jak wiem, już kilku ludzi strawiło bezowocne życie na odczytywaniu tych tablic.

Będę próbował. Nie wiem, czy się uda.

Przez dwa lata Dhernier próbował je odczytać. Bez rezultatu. Jeszcze raz wraca do przetrząsania reszty archiwum Heinesa. Tydzień wystarczy, żeby odnalazł to, nad czym ślęczał tyle czasu. Przeglądając skrupulatnie notes profesora zatrzymuje się na pominiętych uprzednio stronach, zawierających przecież wielowariantowe objaśnienia znaczeń rysunkowych znaków.

Były to poszczególne znaki z tablic. Rozpisuje tekst na fiskach, podstawia znaczenia i ze zdumieniem odczytuje tekst dialogu Platona pt. Critias, czyli Atlantyda. W miarę odczytywania jego zdumienie wzrasta --- znany mu dialog posiada ciąg dalszy, o którego istnieniu nic nie wiedział.

Odkryta część dialogu nie zawierała żadnych rewelacyjnych faktów. Było to raczej rozwinięcie myśli zawartych w znanej wersji. Charakterystyczne jednak było, że niektóre fragmenty w tej części dialogu uzupełnił Platon odsyłaczami do źródeł, z których informację czerpano. Wymieniane przez Platona nazwiska i tytuły dzieł były Dhernierowi zupełnie nie znane.

Tekst został odczytany. Spodziewanej odpowiedzi Dhernier nie uzyskał.

Przypomina sobie jednak, że przecież w notesie Heinesa napotkał na indeks źródeł notowanych przez Platona. Przegląda indeks. Każda pozycja opatrzona była skrótami składającymi się z trzech znaków i cyfr, np. V.M.D. --- 17.

Dhernier uparcie dąży do rozszyfrowania skrótów. I znów pomaga mu przypadek. Któregoś dnia szukając słownika we własnej bibliotece, skamieniał --- Milon z Denisu! M. D.!

Trudno mu było uwierzyć, że to jest klucz do zagadki. Książkę Milona z Denisu pt. Księga Machin traktował zawsze jako prekursorską próbę literatury utopijnej. Dhernier przypomina sobie, że książkę tę widział również w archiwum profesora. Rozgorączkowany popędził tam. Tak! Niektóre paginacje stron w egzemplarzu Heinesa były zakreślone i odpowiadały cyfrom wchodzącym w skład skrótów, naniesionych na indeks. Na zaznaczonych stronach Księgi Machin podane były te same źródła, na które powołuje się Platon.

Obecnie nie było już wątpliwości, że dzieło Milona z Denisu należy traktować jako poważne źródło naukowe. Ustalenie tej prawdy rozprostowało ścieżki poszukiwań. Dotąd bowiem mniemano, iż źródła, na które powoływał się Platon, zginęły ostatecznie wraz ze zniszczeniem Kartaginy i Biblioteki Aleksandryjskiej.

Tymczasem Milon z Denisu w Księdze Machin podaje:

"Moja Tedegga będzie pierwszą stolicą wszelkiej mądrości, ojcowie umieszczają ją w odległości dwudziestu dni drogi na południe od Tarukla, zaś w odległości dni trzydziestu od El-Kebri. Z niej właśnie podążam. Tedegge muszę odnaleźć pośród ruin, ona będzie pierwszą stolicą wszelkiej mądrości".

W dalszym ciągu Księgi Machin następuje bogaty opis jakiegoś alegorycznego państwa. Analiza opisu pozwalała stwierdzić, że wizja Milona z Denisu oparta była na trzech źródłach. Pierwszym był współczesny mu świat, który znał z wielu podróży; drugim --- historia starożytnego Egiptu; trzecim zaś dzieje jakiegoś nieznanego państwa. I właśnie trzecie źródło spowodowało błąd wielu uczonych, a wśród nich i Dherniera, którzy uważali utwór Milona za wykwit fantazji.

Jednak obecnie Dhernier inaczej spojrzął na te sprawy.

Co w tym wszystkim zastanawiało? Otóż opisy traktowane jako fantazja pokrywały się z tym, co Platon w nieznannej części dialogu pisał o Atlantydzie!

W tym kontekście Dhernier zaryzykował przyjęcie hipotezy, że Milon z Denisu opisując nieznanne państwo musiał opierać się na tych samych źródłach co Platon. Konsekwentnie wynikało z tego, że materiały te przetrwały aż do czasów Milona. Jeśli tak, to gdzie? Przecież odpowiedź dawał sam Milon. Tedegga! Dherniera utwierdził w tym szkic, nakreślony ręką prof. Heinesa na marginesie strony, zawierający opis trasy do Tedeggi. Szkic sporządzony był ściśle według wskazówek Milona z Denisu. Z biografii Milona z Denisu, który żył w IX w.,

było wiadome, iż odbył on kilka odkrywczych podróży po Afryce i podobno miał natrafić na ślad jakiegoś traktu handlowego na wysokości 25 równoleżnika. I nagle wszystko stało się oczywiste.

Dhernier mógł teraz uzupełnić tekst z powłoki balonu:

"Znajduję się mniej więcej o osiem dni jazdy wielbłądem na południe od starożytnego Tarukla i o dwanaście dni jazdy wielbłądem od El-Kebri. Wszyscy zginęli, a i ja najprawdopodobniej nie zdołam się uratować. Heines. 1937".

A więc profesor musiał wysłać balon z legendarnego miasta Tedegga! Ono kryje tajemnice starożytnego świata!

Do 1952 roku profesor A. W. Dhernier przygotowywał wyprawę. Notatka zamieszczona w kwartalniku "Archeologia świata" była dowodem pomyślnego zakończenia przygotowań. Dhernier zamieścił notatkę, ponieważ miał pewność, że posiada klucz do rozszyfrowania zagadki wieków.

### III

Jechali przez pustynię. Najokropniejsze były noce. Ogromny żółty księżyc dobywał się z gęstwy kurzu. Kurz powoli rozpełzł i kłębił się w duszących tumanach.

Poruszali odruchowo szczękami, jakby chcieli rozgryźć ów kurz przenikający do gardła niby żar. Ludzi ogarniał jakiś półsen. Cuciło ich nagle pragnienie i chłód. Wtedy wszystkie objawy zmęczenia wracały ze zdwojoną siłą. Największym marzeniem był odpoczynek.

Krajobraz z pustynnego staje się coraz bardziej górzysty. El-Kebri, które wyprawa Dherniera minęła poprzedniego dnia, wywarło na uczestnikach silne wrażenie.

"Rozbite wieże, rozwalone warownie, wyłamane kopuły, strzaskane... Ta masa, straszna swoimi wgłębieniami i wypryskami wyobrażała wszystko to, co było najokropniejsze i najbardziej tragiczne. Wiatr falami pustynnego piasku tak oszlifował wystające jeszcze kikuty domów i świątyń, że stały się okrągłe i gładkie. Zmęczona ręka nie znajdowała na nich oparcia. Tysiąc lat wiatru, który przeszedł przed frontem kamieni. Wielkość życia rozdrobniła się w ziarenka piasku" --- czytamy w dzienniku uczestników. I dalej:

"Labirynt z ruin i piasku na nie kończącej się przestrzeni... Przez ogarniającą mnie senność patrzyłem na roztopioną słońcem pustynię. Wydawało się, że przed moimi oczyma przesuwały się srebrzyste gaje, pola pomarańczowe i cytrynowe, a kule owoców, żółte i czerwone, połyskują niby tysiące małych słońc, fosforyzując własnym, wewnętrznym światłem, że rzeki snują się ospale po zboczach odległych wzgórz..."

Wyprawa mijала brzegi jakiejś sekbhy. Wysoko załadowane ciągniki przesuwały swoje ciemnoniebieskie cienie. Na przodzie w małym łażiku jechał Dhernier.

Piątego dnia kolumna musiała się zatrzymać. Teren, podnoszący się dotąd powoli, gwałtownie przeszedł w stromiznę przerywaną skalistymi wąwozami. Dalsza droga dla ciężkich ciągników stała się niedostępna. Na horyzoncie wyraźnie rysował się masyw olbrzymiej skały.

Dhernier zdecydował rozbić obóz.

Drugiego dnia o świcie w dalszą drogę wyruszyła tylko część ekipy na silnych i zręcznych łażikach. U wylotu wąwozu pozostało osiem ciągników wraz z większością ludzi. Tutaj zainstalowano bazę, z której sprzęt i ludzi miano w przyszłości dowozić do Tedeggi.

Trzeciego dnia od momentu przymusowego podzielenia ekipy łażiki dotarły na szczyt wzniesienia. Przed nimi rozpościerało się przedziwne rumowisko skał i murów. Prof. Dhernier zdradzał duże podniecenie. Stąd, z tajemniczego

grobowca wiedzy, przesłał światu ostatnią wieść prof. Heinesa.

Przedsięwziawszy wszelkie środki bezpieczeństwa, przystąpiono do akcji. Wielodniowe poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Któregoś dnia prof. Dhernier zwrócił uwagę na granitową skałę, która zamykała miasto od zachodniej strony. Ściana ta przecięta była szczeliną, tworząc rodzaj korytarza, w którym mogło przejść obok siebie trzech mężczyzn.

Dhernier skompletował ośmioosobową ekipę i na jej czele udał się w głąb szczeliny.

## IV

Już dwa dni szli pośród labiryntu olbrzymich, czarnych skał, nie słysząc nic prócz odgłosu własnych kroków. Korytarz nagle zwęził się, by po kilkudziesięciu metrach raptownie rozszerzyć się i szerokim łukiem skręcić w lewo.

Jeden z młodych archeologów zauważył, że ściany skały noszą ślady obróbki dokonanej ludzką ręką.

Zwalisko skał zatarasowało dalszą drogę. Dhernier był pewien, że znalazł się u upragnionego celu. Kamienie tarasujące drogę miały powierzchnię błyszczącą, nie utlenioną. Katastrofa musiała nastąpić nie więcej jak kilkanaście lat temu.

Usuwanie przeszkody trwało niespodziewanie krótko. Już następnego dnia w południe odsłoniło się przed nim wąskie i niskie przejście, prowadzące w głąb skalnej ściany.

Znaleźli się w dużej, okrągłej sali o średnicy około pięćdziesięciu stóp i takiej samej wysokości. Podłoga, wklęsłe ściany i sufit zrobione były z żyłkowatego jak porfir marmuru.

Ciemnym korytarzykiem weszli do następnej sali. Tu pod ścianami znajdowały się wykute wnęki, z których każda mieściła w sobie coś w rodzaju szerokiej, kamiennej skrzyni. Skrzynie te były zamknięte płytami z marmuru. Niektóre płyty były odwalone. Z wnętrza skrzyń wyglądały grzbiety ksiąg i rulony papirusów. Jedyne światło docierało do tej sali z wybitego w górze otworu, do którego prowadziły schodki.

Dhernier z docentem Busimenem udali się po schodkach w kierunku otworu ziejącego światłem. Kończyły się one małym tarasem skalnym, zawieszonym nad przepaścią. Tutaj znaleźli szkielet profesora Heinesa.

Busimen zwrócił uwagę, że do występu skalnego na tarasie przymocowane były resztki zbutwiałej liny, której koniec zwisał nad przepaścią. Widocznie towarzysze profesora podjęli ryzykowną próbę zejścia na dół, sądząc, że w ten sposób uda im się znaleźć wyjście z pułapki. Jednak to przedsięwzięcie musiało się skończyć tragicznie.

Dhernier polecił, by opróżniono z ksiąg jedną z kamiennych skrzyń i w niej złożono szczątki profesora Heinesa.

Przystąpiono do pakowania księgozbiorów. Pod jedną z płyt znaleziono dziennik Heinesa. Zawierał on opis pracy, domysły na temat przyczyn katastrofy, która odcięła ekspedycję od świata, próby skatalogowania znajdujących się w salach zbiorów oraz przypuszczenia profesora na temat ich pochodzenia i sposobu, w jaki tu dotarli. Heines nie umiał wytłumaczyć przyczyny obsunięcia się skały. Przypuszczał, że była to celowo przed wiekami zastawiona pułapka na tych, którzy by chcieli wtargnąć do biblioteki.

Z notatek wynikało, że Heines miał pewność, iż księgozbiory te stanowią część dawnej Biblioteki Kartagińskiej i zostały najprawdopodobniej przeniesione tu przez uciekinierów, którzy musieli wiedzieć --- ze starych rękopisów --- o istnieniu Tedeggi...

## V

Księgozbiór tedeggański w całości został przewieziony do Europy.

Rozpoczęło się żmudne odczytywanie tekstów. Całością prac kierował profesor Dhernier. Wyniki badań przeszły najśmielsze oczekiwania uczonego. Ustalono, że większość prac jest pochodzenia staroegipskiego i zawiera bogaty materiał historyczny oraz zbiory modlitw medyczno-magicznych i legend.

Idąc za wskazówkami Heinesa, Dhernier dużo uwagi poświęcił przede wszystkim jednemu z papyrusów. Był to bodajże najstarszy egzemplarz. Odczytanie nastęczyło wiele trudności, gdyż pisany był hieroglifami z epoki pierwszej dynastii, kiedy system znaków dopiero się ustalał i napotymano bez przerwy na coraz to nowe nieznanne odmiany i nieoczekiwane ligatury. Powoli z odczytywanego tekstu wyłaniała się historia i dzieje zagłady jakiegoś państwa.

Dhernier doszedł do wniosku, że właśnie z tego tekstu korzystali Platon przy pisaniu Critiasa i Milon przy pisaniu Księgi Machin.

Z treści zapisu wynikało, że Egipt był lennikiem jakiegoś tajemniczego mocarstwa, znajdującego się za morzem. Papyrus głosił: "Stał się głód w ziemi naszej i zstąpili na ląd z brzucha ryby brodaci przybysze w długim, czarnym odzieniu. Wszyscy mieli wronie twarze, to znaczy podłużne twarze, z orlimi nosami. W Delcie Nilu, w Delcie Tygrysu i Eufratu uczyli naród, budowali świątynie, piramidy, przeprowadzali kanały nawadniające i uczyli sprowadzania deszczu na wyschłe pola. I głód odwrócił swoje oblicze od ziemi naszej..."

Od tego czasu rozpoczyna się okres panowania nieznanymi przybyszów w Egipcie. Wraz z rozkwitem państwa egipskiego wzrastały żądania tajemniczych władców. Bogactwa wywozili oni nieznanymi okrętami, które poruszały się po morzu bez żagli.

O ile wiadomo, że okręty tajemniczych przybyszów bez trudu dobijały do Egiptu, to nigdzie nie ma wzmianki o tym, aby jakimkolwiek żeglarzowi egipskiemu udało się dotrzeć do tajemniczej ziemi. Przybyszów otaczano czcią przysługująca bogom i sądzono, że pochodzą z jakiejś świętej krainy. Jedynie faraon Job, na którego nałożono szczególnie wielkie kontrybucje, zbuntował się i powstał przeciw tajemniczym władcom. Garstka przybyszów zniszczyła całkowicie wielką armię Joba. Od tego czasu nie zanotowano żadnych prób buntu.

Poddaństwo Egiptu zakończyło się nagle i w tajemniczych okolicznościach. Stało się to w tym samym czasie, kiedy straszliwy kataklizm nawiedził ziemię. Papyrus notuje różne relacje o tym kataklizmie:

"Niebo połączyło się z ziemią. W ciągu jednego dnia wszystko zginęło.. Dzień ten wytepił wszystko, co żyje, nawet góra zanurzyła się w wodzie i woda stała nieruchomo w ciągu 52 wiosen... Ziemia pociemniała i zaczął padać ponury deszcz -- deszcz w dzień i deszcz w nocy... I rozległ się szum ognia nad głowami... Wówczas ludzie rozpychając się nawzajem, w rozpaczycie rzucili się do ucieczki. Włazili na dachy domów i domy waląc się zrzucały ich na ziemię, wspinali się na drzewa i drzewa strząsały ich z siebie, chcieli wejść do jaskiń

i jaskinie zamykały się przed nimi... morze wystąpiło z brzegów i cała

rozległa równina ciągnąca się bez kresu pokryta została wodą i utopiona. Jedynie góry nie zostały zatopione i stały się wyspami... Kraj siedmiu wzgórz, ziemia Att była skazana na zagładę. Po dwukrotnych silnych wstrząsach znikła nagle w ciągu nocy. Ziemia nieustannie trzęsła się wskutek sił podziemnych, które podnosiły ją i opuszczały w wielu miejscach tak, że zapadała się. Kraj oddzielił się jeden od drugiego, a następnie, nie będąc w stanie oprzeć się tym strasznym wstrząsoms, zapadł się, pociągając za sobą 64 miliony mieszkańców... Potopowi i pożarowi towarzyszyło niezwykle zaciemnienie słońca. W ciągu pięciu dni z rzędu nie było w ogóle światła i ciepły kraj, obfitujący we wspaniałe owoce i jaskrawe ptaki, stał się w ciągu tych pięciu dni pustynią..."

Według rękopisu z kataklizmem wiąże się jedno bardzo znamienne wydarzenie, które miało spowodować szybką odbudowę Egiptu i jego późniejszy wspaniały rozkwit.

"Kiedy słońce wróciło na niebo, pozostali przy życiu mieszkańcy Sais w gruzach swojego miasta znaleźli cielsko wielkiego, twardego ptaka. Leżał martwy, z obłamanymi skrzydłami. Bojaźliwie zbliżyli się do niego. Przekonali się, że ptak żył. Z jego głowy dobiegał głos, który w słowach, jakimi posługiwali się Władcy, ludzie o wronich twarzach, wzywał pomocy. Saisanie przełamali lęk i, jak nakazywał im głos, otworzyli drzwi na nosie ptaka. Z wnętrza wyszedł brodaty mężczyzna w długim, czarnym odzieniu".

Ludzie do ostatnich granic przerażeni kataklizmem przyjęli starca, tak jakby bóstwo zstąpiło na ziemię. Stał się ich kapłanem, nauczycielem i prawodawcą. Rozproszonych zorganizował w społeczeństwo. Dał im kalendarz, prawa i wprowadził kult słońca. Ożywił ruiny. Wśród pustyni nauczył zakładać sady i uprawiać pola. Przebywał wśród Egipcjan i mówił, że chce zmienić kraj na wzór tego, z którego przybył.

Papirusy zawierają wiele z opowieści Tota --- tak bowiem kazał się nazywać. Kronikarz notuje o krainie Tota, która miała być bogatą i żyzną.

"Jej pola i ogrody dawały obfite plony. Żniwa odbywały się tam dwa razy do roku. Rzeki obfitowały w ryby, a lasy w zwierzynę. Ludność wydobywała z ziemi wszystko to, co było «twarde i topliwe». Kraina słynęła z bogatej roślinności. Miasta miały ruchome domy i ulice. Mieszkańcy posługiwali się mówiącymi maszynami. Potrafili noc zamienić na dzień. Krainą rządziło dwunastu kapłanów. Poddani znali jednak tylko jednego imieniem Ata, władcę pól, lasów, wojska, zastępów urzędników i tedeggów, którzy pływali za morza do barbarzyńców, mówiąc tam o istnieniu Krainy Bogów i głosząc, iż wszystkie ludy powinny stać się jej lennikami."

Przy lekturze papirusu uderza duża nieporadność kronikarza. Nie mógł on widocznie zrozumieć wszystkiego, o czym mówił Tot. Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów i określeń dla wiernego oddania treści opowiadań. Z tych względów fragmenty relacji dotyczące sposobu, w jaki Tot przyleciał do Egiptu w "ptaku", są zupełnie nieczytelne.

Zakończenie papirusu zawiera opis wielkiej żałoby, w jakiej pogrążył się kraj przez okres trzech odmian księżyca po śmierci Tota. Ludzie wychodzili z miast na pustynię, którą poili krwią zwierząt ofiarnych. Przez całe dni nie przyjmowali pokarmu i wody leżąc na rozpalonym piasku.

Zabalsamowane ciało Tota złożono zgodnie z jego wolą obok szczątków ptaka, w którym przyleciał do Egiptu, w świątyni piramidzie.

## VI

Dhernier coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zarówno spisana relacja Tota, jak i poprzednie zapiski egipskich kronikarzy dotyczą historii legendarnej Atlantydy.

Przekraczało to jego najśmielsze oczekiwania z okresu, kiedy postanowił pójść śladami prof. Heinesa. Dhernier wraz z zespołem współpracowników przygotował obszerną pracę naukową o historycznych źródłach istnienia Atlantydy. Została ona przyjęta dość sceptycznie przez świat nauki. Główne zarzuty dotyczyły przede wszystkim tych partii, w których była mowa o cywilizacji i stopniu rozwoju techniki w Atlantydzie. Twierdzono, że Dhernier dał się złapać na lep fantazji podekscytowanego wydarzeniami egipskiego kronikarza, który pisał o okrętach bez żagli i latającym ptaku. Twierdzono, że kataklizm stworzył wystarczająco podatny grunt do powstania najprzedziwniejszych legend.

Rzeczywiście, był to najślabszy punkt jego pracy. Rozproszyc wątpliwości mogło jedynie ewentualne odnalezienie

grobowca Tota, o którego istnieniu wspominają papirusy. Nigdzie jednak, nawet w przybliżeniu, nie zostało podane miejsce, w którym grobowiec ten powinien się znajdować.

Dhernier na razie nie zrażał się. Czekał na zakończenie badań prowadzonych przez kilka podległych mu grup specjalistycznych, pracujących nad pozostałymi materiałami przywiezionymi z Tedeggi.

Przewidywania jego spełniły się Busimen, który pracował nad Księgami Jukatańskimi, natrafił na opis ziemi egipskiej podróżnika --- Nithana z Jukaty. Ten w relacji o napotykanym w Egipcie cudach architektonicznych wymienia również grobowiec Tota, o którym pisze, że był założycielem i pierwszym kapłanem Słońca starożytnego Egiptu. Nithan umiejscawia grobowiec Tota w okolicy miasta Sais.

To odkrycie zadecydowało. Dhernier postanowił podjąć nową wyprawę. Tym razem przy pełnym poparciu Instytutu Archeologii CCBM udało mu się skompletować zespół doskonałych fachowców.

Wśród członków wyprawy nie brakowało sceptyków, których jednak, mimo wątpliwości, zafascynowały dotychczasowe odkrycia Dherniera.

## VII

Do Sais, dzięki dobremu przygotowaniu, udało się dotrzeć bardzo szybko. Niedaleko miasta, w środku równiny, wznosiły się dwie piramidy poświęcone Księżycowi i Słońcu.

Wokół piramid piętrzyły się stosy ruin. Były to ruiny dawnych świątyń, w których kapłani czcili ciała niebieskie, świecące we dnie i w nocy. Posługując się akustycznymi sondami badano metr po metrze rumowisko i otaczającą je pustynię. W odległości około półtorej mili na wschód od piramidy Księżycy sondy wykazały, że pod grubą warstwą naniesionego przez wieki piasku znajduje się duża budowla. Do jej odkopania przystąpiono z przedsięwzięciem wszelkich środków ostrożności. Łatwo było o uszkodzenie wykopaliska. Prace prowadzono ręcznie.

Po trzech tygodniach wychylił się płaski, ścięty szczyt. Natychmiast zrobiono zastrzyk z cementu, aby zapobiec usuwaniu się kamieni. Upłynęły dalsze cztery miesiące, w ciągu których, bez mała centymetr po centymetrze, zbliżano się do fundamentów. Wreszcie 14 kwietnia 1957 roku odrzucono ostatnią łopatę piasku.

Przed oczami uczonych stała budowla przypominająca zarysem piramidę. Wejście do niej znajdowało się od strony piramidy Słońca. Po odwaleniu zamykających głazów ludzie znaleźli się w korytarzu o wysokości dwu metrów. Prowadził on do kwadratowej niszy. Na jej środku ujrzeli sarkofag z lśniącego drzewa, pokryty malowidłami i hieroglifami. Jego dolna część była zamknięta i tworzyła prawidłową, kwadratową podstawę.

Pracowano w zupełnym milczeniu. Zachodziła bowiem obawa, że dźwięk głosu może wywołać tu, podobnie jak w górach, lawinę i zawalenie się całej budowli lub zniszczenie jakiegoś fragmentu, z których każdy posiadał --- co nie budziło najmniejszej wątpliwości --- nieocenioną wartość historyczną.

Po otwarciu sarkofagu ukazała się postać ludzka, przypominająca posąg z jasnego brązu. Uwagę wszystkich zwrócił sposób balsamowania ciała. Niczym nie przypominał on praktykowanego w późniejszym okresie przez Egipcjan. Zastosowano raczej metodę, którą opisuje Variot w swoim dziele pt. "Antropologia galwaniczna". Naskórek pokrywała cienka warstwa srebra, ta z kolei pokryta była drugą warstwą siarczanu miedzi. Tak więc był to raczej posąg, a nie mumia. W sarkofagu znajdowały się także srebrne i złote posążki, figurki ryb i ptaków, metalowe talerze, bransolety itd.

Podczas kiedy uczeni, zaszokowani odkryciem, przeglądali sarkofag i znajdujące się w nim przedmioty, Dhernier gorączkowo przeszukiwał zakątki niszy, oglądał malowidła, studiował hieroglify. Zdawał sobie sprawę, że nie znaleziono dotychczas tego, co by w jakikolwiek sposób mogło przyczynić się do wyjaśnienia najważniejszej sprawy.

Osluchiwanie ścian i podłogi aparatami Linera nie dało rezultatu. Mur wszędzie był zwarty i nie wyczuwało się pustki. Dherniera spalała

niecierpliwość. Aby się opanować, wyszedł na zewnątrz. Usiadł w stojącym w pobliżu łaziku.

--- Ale sukces, panie profesorze --- odezwał się szofer.

--- Tak, oczywiście --- odparł z roztargnieniem profesor.

--- Dzisiaj nikomu chyba się nie chciało stawiać tak wielkiej budowli --- podjął szofer. --- A grób umieścili w samym kącie, w małej dziurze.

--- Co? --- Dhernier ocknął się.

--- Ano mówię, że to próżna robota. Tu przecież można zmieścić boisko do golfa...



Dhernier nie słuchał już dalszych słów szofera. Z napięciem patrzył na piramidę. Rzeczywiście wejście do niszy nie znajdowało się pośrodku, a w lewym boku.

Wyskoczył z auta i pobiegł do piramidy. Na progu natknął się na jednego z asystentów.

--- Szukałem pana profesora. Niech pan spojrzy co się dzieje z busolą?!

Dhernier bez słowa wyrwał mu ją z rąk.

Nieemożliwe! Strzałka busoli, mimo manewrowania, uparcie odchyłała się na wschód, w kierunku ściany, na której wyrzeźbiona była głowa ptaka-fregaty.

--- Panowie! --- krzyknął Dhernier nie panując nad sobą.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

--- Panowie! Panowie... --- szeptał wskazując na busolę.

Zrozumieli.

\*

Całą niszę zabudowano wewnątrz rusztowaniem z drewna, podpierając stemplami sklepienie i boczne ściany z wyjątkiem wschodniej. Wykruszając powoli spoidło, jakim były złączone poszczególne kamienie, zrobiono wąski otwór. Po wyjęciu jednego z kamieni natrafiono na próżnię. Szybko poszerzono otwór.

Uczeni przeciskali się jeden za drugim. Dhernier, który wszedł pierwszy, krzyknął:

--- Podajcie reflektory!

Trysnął strumień światła.

Ludzie patrzyli skamieniali. W ciszy rozległ się nerwowy szept...

--- Rakieta...

\*

Sais i tereny położone między piramidami --- Słońca i Księżycy --- zamieniły się w jedno wielkie kretowisko. Setki robotników pod kierownictwem naukowców przetrząsały każdą grudkę ziemi. Wokół tych terenów wyrosło całe miasto, zbudowane z białych plastikowych domków. Zarządzający tym miasteczkiem naukowców, Arim Korren, w przypływie dobrego humoru kazał poustawiać tablice, które wyznaczały granice dzielnic. Dla każdej z dzielnic, zamieszkałej przez poszczególne grupy specjalistów, wymyślił nie pozbawione dowcipu i złośliwości zarazem odpowiednie nazwy. Dzielnicę, w której mieszkał prof. Dhernier nazwał --- "Atlantydką", a inne: "Garkotłuków", "Kretów" --- itp.

Był plac w tym miasteczku. Stał na nim olbrzymi hangar. Znajdowała się w nim rakieta przeniesiona z piramidy Tota. Dwa razy w miesiącu zbierali się w hangarze mieszkańcy miasteczka, by wysłuchać sprawozdań z postępu prac poszczególnych grup badawczych. Spotkania te, mimo naukowego charakteru, miały stać się z czasem nieodłączną częścią życia miasteczka. Zbierano się tu nawet w celach towarzyskich, czemu sprzyjała sama atmosfera spotkań. Kierownicy poszczególnych grup referujący przebieg prac robili to w sposób bezpośredni, wprowadzając często elementy gawęd.

Prace naukowe oparte na zbieranych materiałach miały dopiero powstać po zakończeniu badań. Materiał ów był tak rewelacyjny, że nawet najbardziej trzeźwi i rygorystyczni naukowcy zmuszeni byli do przyjęcia postawy samoobronnej. Polegała ona na traktowaniu wszystkiego, na co tutaj napotykali, z beztroską laików. Był to zresztą jedyny sposób na utrzymanie w ryzach nerwów. Sam moment odkrycia rakiety w grobowcu Tota stał się wystarczającym dowodem w tej

mierze.

## VIII

Horyzont szarzał. Piasek jakby zaskoczony pierwszymi falami chłodu --- zastygł. Uliczki miasteczka zaroily się. Wszyscy kierowali swoje kroki do hangaru. Dzisiejszy wieczór zapowiadał się atrakcyjnie.

W mijających grupkach rozmawiano, snuto przypuszczenia. Jedni traktowali to z niezwykłą powagą. Ale można było spotkać także i takich, którzy emocjonowali się tym wieczorem jak dobrze zapowiadającym się meczem bokserskim. Zawierano nawet zakłady. Typowano możliwości na zasadzie totalizatora sportowego.

W hangarze, za stołem stojącym u stóp rakiety, zasiadł w otoczeniu kilku uczonych prof. Dhernier. Kiedy wewnątrz hangaru zappełniło się i ucichły ostatnie słowa, profesor wstał i wskazując na wysokiego, szczupłego mężczyznę, powiedział:

--- Oto profesor Carpone, specjalista od rakiety i podróży kosmicznych. Proszę bardzo.

--- Pragnąłbym przedstawić --- rozpoczął Carpone --- wyniki badań mojego zespołu. Jak państwo wiedzą, skoncentrowaliśmy głównie swoje zainteresowania na rakiecie Tota. Wyniki są rewelacyjne, ale jeszcze niepełne. Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości będziemy mogli powiedzieć znacznie więcej. Sam kadłub rakiety, pokryty nie znanym nam stopem metalu, jak na swój wiek zachował się doskonale. Zdołaliśmy ustalić wiek rakiety, bagatela --- dziesięć... do jedenastu tysięcy lat! Ten czas okazał się wystarczający, aby cała znajdująca się wewnątrz aparatura znalazła się w trudnym do zidentyfikowania stanie. W niezrozumiały jednak sposób ocalała z kataklizmu i obroniła się przed niszczyielskim działaniem wieków zainstalowana w rakiecie ultrakamera fotograficzna wraz z filmem utrwalonym na płytach o zagadkowej konsystencji. Prawdopodobnie zawdzięczamy to przezornemu Totowi, który kamerę i film specjalnie zabezpieczył.

Nie natrafiliśmy na ślady, które by mogły nas naprowadzić na przyczynę skłaniającą Tota do wystartowania w rakiecie z Atlantydy. Być może Tot uciekał. Zdjęcia zanotowały olbrzymią detonację, w wyniku której od ziemi --- w ślad za Totem --- oderwała się ogromna pięciostopniowa rakietka. Zdjęcia wskazują, że zbliżała się ona z nieprawdopodobną szybkością do rakiety Tota. Jednak po kilkunastu kłatkach rakietka ta wybuchła i rozrywa się w powietrzu. Następne zdjęcia utrwaliły kilka kolejnych wybuchów na ziemi o ogromnej sile. W tej samej chwili uszkodzona na skutek uderzenia fali powietrznej kamera przestała działać, a sama rakietka wytracona z żyra lotu --- szczęśliwie, na trudnej do wytłumaczenia zasadzie --- wylądowała w Egipcie.

--- Tymczasem Atlantyda przestała istnieć. Termojądrowa reakcja łańcuchowa --- 350 milionów stopni Celsjusza --- zrobiła swoje. Dlaczego Tot uciekał? Dlaczego wszczęto za nim pogoń?... Wybaczcie to nie mój resort. A mówiąc szczerze, nie wiem. Moje osobiste przypuszczenia opieram na ludzkich, współczesnych nam doświadczeniach.

--- Jeśli zaryzykowano pościg raketami, to musiała to być sprawa państwowej wagi albo ta najbardziej intymna --- taki ludzki drobiażdżek... Sądzę, że na ten temat jeszcze nieraz będą zabierali głos specjaliści. Teraz przedstawię państwu dane techniczne rakiety Tota, podam wyniki analiz surowca, z którego została zbudowana, oraz przedstawię schematycznie zasady działania mechanizmów poruszających i urządzeń sterujących...

## IX

--- Szach i... mat!

--- Tym razem udało się panu --- powiedział Dhernier.

--- No to proszę bardzo, gramy rewanz --- roześmiał się Carpone.

Dhernier ustawiając pionki na szachownicy odezwał się pół żartem, pół serio:

--- Gdybym wiedział, że wszystko to tak się skończy, wolałbym rozwiązywać zadania szachowe. Przynajmniej dziś by pan ze mną nie wygrał... Ja, archeolog, specjalista od potłuczonych dzbanków, włączę w atomową awanturę!

--- Usprawiedliwia pana, że jest to awantura starożytna... Zupełnie starożytna.

--- Zastanawiam się --- rzekł poważniejąc Dhernier --- czy my, współcześni, możemy skorzystać z tej, zdać by się mogło, fantastycznej historii. Czy nasza nauka...

--- Gdyby pan nam odkrył te rewelacje cztery, pięć lat temu, byłyby sensacją nie tylko historii świata antycznego, ale i dla naszych badań. Dzisiaj wiemy już więcej.

--- Chce pan przez to powiedzieć, że nie stać nas nawet na... Tota?

\*

Na drugi dzień, nim jeszcze słońce stanęło nad pustynią, ekipy badaczy znów wyszły do pracy.

**Bogdan Lekszycki**  
**FIGURKA Z RAPA-NUI**

Nikt nie potrafił zdobyć się na przerwanie milczenia. Wiadomość o śmierci Gringoire'a była tak nagła i wstrząsająca, że czterej francuscy archeolodzy odczuli silne przygnębienie i niewytłumaczony niepokój.

--- A więc umarł... --- westchnął Paul Stebois. --- Umarł, a był wszakże najmłodszy z nas... Mon Dieu, cóż znaczą trzydzieści dwa lata? Przecież właściwie dopiero w tym wieku zaczyna się naprawdę w pełni żyć. Pewna równowaga, rozumiejsze spojrzenie na świat...

--- Nie byłby umarł --- przerwał z naciskiem Filip Barthelott --- gdyby nie jego wyprawa na Waihu i dokonanie tam osobliwego odkrycia. Nie powiedziałem wam jeszcze, że przy jego łóżku znaleziono figurkę, wyobrażającą jakiegoś bożka, podobnego nieco do egipskiego Ptaha. Stwierdzam kategorycznie, że Gringoire nie przywiózł z sobą tej figurki, wszystkie bowiem wykopaliska starannie ponumerował i umieścił w spisie z dokładnymi objaśnieniami, a o tym pokracznym człowieczku z ptasią głową nie wspomniał ani jednym słowem. Sacré bleu, gdzież ona jest? Miałem ją przecież w kieszeni kamizelki.

--- Stoi na stole, chłopcze --- zauważył Stebois. --- Musiałeś wyjąć ją bezwiednie i tam postawić.

--- Może... --- zgodził się bez przekonania Barthelott. --- Mniejsza z tym. Czy przypominacie sobie smutny los archeologów angielskich, którzy odkopali mumię Tutenchamona?

--- Głupstwa! --- wykrzyknął z oburzeniem Andre Sollen. --- Prasa jak prasa. Rozbębniła beztrąsko niesłychane historie, ale nikt dotąd autorytatywnie nie stwierdził, ile w tym wszystkim prawdy. W XX wieku...

--- W XX wieku --- przerwał poważnie Barthelott --- dzieją się także rzeczy dziwne, wobec których wiedza nasza wciąż jeszcze jest bezsilna.

--- Głupstwa --- powtórzył Sollen.

--- Tak ty twierdzisz --- rzekł chłodno Barthelott --- ja jednak jestem innego zdania. Czy chcesz towarzyszyć mi na Waihu?

--- Nowa wyprawa? --- zdumiał się Stebois.

--- W przyszłym tygodniu, w czwartek, o godzinie 17.45 odplywa z Nantes do Gwadelupy Franciszek Feliks Faure. Stamtąd chcę zabrać się innym parowcem do Panamy, a potem wynajmę może jakiś kuter rybacki. Z Panamy do Waihu jest około 740 mil morskich na południowy zachód. To już drobiazg.

--- Jadę z tobą --- rzekł krótko Sollen. --- Mam dwa cele: uzupełnić badania tego biednego Gringoire'a i udowodnić ci, że żadne "nadnaturalności" nie istnieją. Po prostu nie mogą istnieć: to przeczy zdrowemu rozsądkowi.

Barthelott uśmiechnął się pobłaźliwie, po czym spojrzał pytająco na pozostałych kolegów.

--- Odnoszę wrażenie, że pojedziemy chyba wszyscy --- oświadczył milczący dotychczas staruszek Fenmieux. --- Relacje Gringoire'a są co najmniej zastanawiające, a przy tym... Jak ten bożek paskudnie patrzy! To monstrualny potworek, wcielenie zła w jego najgorszej formie...

Uczeni pochylili się nad czarną figurką, której oczy głęboko osadzone w cudacznej ptasiej głowie zdawały się ziać szyderstwem i nienawiścią. Było coś tak niewypowiedziane groźnego w tym spojrzeniu bożka, że po plecach archeologów przebiegł nieprzyjemny dreszcz, choć byli to ludzie przywykli od lat do różnego rodzaju osobliwości.

Patrzyli na siebie ze zdumieniem, a gdy po chwili wzrok ich znowu spoczął na stole, nie zobaczyli już czarnej figurki.

--- Sacré bleu, przecież nie rozplynęła się w powietrzu! --- krzyknął z gniewem Barthelott. --- Nie róbcie głupich kawałów, nie pora na to!

Okazało się jednak, że nikt nie dotykał nawet figurki, a skrupulatne poszukiwania nie dały rezultatu. Bożek zniknął w niewytłumaczony sposób.

\*

W trzy miesiące później francuscy uczeni wylądowali na wulkanicznej wyspie Waihu, nazwanej przez geografów Wielkanocną, na pamiątkę odkrycia jej w niedzielę wielkanocną roku 1722 przez żeglarza Roggoveena. Nieduża ta wyspa, o powierzchni stu dwudziestu dwóch kilometrów kwadratowych, sama przez się nie interesowała zbyt archeologów, toteż niezwłocznie ruszyli w stronę ruin zagadkowej świątyni, której wierzchołki sterczały w górę na kilkadziesiąt metrów. Minęli obojętnie mnóstwo kamiennych budowli pokrytych wewnątrz fantastycznymi malowidłami i wykładanych dziwacznie rzeźbionymi

plytami, wszystko to bowiem znali dokładnie z dzieł różnych innych uczonych, którzy odkopali te budowle przed wielu laty.

Spiesznie, zbyt spiesznie, by mogło się to wydawać naturalne chilijskiemu urzędnikowi, towarzyszącemu im w myśl instrukcji swego rządu, zagłębili się w rozległe podziemia świątyni wykute w litej skale. Panował tu mrok i przenikliwy, wilgotny chłód.

--- Sennores! --- przestrzegali Chilijczyk. --- Słońce już zachodzi, czy nie lepiej byłoby zacząć poszukiwania jutro, choćby o świcie? Dzieją się tu rzeczy niewytłumaczone, których nie pojmują nawet krajowcy, choć naprawdę trudno ich czymkolwiek zadziwić.

Nie zwrócili uwagi na słowa urzędnika. Nic nowego! W czasie długiej podróży po Pacyfiku czytali na przykład w zapiskach zmarłego Gringoire'a, że według tajemniczej przepowiedni dawno wymarłego ludu szczerozłoty posąg bożka wyspy Rapa-Nui, jak nazywają krajowcy Waihu, pogrąży się w otchłań wód, gdy spocznie na nim oko obcego człowieka. Gringoire znalazł papirus z tą dziwną przepowiednią i zdołał ją odcyfrować, ale nie widział posągu. Dlaczego nie widział, skoro znalazł wejście do ofiarnej komnaty?

Schodzili pospiesznie w dół po szerokich, kamiennych schodach do niższej kondygnacji podziemi. Nie rozmawiali z sobą, nie zwracali uwagi na otoczenie. Dlaczego Gringoire nie widział posągu? Od odpowiedzi na to pytanie zależało wiele, bardzo wiele, może nawet wszystko, co dręczyło swą niepokojącą zagadkowością. Młodzi i zdrowi ludzie nie umierają przecież nagle, o ile nikt im do tego nie pomoże, a sekcja zwłok ich wysoce uzdolnionego kolegi nie ustaliła przyczyny śmierci, choć przeprowadzona została przez wybitnych specjalistów medycyny sądowej.

W lewej ścianie olbrzymiej pustej sali dostrzegli opisany przez zmarłego wyłom. Za tym właśnie wyłomem ma znajdować się złoty posąg bożka...

Sollen, drżący z podniecenia, usiadł okrakiem w otworze i rzucił do wnętrza następnej sali snop promieni swojej latarki elektrycznej.

--- Wielki Boże! --- wykrzyknął.

Trzej jego koledzy spojrzeli szybko ponad jego ramieniem.

Komnata ofiarna napełniona była wodą, czarną jak sadza, na pewno znacznej głębokości. W odległości kilkunastu metrów biał się mgławo postument z jasnego kamienia; na nim zapewne stał zagadkowy posąg, zupełnie niewidoczny z tej odległości. Trzeba by silnego reflektora, by przedrzeć głębokie ciemności podziemia. Niestety, nie przewidzieli tego.

--- Spróbujemy świecić wszystkimi latarkami naraz --- zaproponował Barthelott. --- Może coś jednak dojrzymy.

--- Nic dziwnego, że Gringoire nie widział posągu... --- mruknął starszek Fenmieux więcej do siebie niż do stojącego tuż przy nim urzędnika.

Przenikliwy zgrzyt ocierających się wzajemnie o siebie skał instynktownie pchnął ich w tył.

Kamienna ściana komnaty ofiarnej opadła nagle w dół jak zerwana

kurtyna, strącając w otchłań Sollena, Barthelotta i Steboisa. Przed przerażonym Fenmieux rozciągała się już tylko obszerna wodna płaszczyzna, na której krańcu biał się postument niewidzialnego posągu, osuwający się z wolna w czarne, wzburzone teraz fale. Niebawem zniknął zupełnie, a przybierająca gwałtownie woda poczęła wypływać ponad bazaltowe ocembrowanie.

Fenmieux wraz z na wpół przytomnym z przerażenia Chilijczykiem rzucili się do ucieczki.

--- A ostrzegałem, senior, ostrzegałem! --- jęczał zdyszany urzędnik. --- I jak ja teraz wytłumaczę się przed zwierzchnością?... Wypędzą mnie jak dwa razy dwa cztery! Ach, ci niepoprawni, uparci, wszechmądrzy Europejczycy!

Czarne nurty przesycone solami metalicznymi pochłaniały szybko podziemia i wkrótce wypływać poczęły na zewnątrz ruin tajemniczej świątyni torując sobie wśród skalnych złomów drogę do oceanu.

--- Tej wody nigdy nie uda się usunąć... --- mówili krajowcy porządkując znacząco głowami.

\*

Staruszek Fenmieux, ułożywszy się pewnej nocy do snu w kajucie kapitana szkunera węglowego Rosita, płynącego do Panamy, nie obudził się więcej. Stan jego serca od dawna wiele pozostawiał do życzenia, a ostatnie przeżycia na pewno go nie poprawiły, toteż śmierć starego archeologa miała wszelkie cechy naturalności. Tyle tylko, że kapitan van Roseen znalazł przy koi zmarłego czarną pokraczną figurkę człowieczka z ptasią głową, taką samą, jaką znaleziono przy zwłokach Gringoire'a.

Francuz znalazł grób w odmętach Pacyfiku, nie podobna było bowiem wieźć zwłoki w czasie upału, przez kilkanaście dni; zaszyto je w płótno żaglowe, kapitan odmówił nad nimi tradycyjne modły marynarskie i szczątki staruszka, obciążone kilkoma kawałkami węgla, pograżyły się niebawem w falach oceanu.

--- Ryby niewielką będą miały pociechę, kapitanie --- wyszczerzył zęby gruby kok. --- Chudy był, stary, jak wypatroszona rafa.

Van Roseen spojrzał na niego spode łba i splunął.

--- Szkoda, że to nie ty poszedłeś za burtę. Miałyby więcej żarcia, choć nie trzymałbym zakładu nawet o kropelkę dżinu, czyby się nie potruły, ty beczko zjełczałego łoju.

--- He, he, he --- śmiał się kok.

Tego dobrodusznego tłuszciocha nikt nie potrafił wyprowadzić z równowagi. Najwyszukańsze obelgi, jakimi obrzucali go celujący w tym kunszcie marynarze, spływały po nim jak woda po szkle.

\*

Po przybiciu do portu z pewnym opóźnieniem, spowodowanym gwałtownym sztormem, który zaskoczył ich w połowie drogi, kapitan spostrzegł stojącego na molo swego starego przyjaciela, profesora Stonera. Fizyk dawał znaki, że chce z nim rozmawiać, van Roseen więc ruchem ręki wskazał mu opuszczony trap zachęcając do wejścia na pokład Rosity.

--- Gdzie jest Fenmieux? --- zapytał Stoner.

--- Jaki znowu Fenmieux?

--- No, ten archeolog, który wsiadł na twój szkuner w Valparaiso.

--- Ach, archeolog... Ba!

--- Odpowiadajże po ludzku. Chcę się z nim zobaczyć!

--- Obawiam się, że może ci to sprawić pewne trudności. Czy umiesz dobrze nurkować?

--- Nurkować? Czyś się wściekł?!

--- Niezupełnie. Ale nie sądzę, abyś w jakiś inny sposób mógł spełnić swoje życzenie. Chociaż --- mógłbyś może wynająć łódź podwodną.

--- Herbercie, tyś się naprawdę wściekł!

--- Niezupełnie. Słuchaj, twój archeolog spoczywa na dnie Pacyfiku o jakieś siedemset mil morskich stąd.

--- Umarł?

--- No cóż, ludzie są podobno śmiertelni. Tak gdzieś słyszałem.

W pierwszej chwili wiadomość o zgonie Fenmieux'a zaskoczyła wprawdzie starego fizyka, ale śmierć ta wydała mu się logicznym dalszym ciągiem tragedii zespołu archeologów, o której rozpisywała się szeroko prasa całego świata komentując ją w najróżniejszy sposób.

--- Może byłoby raczej dziwne, gdyby nie umarł... --- Pokaż mi tę figurkę, Herbercie.

--- Chodź do kajuty. Zamknąłem ją w kasie okrętowej wraz z innymi rupieciami Francuza, aby przekazać ten cały kram władzom. Diabli mi to wszystko nadali!

W kasie jednak nie było figurki. Zniknęła stamtąd, nie wiadomo w jaki sposób.

--- A przecież jest tylko jeden jedyny klucz do kasy --- gorączkował się van Roseen. --- Noszę go zawsze przy łańcuszku od zegarka i nigdy się z nim nie rozstaję. Na cóż zresztą przydałoby się komu takie monstrum? Diabli wiedzą, co się za tym kryje...

--- Czy ta figurka konkretnie istniała? --- znacząco zapytał fizyk.

Kapitan zerknął podejrzliwie na przyjaciela, wydało mu się bowiem, że Stoner powątpiewa w prawdziwość jego słów.

--- Jak to: czy konkretnie istniała? Miałem ją przecież w rękach!

--- Czekaj, Herbercie, wyraziłem się nieściśle. Nie konkretnie --- a namacalnie. Czy dokładnie wyczuwałeś dotykiem jej kształt? To bardzo ważne.

Stary wilk morski zastanawiał się przez chwilę, energicznie ssąc cybuch zgasłej fajki.

--- Czy wyczuwałem? Na wszystkie sztormy Pacyfiku, nie umiem uczciwie odpowiedzieć na twoje pytanie! Czy to naprawdę takie ważne?

--- Najważniejsze! Od początku podejrzewałem, że ta figurka była tylko przestrzennym wyobrażeniem posągu złotego bożka z Rapa-Nui. Ba, "tylko"! Pierwotni mieszkańcy wyspy musieli posiadać dobrze rozwinięte mózgi, skoro moc stworzonych przez nie wyobrażeń przetrwała tyle wieków.

Kapitan ze zdumieniem wpatrywał się w przyjaciela.

--- Czy chcesz przez to powiedzieć, że podziemna świątynia na Waihu była tylko fantasmagorią? I że francuscy archeologowie zginęli tylko w wyobraźni?!

--- Bynajmniej. Twórcy świątyni byli również niezwykle biegli i w technice. Zapadnię uruchomiła prawdopodobnie genialnie skonstruowana fotokomórka, reagująca nie na postacie ludzkie w ogóle, a na odmienny od zwykłego w owych czasach wygląd tych postaci. Promień jednej latarki nie wywołał reakcji, ale co innego, gdy zapalono jednocześnie cztery. Wtedy postacie archeologów stały się widoczne dla fotokomórki i uruchomiony został cały zespół zapadni i śluz. Niewątpliwie istnieje jakiś sposób wywołania reakcji wtórej, a więc odwodnienia podziemi i wynurzenia posągu, bożka nad poziom jeziora, ale nikt bodaj na to nie wpadnie.

--- Ale figurka, figurka! Co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

--- Figurka jest tylko wyobrażeniem i to niezmiernie groźnym wyobrażeniem, Herbercie! Skondensowana myśl ludzka może czasem zabijać. To wcale nie metafizyka. W ten sposób kapłani Waihu karali zapewne intruzów.

--- Patrz! --- wykrzyknął van Roseen pociągając fizyka za rękaw.

Na pancernej pokrywie kasy stał mały bożek i uśmiechał się z piekielnym szyderstwem. Kapitan szybko wyciągnął rękę, aby pochwycić figurkę.

--- Zostaw! --- krzyknął Stoner.

Było to jednak za późno. Palce van Roseena ujęły bożka, ale dłoń zamknęła się całkowicie, jakby nie zawierała nic, choć figurka tkwiła w niej.

Kapitan zachwiał się, zamachał rękami i padł martwy na podłogę kajuty.

## Leonard Życki SKRADZONE OCZY

W pierwszych latach powojennych, w trakcie jednej z moich licznych podróży po Ziemiach Odzyskanych, znalazłem się w małym miasteczku Dzierzgoń. Tak nazywa się stary, pamiętający Krzyżaków Christburg.

W czasie wojny centrum miasteczka stanowiło jedną kupę gruzów. Lecz nowe życie zaczęło się już umacniać w tych zwaliskach. Liczba mieszkańców w czasie mego przybycia do Dzierzgonia wynosiła już ponad siedemset osób. Oczywiście, miasteczko nie posiadało hotelu, więc zanocowałem w Ośrodku Czerwonego Krzyża, mieszczącym się w świeżo odremontowanej willi jakiegoś hitlerowskiego dostojnika; ośrodek prowadził starszek lekarz, który straciwszy podczas wojny całą rodzinę przywędrował tu z Polski Centralnej.

Przyjął mnie serdecznie i poczęstował wspaniałą kolacją (przyrządzoną przez gosposię autochtonkę) oraz znakomitą nalewką własnej fabrykacji.

Przy kolacji opowiedział mi, co wydarzyło się w miasteczku od chwili, w której tu osiadł. Lubił gawędzić i trzeba przyznać, że umiał opowiadać. Jedna z jego opowieści zaskoczyła mnie swą dramatycznością. Dotyczyła ona pierwszego kierownika ośrodka, doktora Turskiego, którego przed rokiem zamordowano w tajemniczych okolicznościach. Starszek nie znał Turskiego osobiście, gdyż przybył do Dzierzgonia po jego śmierci. Wiedział tylko z relacji swojej gospodyni, Hildy, że Turski żył, był odludkiem i z nikim nie nawiązywał bliższej znajomości. Przyjaciół nie posiadał, ale nie miał również wrogów, toteż niezwykłą sensację wywołała wiadomość, że zamordowano go, gdy udawał się swym łożkiem do niezbyt odległej wioski, dokąd wzywał go ciężko chory.

Samochodzik doktora leżał w rowie przydrożnym z pogiętymi błotnikami; o kilkadziesiąt metrów dalej, w polu, znaleziono zwłoki lekarza podziurawione serią z automatu. Przy zabitym nie znaleziono portfela, ubranie zaś było poprute, jakby poszukiwano czegoś zaszytego. Mój gospodarz nie wierzył jednak w mord rabunkowy, chociaż milicja i władze bezpieczeństwa oficjalnie tak określiły ten wypadek.

--- Widzi pan --- mówił --- milicja nie zastanawiała się nad tą sprawą. Turski żył bardzo skromnie, jak twierdzi nasza Hilda. Pieniądzy nie posiadał, bo to by się od razu rzuciło w oczy. Ludzie tutejsi też jeszcze zbytkiem gotówki nie grzeszą i lekarzowi płacą jak popadnie, kurą lub kaczką, osełką masła, a w wyjątkowym wypadku --- gęsią. Więc na praktyce pieniędzy nie mógł zrobić.



--- A może miał jaką biżuterię albo kosztowności --- wtrąciłem.

--- Eee, też nie. Przez większą część wojny siedział w lesie, w partyzantce. Tam się ludzie dorabiali tylko ran i śmierci.

--- Więc może zemsta osobista?

--- Nie. Widzi pan, w tej sprawie było coś dziwnego, na co milicja nie zwróciła uwagi. Otóż pewien woźnica, wracający z towarem ze stacji kolejowej odległej o siedemnaście kilometrów od Dzierzgonia, opowiadał, że minęły go jadące na pełnym gazie dwie czarne limuzyny. Przy numerze rejestracyjnym miały one litery CD. Pan wie, co to oznacza?

--- Naturalnie, że wiem, doktorze. To Corps Diplomatique. Takie limuzyny rozjeżdżają się obecnie po całej Polsce. Zagranica jest bardzo ciekawa, po się u nas dzieje. No, a przy tym i roboty szpiegowskiej trochę się odwała. Jednakże żeby ludzie korzystający z nietykalności i jeżdżący otwarcie samochodami z literami CD posunęli się do zwykłej zbrodni, w to mi się nie chce uwierzyć.

--- Bo panu się zdaje, że to była zwykła zbrodnia.

--- Jakież mamy na to dowody, że była to zbrodnia niezwykła?

Stary lekarz westchnął.

--- Ma pan rację. Żadnych dowodów nie mamy. Nie znalazł ich nawet oficer śledczy. Ale widzę, że panu się oczy kleją. Podróż zmęczyła pana.

--- Podróż i pańska nalewka, doktorze. Już nie jestem zdolny do logicznego myślenia.

--- Jeżeli tak, musi pan się przespać. Hilda już poszła w poczekalni.

Stary lekarz zaprowadził mnie do pokoiku --- który służył za poczekalnię, gdy do ośrodka zgłaszało się naraz kilku pacjentów --- i wskazał mi czysto zasłaną otomanę.

Położyłem się, lecz nie mogłem zasnąć. Przez otwarte okno wdzierala się noc majowa. Pachniały kwiaty bzu i czeremchy, a w pobliskich gąszczach śpiewał słowik.

Stanąłem w oknie i zapaliłem papierosa. W gałęziach drzewa stojącego na wprost okna błysnęła para zielonych oczu. To jakiś bezdomny kot obserwował mnie z bezpiecznego miejsca. Denerwował mnie jego uparty wzrok. Dostrzegł zapewne kota i słowik, gdyż nagle przestał śpiewać i prawdopodobnie odleciał.

Zrobiło się dziwnie ponuro i cicho. Nie dobiegał tu ani jeden odgłos z miasteczka, pogrążonego już we śnie. Nagle wśród tej ciszy rozległ się astmatyczny głos starego zegara na kościelnej wieży. Jakim cudem ta wieża zegarowa ocalała? --- pomyślałem licząc uderzenia. Północ. Najwyższy czas, by zasnąć.

Już miałem zgasić naftową lampę (elektryczność jeszcze w mieście nie działała), gdy naraz coś wleciało do pokoju i zaczęło dziwnie po nim krążyć wydając niesamowite piski.

Był to nietoperz.

Nie jestem przesądny, ale nie uważam, by północ była najodpowiedniejszą porą do przyjmowania odwiedzin nietoperzy. Postanowiłem go wyrzucić i chwyciwszy ręcznik zacząłem nim energicznie machać. Nietoperzowi podobała się widocznie taka zabawa, gdyż nic sobie nie robił z moich usiłowań i uchylając się krążył coraz bliżej mojej głowy i piszczał coraz głośniejsze. Zacząłem machać ręcznikiem coraz zacieklej. W rezultacie zamiast w nietoperza łupnąłem w starą szafkę z Czerwonym Krzyżem na drzwiczkach, która wisiała na ścianie. Zleciała z hałasem i rozbiła się.

Stanąłem zrozpaczony nad jej szczątkami. Ładnie wywdzięczam się staruszkowi za gościnę --- nie ma co. Na szczęście, w szafce żadnych lekarstw nie było, a sam sprzęt nie przedstawiał dużej wartości.

Naraz między kawałkami deseczek spostrzegłem coś białego. Szafka miała podwójne dno i jedno z nich przy upadku

wyleciało. Ze schowka wysypało się kilkanaście małych, energicznym charakterem zapisanych kartek.

Przeglądałem je z zaciekawieniem.

W istocie --- kryła się w nich złowroga tajemnica skradzionych oczu. Oto treść owego rękopisu, z którego pomijam tylko rzeczy mniej istotne.

\*

"...Po wykonaniu zleconej misji wracałem do Warszawy. Spieszyłem się, ale mój klekot z demobilu nie wytrzymał tempa i nawalił. Na szczęście, w miasteczku, w którym się to stało, zaczęło pulsować życie i w poniemieckim garażu osiedlił się już mechanik Polak. Obejrzał samochód i rzekł, że naprawa potrwa kilka godzin. W miasteczku nie było nic do oglądania, poza wypalonymi lub rozszabrowanymi domami, więc poszedłem na wzgórze, wznoszące się dość wysoko nad miastem i zadrzewione. Podobno w dawnych czasach na owym wzgórzu stał zamek krzyżacki. Przed wojną musiało tu być miejsce spotkań

całego miasta. Świadczyły o tym zarośnięte trawą alejki, liczne ławki i rozbity budynek restauracji.

Chodząc po wzgórzu i zaglądając we wszystkie kąty ujrzałem naraz na jednej z ławek siedzącego mężczyznę w zniszczonym ubraniu, a obok niego plecak. "Ktoś z Zachodu" --- pomyślałem i chciałem po cichu przejść dalej, by nie przeszkadzać. Sądząc bowiem z nachylenia ciała człowiek ten spał. Ale zainteresowały mnie jego okulary. Studiowałem trochę okulistykę i znałem różne typy okularów, lecz takie widziałem po raz pierwszy. Były podobne do okularów, jakie dawniej nosili pływacy, to znaczy oprawka opierała się aż na skórze twarzy.

W wodzie takie okulary nie dopuszczają wody do oczu, tu widocznie chroniły przed światłem. Lecz najdziwniejsze były w nich szkła. Po dokładnym przyjrzeniu się można było stwierdzić, że nie są to szkła, lecz jakieś nieprzenikliwe płytki, polakierowane na czarno, jak i całe okulary. Nie przepuszczały one światła więcej niż oprawka.

Przeglądałem się tym dziwnym okularom, gdy nagle śpiący zmienił pozycję głowy. Spojrzałem na jego twarz i z kolei ona zwróciła moją uwagę. Rysy jej były mi dziwnie znajome. Nie ulegało wątpliwości --- miałem przed sobą Floriana, najserdeczniejszego druha mej młodości, z którym razem poszedłem do partyzantki, z którym brałem udział w różnych wspaniałych akcjach i dzięki któremu nie dostałem się do niewoli, gdy nas otoczono w lasach miechowskich. Dzięki jego szaleńczemu kontratakowi udało nam się wyrwać z okrążenia, ale Florian przepadł. Myśleliśmy, że zaginął, jednak doszła wiadomość, że

dostał się do Oświęcimia i tam go zakatowano.

Pochyliłem się nad siedzącym i chwyciłem go w objęcia.

Reakcja Floriana była całkowicie nieoczekiwana. Zerwał się z ławki, odepchnął mnie silnie od siebie i zrywając jedną ręką okulary, drugą wyrwał błyskawicznie z kieszeni rewolwer i niedwuznacznym ruchem skierował jego lufę prosto w moje piersi.

--- Ręce do góry! --- krzyknął, odskakując o dwa kroki.

Podniosłem z wolna ręce, ale byłem tak przerażony, że nie mogłem wydobyć głosu z piersi. Nie widokiem rewolweru --- bynajmniej. Nie

takie rzeczy widywało się w czasie wojny. Ale spod czoła Floriana spoglądały na mnie najbardziej niesamowite oczy, jakie można by wyśnić w malignie --- oczy całe, z zielonkawym odcieniem, pozbawione zupełnie źrenic. Nie były to dobre, łagodne, o szarobłękitnych źrenicach oczy Floriana. Wreszcie wybełkotałem:

--- Florianie! Czyś ty oszalał? Przecież to ja. Tadzik.

--- Jaki Tadzik --- zapytał chłodno, nie opuszczając rewolweru.

--- Jak to? Tadzika Turskiego, twojego "Tete", nie poznajesz? Czyżbym się aż tak zmienił?

Ręka z rewolwerem zaczęła drżeć, wreszcie wsunęła broń do kieszeni, a mój przyjaciel rzucił mi się z płaczem na szyję.

A potem usiedliśmy na ławce objawszy się ramionami i Florian opowiedział o swych przeżyciach.

W czasie owego kontraktaku został kontuzjowany tak silnie, że stracił przytomność. Po krótkim pobycie w szpitalu wysłano go do Oświęcimia i umieszczono w szpitalu obozowym. Czuł się dobrze, ale "dekował się" w szpitalu, bo zawsze było tu lepiej niż w baraku. Pewnego dnia został wezwany do naczelnego lekarza obozu. Ten długo i wyjątkowo sumiennie badał go, a zwłaszcza oczy, po czym nic nie mówiąc wypełnił jakiś formularz. Tego samego dnia zaprowadzono go do komendatury, przed którą czekała elegancka limuzyna. Do tej limuzyny wsadzono go w towarzystwie dwóch milczących gestapowców i wywieziono z obozu.

Jak długo jechał i dokąd --- nie wie, gdyż okna samochodu były szczelnie zasłonięte. W każdym razie, gdy limuzyna wjechała do obszernego parku i stanęła przed jakimś pałacem, była ciemna noc. Zaprowadzono go do niewielkiego pokoiku ze szpitalnym łóżkiem. Tu musiał się rozebrać, po czym zabrano go do łazienki, wymyło i ubrano w strój szpitalny. Gdy zastanawiał się, co to wszystko miało znaczyć, gestapowcy, którzy go przywieźli, chwycili go pod ręce i wprowadzili do dużej sali o ścianach pokrytych wytłaczaną, złożoną skórą i o rzeźbionym stropie. Pamięta wzory tej rzeźby: jakieś fantastyczne czerwone i niebieskie kwiaty.

Komnata była zamieniona w salę operacyjną, jak o tym świadczył stół, potężne lampy i komplety narzędzi chirurgicznych poukładanych w oszklonych szafkach. Koło stołu operacyjnego stało kilku lekarzy w białych kitlach i maskach osłaniających usta. Na dany znak gestapowcy chwycili Floriana brutalnie za ręce i nogi, położyli na stole i przywiązali doń pasami. Szczególnie mocno unieruchomiono głowę, tak że nie mógł nią wykonać najłżejszego ruchu. Jeden z biało ubranych mężczyzn wcisnął mu na twarz maskę i Florian poczuł dławiącą woń eteru. Wiedząc o potwornych operacjach, jakie hitlerowcy robili

na więźniach, krzyczał i bronił się, dopóki nie usnął.

Gdy się obudził, leżał w łóżku. Zbudził go okropny krzyk jakby z sąsiedniego pokoju. Ktoś wołał po rosyjsku: --- Proklatyje faszysty! Wy ukrali moi głąza!

W głowie czuł straszny, świdrujący ból. Dotknął jej rękami --- była obandażowana. I wówczas jakiś głos zaczął do niego mówić. Florian rozumiał nieźle język niemiecki, ale słyszał go jedynie w brutalnych komendach i wrzaskliwych wymyślaniach. Ten ktoś przemawiał do niego cicho, spokojnie i beznamiętnie.

--- Tworzymy wielkie dzieło --- mówił. --- Jeśli chcesz z nami współpracować, to zachowasz życie i przyczynisz się do złagodzenia losu niezliczonych rzesz ślepców wojennych. W Oświęcimiu zginąłbyś bez żadnej korzyści dla wiedzy. Wyjęliśmy ci oczy, ale damy ci inne --- sztuczne. Te oczy to cudo niemieckiej techniki, to ostatnia zdobycz niemieckiej wiedzy. Jeżeli nie chcesz żyć, jeżeli chciałbyś utrudniać naszą pracę --- powiedz. Wrócisz do Oświęcimia, lecz już jako ślepiec.

Florian nie miał wyboru. Wiedział, że życie jego w obozie będzie aż do śmierci pasmem najwymyślniejszych tortur. Tutaj zaś mógł stać się posiadaczem wielkiej tajemnicy.

--- Zgadzam się --- oświadczył.

Od tej chwili leczono go troskliwie. Po wyleczeniu ran pooperacyjnych zaczęły się eksperymenty. Obcięte końce nerwów wzrokowych uwrażliwiano na działanie elektryczności. Bóle cierpiał przy tym potworne. Wreszcie, po jakimś czasie, który trudno mu było określić, założono w puste orbity sztuczne gałki oczne. Dzięki nim mógł znowu widzieć.

Ale było to straszne widzenie!

Sztuczne oczy widziały wprawdzie w dzień i w nocy, ale tylko zjawiska elektryczne. Człowiek wyglądał w tej wizji jak błękitnawy posąg z lekka owiany czerwonym nalotem. W czasce płonęło czerwone ognisko to słabnąc, to potężniejąc. Szły od niego czerwone płomyki wzdłuż stosu pacierzowego i odchodzących od niego nerwów. Intensywność ich wzrastała lub

malala. Florian widział zatem ludzi i to równie dobrze we dnie czy w nocy, ale poznawać ich nie mógł. Dlatego też mógł we mnie świetnie celować, ale nie wiedział kim jestem.

W otaczającym go świetle widział również straszliwe orkany zaburzeń elektrycznych i zjawiska nie dające się opowiedzieć. Widzenie sprawiało mu okropny ból. Nie mógł zupełnie sypiać, gdyż powieki nie odgradzały go od światła potwornych zjawisk. Jego kaci skonstruowali mu specjalne okulary, nie dopuszczające wyładowań elektrycznych do oczu. Mógł tylko wtedy wypoczywać, gdy je zakładał.

Pewnego dnia czy nocy pałac w parku został straszliwie zbombardowany. W czasie popłochu, jaki wtedy powstał, Florian uciekł. Jego marzeniem było dojść do kraju i ofiarować swe oczy nauce polskiej. Uzbroiwszy się w rewolwer zabitego żołnierza przekradał się nocami w kierunku Wschodu. Może go nawet ścigano, ale w nocy nie dał się nikomu schwytać. Gdy nastąpiło zawieszenie broni, szedł otwarcie wśród tłumu repatriantów, aż doszedł do Dzierzgonia. Tu się ukrył, nie nawiązując z ludźmi stosunków i będąc wciąż przekonany, że go ścigają.

Moją winą było, że nie zawiozłem Floriana od razu, do stolicy. Zawładnęła mną jakaś nierozsądna ambicja i postanowiłem sam zbadać tajemnicę sztucznych oczu. Zostałem więc w Dzierzgoniu, gdzie z ogromną w owych czasach łatwością uzyskałem posadę kierownika Ośrodka Czerwonego Krzyża. Florian zamieszkał ze mną i powoli przychodził do siebie pod moją opieką".

Na tym rękopis się urywał, lecz przy jego końcu znajdowała się kartka, wyglądająca jakby ją kreślono w pośpiechu.

"Florian miał rację, gdy mówił, że ścigają go potężni wrogowie. Po półrocznym pobycie u mnie zniknął, gdy go zostawiłem samego wyjeżdżając do chorego w pobliskiej wsi. Nikt nie wie, jak to mogło się stać, bo prawie nikt nie wiedział o pobycie niewidomego w mym domu. Podobno widziano w okolicy ogromną limuzynę ze znakami korpusu dyplomatycznego. Czyżby porwanie?"

Jadę natychmiast do Warszawy, by zawiadomić władze o historii Floriana. Na wszelki wypadek opis tej historii schowam w szafce. Szkoda, że nie zbadałem budowy gałek, ale musiałbym je przy tym zniszczyć, a nie miałem sumienia pozbawiać przyjaciela wzroku, chociażby nawet tak potwornego..."

\*

Przeczytawszy historię „elektrycznych oczu” poczułem się bardzo nieswojo. Zdawało mi się, że przez otwarte okno ktoś mnie obserwuje. Nie byłem pewny, czy zielonawe oczy, które widziałem na drzewie, są oczyma kota. Przypomniały mi się ostatnie procesy szpiegowskie. Tylko obcy wywiad mógł wpaść na trop tajemniczego wynalazku.

Zgasilem czym prędzej lampę, zamknąłem okno, odbezpieczyłem rewolwer i włożyłem go pod poduszkę. Potem położyłem się na otomanie i zacząłem rozmyślać. Gdy już zaczęło świtać, pojąłem, że moje obawy są nieuzasadnione. Floriana porwano, Turskiego zgładzono. O papierach w starej szafce nikt nie wie.

Zacząłem się zastanawiać, jak i komu wydrzeć tajemnicę elektrycznych oczu...

Nie taka to łatwa sprawa...

# BIBLIOGRAFIA

- Andrzej Trepka Dziewczyna nie z tej ziemi "Młody Technik" 1957 r. nr 4  
Andrzej Trepka Ostatni Lot "Młody Technik" 1957 r. nr 8  
Jerzy Orlewski Zagłada "Młody Technik" 1957 r. nr 9  
Andrzej Trepka Nowa Polska "Młody Technik" 1957 r. nr 10  
Tadeusz Twarogowski Don Pablo nie wróci "Młody Technik" 1957 r. nr 11  
Stanisław Hoszowski 3 doby na latającym talerzu "Młody Technik" 1958 r.  
nr 11  
Krzysztof Boruń Spadkobiercy "Młody Technik" 1958 r. nr 9  
Krzysztof Boruń Antyświat (w:) Antyświat i inne opowiadania. Wiedza  
Powszechna 1960 r.  
Bogdan Lekszycki Szkarłatna iglica. Biblioteka Złotej Podkowy t. 32, 1959 r.  
Konrad Doberschütz Esperanta. Biblioteka Złotej Podkowy t. 32, 1959 r.  
Konrad Doberschütz Tajemnica Kwiatu Księżycowego. Biblioteka Złotej  
Podkowy t. 35, 1959 r.  
Jan Jerzy Groński Atomowa śmierć Atlantydy. Biblioteka Złotej Podkowy  
t. 34, 1959 r.  
Bogdan Lekszycki Figurka z Rapa-Nui. Biblioteka Złotej Podkowy t. 37, 1959  
Leonard Życki Skradzione oczy. Biblioteka Złotej Podkowy t. 37, 1959 r.

RSW "PRASA-KSIĄŻKA-RUCH "

KRAJOWA.AGENCJA.WYDAWNICZA

WARSZAWA 1990

Wydanie I. Nakład 30 000 + 350 egz.

Objętość: ark. wyd. 11,81; ark. druk. 12;

Druk: Olsztyńskie Zakłady Graficzne

im. Seweryna Pieniężnego

10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2

Zam. 850/11/L/89. Nr prod. X-13/830/82. A-85/257

ISBN 83-03-03008-6

# Notatki

[←1]

W wydaniu książkowym dwukrotnie podano błędnie Stanisław Żuławski.

[←2]

Parsek -- jednostka długości używana w astronomii.